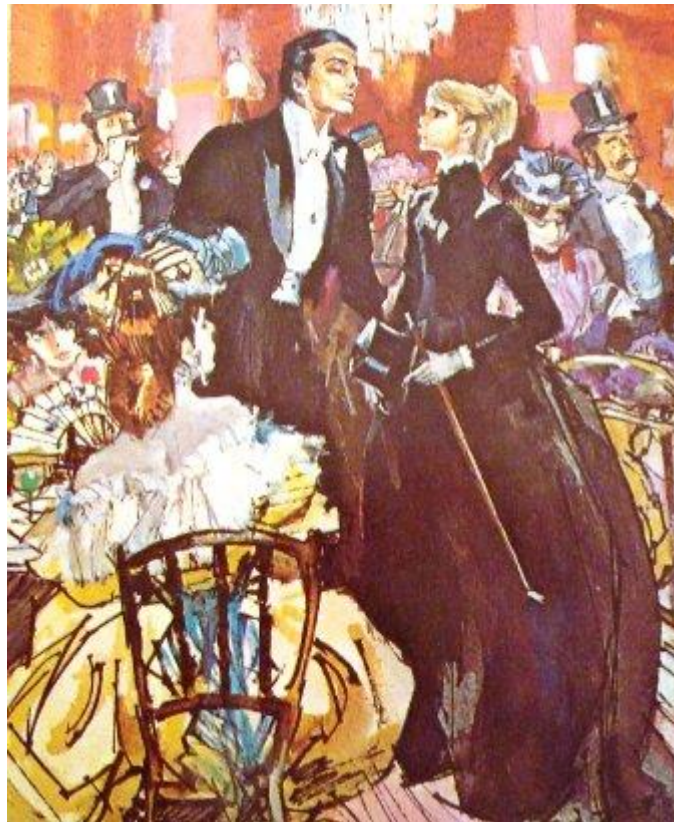


# Barbara Cartland

## Misja do Monte Carlo

Mission to Monte Carlo



## Od Autorki

W końcu XIX wieku Monte Carlo było najpiękniejszym zakątkiem Europy. Listę gości maleńkiego księstwa czytało się z zapartym tchem, niczym fragment herbarza.

W owym czasie granica między klasami społecznymi była absolutnie nieprzekraczalna. Podczas miesiąca miodowego w Monte Carlo po poślubieniu dziewiątego księcia Marlborough księżna z domu Consuelo Vanderbilt, często zwracała mężowi uwagę na elegancję i urodę kobiet spotykanych w kasynie.

Ku jej zdumieniu książę zakazał jej mówić o tych kobietach i udawać, że nie poznaje towarzyszących im mężczyzn, nawet jeśli poprzedniej nocy uczestniczyła w tym samym co oni przyjęciu. Dopiero po jakimś czasie zrozumiała, że te piękne kobiety to najślawniejsze kurtyzany Europy.

Do pozostałych gości, często odwiedzających Monte Carlo, zaliczali się: ogromnie fascynujący i ekstrawagancki wielki książę Rosji Sergiusz, wielki książę Nicolas, Aga Khan, niezwykle piękna i urzekająca Lily Langtry, książę Montrose, książę Danii oraz oczywiście książę Walii.

Monte Carlo zostało opisane w niezliczonych romansach, sztukach teatralnych i powieściach sensacyjnych. Nigdzie na świecie nie ma drugiego takiego miejsca, które tak bardzo kojarzyłoby się zarówno z królami, książętami, jak i z oszustami, kokotami, kokainą i samobójstwami.

## Rozdział 1

1900

Z powozu, który zatrzymał się tuż przed gmachem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wysiadł wysoki, przystojny mężczyzna i wszedł do środka przez masywne, wsparte na kolumnach drzwi. Gdy tylko pojawił się w hallu, na jego spotkanie wybiegł młody człowiek ubrany w surdut.

- Pan Vandervelt? - zapytał. Przybysz skinął głową.

- Pan minister czeka na pana, sir.

- Dziękuję - odpowiedział Craig Vandervelt.

Młody człowiek poprowadził go długimi, dosyć ponurymi korytarzami i po chwili otworzył przed nim drzwi prowadzące do imponującego gabinetu. Przy biurku stojącym na tle okna wychodzącego na niewielki ogródek w tyle domu, siedział markiz Lansdowne.

Kiedy Craig Vandervelt został zaanonsowany, bardzo przystojny, z lekka już siwiejący mężczyzna podniósł się, wyciągając rękę w stronę przybysza.

- Craig, dopiero wczoraj usłyszałem, że jesteś w Londynie. Ogromnie się cieszę, mój drogi, że cię widzę.

- Jak się pan ma, milordzie? Jestem właśnie w drodze do Monte Carlo - rzucił mimochodem Craig Vandervelt, ale zabrzmiało to tak, jakby chciał się zastrzec, że znalazł się tu wyłącznie przejazdem. Jakby rozumiejąc intencje przybysza, minister odezwał się:

- Siadaj, Craig, muszę z tobą pomówić. Vandervelt roześmiał się.

- Tego się właśnie obawiałem! - Rozsiadł się jednak w fotelu i założył nogę na nogę, robiąc wrażenie bardzo z siebie zadowolonego.

Markiz siadając naprzeciw niego pomyślał, iż wiele kobiet musiałoby mu przyznać rację, że tak przystojnego i zarazem atrakcyjnego młodego mężczyzny ze świecą by szukać. I nie

było w tym nic dziwnego. Ojciec Craiga Vandervelta pochodził z Teksasu i dzięki nadzwyczajnym zaletom swego umysłu pokonał prześladującego Vanderveltów pecha, tworząc jedną z największych fortun w Ameryce. Jego matka, córka księcia Newcastle, należała do najpiękniejszych kobiet swojego pokolenia. Nic więc dziwnego, że ich jedyny syn był nie tylko wyjątkowo przystojnym i atrakcyjnym mężczyzną ale - chociaż wielu trudno było w to uwierzyć - inteligencją i rozumem dorównywał swemu ojcu. Nie mając jednak skłonności do pomnażania i tak już ogromnego majątku rodziny, stał się tym, kogo świat zwykł nazywać playboyem.

Bez przerwy podróżował, używając życia nie tylko w wielkich i znanych stolicach światowej rozrywki, ale również w różnych zakazanych miejscach w odległych zakątkach świata, gdzie mężczyźnie częściej potrzebna była odwaga niż pełny portfel.

- Wyobraź sobie, że parę dni temu myślałem o tobie - odezwał się markiz. - I oto, jakby na zawołanie, zjawileś się. Wiedziałem, że przyjechałeś, ale zupełnie nie miałem pojęcia, jak się z tobą skontaktować.

- Zatrzymałem się u mojego kuzyna na Park Lane.

- Teraz już o tym wiem - wtrącił markiz - ale odnalezienie ciebie zajęło mi wiele czasu.

- Czuję się jak tropiony lis - zaprotestował Craig. - Nie zapominaj, milordzie, że w moich planach jest Monte Carlo.

- Tego się właśnie spodziewałem - z uśmiechem zauważył markiz. - Doskonale wiem, że o tej porze jest tam znacznie weselej niż gdziekolwiek indziej i że od widoku najpiękniejszych kobiet świata i półświatka, okrytych piórami i klejnotami, można dostać zawrotu głowy.

Craig wybuchnął śmiechem.

- W twoim głosie, milordzie, wyczuwam nutę zazdrości. Powinieneś się tam wybrać razem ze mną.

- Nic nie mogłoby sprawić mi większej przyjemności - zauważył markiz. - Niestety, w tej chwili nie jest to możliwe. Muszę tu pozostać, ale przy zielonym stoliku wśród innych znamienitych bywalców z pewnością spotkasz księcia Walii.

Craig uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć, że na to właśnie liczy, i wtedy markiz dodał:

- Nawet gdyby się okazało, że nie masz zamiaru jechać do Monte Carlo, sam bym cię o to poprosił.

Zapadła cisza. Po chwili Craig patrząc na niego uważnie, zapytał:

- Mówisz tak, jakby stało się coś ważnego.

- To jest bardzo ważne - z naciskiem powiedział markiz. - I wierzę, że tylko ty możesz mi pomóc.

Craig nie odpowiadał. Doskonale wiedział, że markiz nie mówiłby do niego w ten sposób, gdyby to, z czym miał zamiar się do niego zwrócić, nie było sprawą najwyższej wagi państwowej.

W przeszłości markiz Lansdowne, zanim jeszcze został ministrem, często korzystał z pomocy Craiga, i to w sprawach, o które ci, co go znali jako amerykańskiego milionera szukającego jedynie przyjemności, nigdy by go nie posądzali.

To markiz pierwszy wyczuł, że Craig ma już dosyć ciągnącej się za nim opinii utracjusza i że znudziły go sukcesy odnoszone wśród kobiet, które otaczały go niczym pszczoły unoszące się nad dzbanem miodu. Namówił go więc do przyjęcia pewnej bardzo delikatnej misji, związanej z dążeniami Niemiec do uzyskania przewagi w Europie. Craig odegrał swoją rolę w tak imponującym stylu, że nie tylko premier, ale i królowa złożyli mu za to wyrazy najwyższego uznania. Od tej pory markiz często korzystał z pomocy młodego Amerykanina.

To wszystko Craiga bawiło, a nawet fascynowało, chociaż niekiedy była to dosyć niebezpieczna rozrywka. Dwukrotnie

cudem uniknął śmiertelnego strzału, a raz, w ostatniej chwili, odparował niebezpieczne pchnięcie nożem. Dreszcz emocji oraz wszystkie przeżycia związane z czymś, co Craig nazywał „igraniem ze śmiercią”, stały się do tego stopnia częścią jego życia, iż wiedział, że czegokolwiek by teraz markiz od niego nie zażądał, on z pewnością mu nie odmówi.

Markiz wciąż szukał właściwych słów, jakby nie bardzo wiedział, jak wyjaśnić Craigowi, czego tym razem od niego oczekuje. W końcu, widząc malujące się na jego twarzy zniecierpliwienie, odezwał się:

- Przepraszam, jeśli odniosłeś wrażenie, że się waham. Nie myśl, że nie mam do ciebie zaufania. Po prostu zdałem sobie nagle sprawę, jak skąpymi informacjami dysponuję.

- Przede wszystkim - wtrącił z uśmiechem Craig - tym razem powiedz mi, kto tak naprawdę będzie moim przeciwnikiem.

To właśnie uważał za najważniejsze, od czasu gdy wykonując pewne zlecenie dla markiza, został wprowadzony w błąd lub raczej niezbyt dokładnie poinformowany, kogo powinien się strzec. Tylko wrodzona intuicja i tak zwany szósty zmysł uchroniły go przed zasadzką, z której praktycznie nie było wyjścia.

- Rzecz w tym - odezwał się markiz - że jak do tej pory dysponuję raczej podejrzeniami niż dowodami, które usprawiedliwiłyby moje przekonanie, iż twoja obecność w Monte Carlo jest właśnie teraz wprost niezbędna.

- A więc pomówmy o tych podejrzeniach - zaproponował Craig. - Jestem pewny, milordzie, że kiedy przyjdzie na to czas, usprawiedliwię je czymś bardziej konkretnym.

Markiz zaśmiał się, ale ten śmiech wcale nie był wesoły.

- Całe zmartwienie w tym, Craig - powiedział - iż zaczynam mieć skrupuły, wiedząc, w co cię wciągam. Nasi agenci niewiele dotąd osiągnęli, a szczerze mówiąc, ci którzy

są aktualnie w Monte Carlo, nie są w stanie dotrzeć do odpowiednich sfer towarzyskich.

- Z tym akurat nie powinno być żadnego problemu - zauważył Craig.

Nikt lepiej od niego nie wiedział, że fortuna otwierała mu drzwi do każdego domu. A jednak, pomimo swoich dwudziestu dziewięciu lat, kiedy królowie szli z nim pod rękę, a królowe wyciągały ku niemu dłonie na powitanie, wciąż nie mógł się pozbyć wątpliwości, czy ich entuzjazm budził jego osobisty urok czy też raczej jego nieograniczone konto w banku.

Po chwili, jakby w reakcji na słowa Craiga, markiz powiedział:

- Jesteś bardzo popularny wszędzie, gdziekolwiek się zjawisz, i to właśnie, moim zdaniem, jest twoim ogromnym atutem. - Odruchowo zniżył głos dodając: - Mam nadzieję, że nikt poza tymi czterema ścianami nie ma najmniejszych wątpliwości, iż tylko pogoń za rozrywką każe ci włóczyć się po różnych dziwnych miejscach.

- Mam nadzieję, że ma pan rację, milordzie - wtrącił Craig. - Gdyby było inaczej, z wielu sytuacji nie udałoby mi się wyjść cało.

Markiz nagle sposepniał.

- Być może zbyt wiele od ciebie żądam - zauważył - ale chciałbym, abyś wiedział, że wiele dla nas uczyniłeś i że jesteśmy ci za to ogromnie wdzięczni. - Po chwili z naciskiem dodał: - Nikt inny, powtarzam, nikt nie byłby w stanie uzyskać tych wszystkich informacji i uchronić nas przed uwikłaniami w sprawę, które dla pokoju światowego mogłyby mieć nieobliczalne skutki.

- Miło mi to słyszeć - spokojnie powiedział Craig. - Mam nadzieję, że teraz powie mi pan dokładnie, czego tym razem chcecie ode mnie.

- To nie jest takie proste - rzekł markiz - ale zacznijmy od początku.

Craig zamienił się w słuch.

- Jak się orientujesz, nasza pozycja w Indiach staje się coraz bardziej zagrożona na skutek nasilającej się ostatnio rosyjskiej ekspansji w Azji Centralnej. - Craig skinął głową, z uwagą, przysłuchując się słowom markiza. - Ponieważ Rosja objęła swoim zwierzchnictwem Afganistan, my przesunęliśmy granice Indii na zachód i północny zachód.

Te sprawy były Craigowi doskonale znane. W milczeniu więc słuchał dalej.

- Chociaż Tybet dawno temu został opanowany przez Chińczyków, potrafił jednak zachować autonomię. Są jednak sprawy, które nas niepokoją.

- Taak?

Markiz zniżył głos, jakby się obawiał, że ściany mają uszy.

- Otrzymaliśmy zaszyfrowaną depezę od wicekróla, w której donosi o istnieniu tajnego porozumienia między Rosją a Chinami, na mocy którego Rosjanie otrzymali specjalne prawa w Tybecie.

- To brzmi wręcz nieprawdopodobnie.

- Zgadza się z tobą - powiedział markiz. - Ale lord Curzon utrzymuje, iż Rosja wysłała broń do Tybetu i że już wkrótce na granicy indyjsko - tybetańskiej dojdzie do prowokowanych przez Rosję incydentów zbrojnych. Markiz umilkł i po chwili Craig odezwał się:

- Myślałem, że pańskim życzeniem jest, abym udał się do Monte Carlo.

- To prawda - przyznał markiz. - Zależy mi na tym, ponieważ trzy tygodnie temu zjawił się tam bez naszej wiedzy Randall Sare.

Craig spojrział na niego ze zdumieniem.



- Randall Sare? Nie mogę w to uwierzyć! Nigdy nie sądziłem, że może tu wrócić. Kiedy widziałem go ostatnio w Indiach, oświadczył, że resztę życia ma zamiar spędzić w Tybecie.

- Widocznie zmienił zdanie, a ponieważ od przyjazdu do Monte Carlo nawet nie próbował skontaktować się z nami, jedynym sensownym wyjaśnieniem jest, że ukrywa się z powodu jakichś posiadanych przez siebie informacji.

- Ale dlaczego wybrał Monte Carlo? - zapytał Craig. - Dlaczego nie przyjechał prosto do Anglii?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział markiz. - Zgadza się z tobą, że to zastanawiające. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że Sare może mieć skłonności do hazardu.

- Ja też w to nie wierzę - przyznał Craig. Usiadł w fotelu i marszcząc brwi zaczął się głęboko nad czymś zastanawiać. - Mogę tylko przypuszczać - odezwał się po chwili - że istniały jakieś szczególne powody, dla których Sare zdecydował się wysiąść na ląd w Villefranche, gdzie zatrzymują się wszystkie statki, którymi prawdopodobnie podróżował. Ale jeśli tak było naprawdę, czy udałby się w dalszą podróż do Monte Carlo?

- Trudno mi znaleźć na to odpowiedź - rzekł markiz - i właśnie dlatego proszę cię, Craig, a właściwie błagam, jedź jak najszybciej do Monte Carlo i odszukaj Randalla Sare'a.

- Chce pan powiedzieć, że pańskim ludziom nie udało się z nim skontaktować?

- Niestety, tak to właśnie wygląda. Zobaczyli go, zdaje się na ulicy, ale zniknął im z oczu, zanim zdążyli do niego dotrzeć.

- Spartaczyli robotę - mruknął Craig.

- Nie osądzaj naszych ludzi zbyt surowo - odezwał się markiz. - Jeden z nich tłumaczył się później, że zakazano im przecież nawiązywania kontaktu z kimś tak ważnym jak

Randall Sare bez pewności, że jest to absolutnie konieczne, bądź że sam Sare tego właśnie sobie życzy.

- Mogę to zrozumieć - przyznał Craig. - Ale jeśli on rzeczywiście jest w posiadaniu jakichś ważnych informacji, to być może będzie się ukrywał dotąd, aż pozbędzie się swoich prześladowców.

- I mnie to przyszło do głowy - zauważył markiz. - To by wyjaśniało, dlaczego Sare opuścił statek w Villefranche. - Po chwili milczenia dodał: - Morze stwarza wspaniałą okazję, aby pozbyć się kogoś niepożądanego.

- Zgadzam się z tym - odezwał się Craig. - Ale nie mogę uwierzyć, aby Randall Sare, jeśli nawet widziano go trzy tygodnie temu w Monte Carlo, wciąż jeszcze tam był.

- Powiedziałem, że przybył trzy tygodnie temu - poprawił go markiz - ale widziano go tydzień później. Jeden z naszych ludzi właśnie przybył, aby mnie o tym powiadomić. Dwaj inni pozostali w Monte Carlo i kontynuują poszukiwania. Oczywiście, mogli go już do tej pory odnaleźć, ale gdyby się tak nie stało, będę się modlił, aby tobie się to udało.

- Obawiam się, że jest pan zbyt dużym optymistą. Znając Sare'a, miejsca, w których mógłby się ukrywać, z pewnością nie należą do tych, które ja mam zamiar odwiedzić - z odrobiną cynizmu zauważył Craig.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział markiz - ale twoja misja na tym się nie kończy.

- Zaciekawia mnie pan, milordzie.

- Mój agent, który zjawił się, aby przekazać informację o Randallu Sare, powiedział mi, że coś niedobrego dzieje się z lordem Neasdonem.

- Czy ja go znam? - zapytał Craig.

- Nie sądzę, abyś go kiedykolwiek spotkał. Odkąd pracuje w Ministerstwie, uważam, że nie powinien wiedzieć, co

naprawdę nas łączy, poza tym - oczywiście - że jesteśmy dalekimi krewnymi.

- To zrozumiałe - mruknął Craig.

- Jest dość atrakcyjnym mężczyzną, starszym od ciebie o jakieś dziesięć lat. Na swoją obecną pozycję długo pracował w służbie dyplomatycznej w wielu europejskich ambasadach. Mój poprzednik w uznaniu jego zasług zdecydował przyjąć go w skład stałego personelu Ministerstwa.

- Rozumiem.

- Neasdon jest kawalerem, chociaż nie muszę ci mówić, że miał niezliczone romanse z wieloma pięknościami, których nigdy nie brakuje w Marlborough House. - Markiz przerwał na chwilę, po czym widząc, iż Craig milczy również, mówił dalej: - Teraz w jego życiu pojawiła się nowa kobieta, która z tego, co wiem, może być dla nas niebezpieczna.

- Kim ona jest? - zapytał Craig.

- To hrabina Aloya Zładamir - dodał markiz.

- Rosjanka, jak sądzę.

- Tak myślę, chociaż nie ma stuprocentowej pewności. W rozmowach z tutejszymi Rosjanami wymieniałem jej nazwisko, nikt jednak o niej nie słyszał.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - wtrącił Craig. - W Rosji są tysiące hrabiów. W tej sytuacji to niemożliwe, aby wszyscy się znali.

Markiz zachmurzył się.

- To tylko utrudni twoje zadanie.

- A więc mam się zająć nie tylko odszukaniem Sare'a, ale również hrabiny Zładamir? Rosjanki, jak wnoszę?

- Właśnie! - przyznał markiz. - Oczywiście zdaję sobie sprawę, że za tą znajomością wcale nie musi się kryć coś podejrzanego, ale ostrożności nigdy nie za dużo. Rosyjscy szpiegowie robią wszystko, aby dotrzeć do tego, co my staramy

się przed nimi ukryć. Dotyczy to szczególnie spraw związanych z Tybetem.

- Czy istnieje jakikolwiek związek między Sarem a tą hrabiną?

- Z tego co wiem, to nie. Ale ustalenie, jak jest naprawdę, należy również do ciebie - wyjaśnił markiz. - Poza tym uważam, że nie byłoby to zbyt rozsądne, abym ci dawał list polecający do Neasdon. To mogłoby nas zdradzić.

- Nie sądzę, abym mógł mieć jakiegokolwiek kłopoty z dotarciem do niego - oświadczył Craig.

- Też tak myślę. Neasdon ma wielu przyjaciół w Monte Carlo, z którymi i ty z pewnością się zaprzyjaźnisz. Ale błagam cię, Craig, jeżeli dojdiesz do wniosku, że Neasdon zaczyna być niedyskretny, zrób wszystko, aby go powstrzymać.

Craig ze zdziwieniem uniósł brwi. Kiedy się odezwał, w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki, a usta wykrzywił złośliwy grymas.

- Czyżby pan coś sugerował...?

- Chcę po prostu powiedzieć, że każda kobieta, jeśli ma dokonać wyboru między młodym amerykańskim milionerem a raczej nudnym i niezbyt bogatym angielskim parem, zawsze wybierze tego pierwszego.

Craig roześmiał się.

- Tym razem, milordzie, jest pan autorem melodramatu, który bardziej pasuje do Drury Lane niż do „Casino in Monte Carlo”.

- Nie byłbym tego taki pewny - rzekł markiz. - Prawdę mówiąc, jestem po prostu zaniepokojony.

- Dlaczego?

- Dwa dni temu dowiedziałem się, że mój podwładny przez zbytnią gorliwość poinformował Neasdon o naszych interesach w Tybecie i o tajnych agentach, którzy donoszą

nam o każdym kroku Rosjan w tym odległym i mało znanym kraju. - Milczał przez chwilę, po czym ciągnął: - Może to i wygląda na melodramat, ale jeśli prawdą jest; że Randall Sare jest śledzony przez Rosjan, a Neasdon nieopatrznie wygadał się przed czarującą hrabiną, to skutki mogą być takie, że lata naszej pracy pójdą na marne, a wielu ludzi znajdzie się w niebezpieczeństwie.

- Rozumiem - powiedział Craig, po czym z wesołym błyskiem w oczach dodał: - i z prawdziwą przyjemnością poznam panią hrabinę.

- Podobno jest bardzo piękna - zauważył markiz, uśmiechając się lekko.

- Tym przyjemniejsze będzie moje zadanie. Czy to wszystko, co miał mi pan do powiedzenia?

Markiz podniósł się zza biurka.

- Tu są nazwiska naszych ludzi w Monte Carlo, ale nie muszę ci przypominać, że kontaktować się z nimi należy tylko w wyjątkowych okolicznościach. Nie powinni wiedzieć, że pracujesz dla nas. Mam nadzieję, że żaden z nich nie ma o tym zielonego pojęcia.

- To mi nawet odpowiada - dodał Craig. - Jeżeli czegoś nie lubię, to z pewnością sytuacji, kiedy muszę pracować z innymi.

- Wiem o tym i być może właśnie dlatego odnosisz takie sukcesy. Mimo wszystko bądź ostrożny!

Craig uniósł brwi, odbierając z rąk markiza kartkę papieru.

- Nie pamiętam, abym kiedykolwiek słyszał od pana takie słowa.

- Ale tym razem są ku temu powody. Bardzo poważnie traktuję pogrożki Rosjan. Jestem przekonany, że zrobią wszystko, aby osiągnąć cel.

- Chodzi o Indie!

- Tak. Rosjanie już nam udowodnili w Afganistanie, jacy potrafią być bezwzględni. Poza tym nie ma obecnie żadnych wątpliwości, że pieniądze, uzbrojenie i podburzanie plemion na granicy północno - zachodniej to dzieło Petersburga.

- Tym razem dał mi pan rzeczywiście wyjątkowo intrygujące zadanie. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że pana nie zawiodę.

- Jak dotychczas jeszcze nigdy się na tobie nie zawiodłem - odrzekł markiz. - A biorąc pod uwagę twoją pozycję wśród bogatych tego świata, nikt nie jest w stanie wywiązać się z tego zadania lepiej od ciebie. Jeśli będziesz się musiał ze mną skontaktować, korzystaj z dotychczasowych sposobów. Nasz szyfr jest wciąż aktualny.

- Doskonale! - Craig włożył do kieszeni kartkę papieru i wyciągnął dłoń w stronę markiza. - Dziękuję panu, milordzie. Tego mi właśnie było trzeba. Nuda to powód, dla którego wyjechałem z Nowego Jorku i dla którego nie mogę również pozostać w Londynie.

- Co ja słyszę! - zawołał markiz. - Czyżby twoje serce naprawdę było wolne?

Craig zaśmiał się.

- Nie jestem nawet pewien, czy mam serce. Ale moje oczy znużyło już oglądanie tego samego widoku. Z radością więc powitam każdą zmianę.

Dla markiza wszystko już było jasne. Wiedział, że Craig miał za sobą kolejny romans i tymczasem miejsce w jego sercu było wolne. Słyszał, iż wiele kobiet uważało Craiga za człowieka okrutnego, bezwzględnego i pozbawionego serca. Prawdą jest, że to on zawsze pierwszy znudzony odchodził, pozostawiając tonącą we łzach adorowaną do niedawna kobietę. Ale ponieważ wdawał się w romanse z kobietami doświadczonymi, które zwykle były już zamężne, nigdy nie groziło mu więc, że jakiś rozsierdzony ojciec zmusi go do

małżeństwa. Chociaż zawsze mogło się zdarzyć, że zostanie wyzwany na pojedynek przez zazdrosnego małżonka. Tylko nadzwyczajnej zręczności Craiga przypisać należy, że jak do tej pory udało mu się uniknąć publicznego skandalu, mimo iż jego przygody nieustannie były tematem rozmów buduarowych.

Markiz uściśnął dłoń gościa i odprowadzając go do drzwi pomyślał, że chciałby być znowu młody. Towarzyszyło temu uczucie żalu, iż będąc w wieku Craiga, nie korzystał z życia tak jak on. Natychmiast jednak uznał, że szanującemu się żonatemu mężczyźnie nie przystoją takie myśli. Ale był pewien, że wielu mężczyzn na świecie podobnie jak on zazdrościło Craigowi nie tyle fortuny milionera, ile nieprawdopodobnego wręcz powodzenia u kobiet.

Drzwi gabinetu otworzyły się i Craig rozumiejąc, że temat ich rozmowy ma pozostać tajemnicą, powiedział na tyle głośno, aby słyhać go było na drugim końcu korytarza:

- A więc do widzenia, milordzie. Proszę pozdrowić ode mnie rodzinę i przeprosić, że nie mogę tego zrobić osobiście. Postaram się wpaść w drodze powrotnej do Nowego Jorku.

- Zrób to koniecznie - dodał uprzejmie markiz. - Baw się dobrze w Monte Carlo. Mam nadzieję, że również przy stoliku będzie ci dopisywało szczęście.

- Wątpię - śmiejąc się odparł Craig - ale nie tylko karty się liczą. W Monte Carlo jest tyle innych rozrywek - powiedział z rzucającą się w oczy beztroską, przesyłając jednocześnie znaczący uśmiech w stronę tych, co byli dostatecznie blisko, aby go usłyszeć.

Następnie wyszedł i wsiadł do oczekującego go powozu.

Następnego dnia Craig Vandervelt wsiadł do pociągu na Victoria Station i udał się do Dover. Podróżował w specjalnie dla niego zarezerwowanym wagonie z gońcem, dwoma lokajami i sekretarzem.

Na statku odpływającym z Dover do jego dyspozycji przygotowano dwie kabiny, a w pociągu Calais - Mediterranean Express ponownie specjalny wagon. Jak zwykle sekretarz zaopatrywał go w najświeższą prasę, a w kabinie ustawiono kosz zawierający jego ulubione trunki i potrawy przygotowane dla niego przez mistrza sztuki kulinarnej z „Newcastle House”.

Craig siedział samotnie, rozmyślając o tym, czego dowiedział się od markiza, ogromnie podekscytowany sprawami, którymi wkrótce miał się zająć. Nie minął jeszcze rok od czasu, gdy również na prośbę markiza podjął się wykonania pewnej misji i chociaż wiedział, że wiele ryzykuje tak szybko ponownie włączając się w sprawy Ministerstwa i byłoby lepiej, gdyby ten świat mógł trochę o nim zapomnieć, znowu zaczynał tęsknić za mocniejszymi wrażeniami.

Stawał się coraz bardziej cyniczny w swoich sądach o wytwornym towarzystwie, które równie chętnie go przyjmowało w Londynie, Paryżu, jak i Nowym Jorku. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to szczególne traktowanie zawdzięczał fortunie ojca. Jednocześnie, ponieważ otrzymał prawdziwe kosmopolityczne wychowanie, tak zwany wielki świat otwierał przed nim ramiona, traktując go jak swego, gdziekolwiek się pojawił.

Nawet tak pogardliwie traktująca obcych, francuska arystokracja zawsze chętnie ofiarowywała mu gościnę. I chociaż wypływało to z faktu, iż jego dziadek był księciem, niezaprzeczalny urok Craiga, jego prawie perfekcyjna znajomość francuskiego oraz wyjątkowa sprawność fizyczna zjednywały mu uznanie i przyjaźń Francuzów.

Młody Vandervelt zapraszany był nie tylko na wszystkie bardziej znaczące bale i przyjęcia w Paryżu, na których bywała wyłącznie francuska śmietanka towarzyska, ale również na polowania, turnieje strzeleckie i żagle



organizowane przez młodą francuską arystokrację, która zazwyczaj nie dopuszczała obcych do swoich zabaw.

Jeśli chodzi o kobiety, Francuzki niczym się nie różniły od Angielek czy Amerykanek. Wystarczyło, aby tylko zobaczyły Craiga i już leciały za nim jak ćmy do ognia. Od czasu do czasu Craig powtarzał sobie, że to złoto sprawiało, iż w ich oczach był taki atrakcyjny, ale musiałby być skończonym osłem, aby nie dostrzec, że fascynował kobiety przede wszystkim jako mężczyzna i nadzwyczajny kochanek.

- Jet'adore! - omdlewającym głosem szeptały Francuzki.

Słowa te niczym refren powtarzane były prawie we wszystkich językach świata od bieguna północnego po południowy. Ale Craig nigdy jeszcze nie powiedział tego żadnej kobiecie. Nawet nie pamiętał, kiedy sobie przyrzekł, że nie wymówi tych słów, aż odezwie się jego serce, chociaż czasami miał wątpliwości, czy w ogóle takowe posiada.

To właśnie jego piękna matka, którą kochał nad życie, wpajała mu ideały rycerskości, powtarzając, że miłość między mężczyzną a kobietą w tym, co w niej najlepsze i najważniejsze, jest świętością.

Lady Elizabeth, starsza córka księcia Newcastle, zakochała się w Korneliuszu Vandervelcie, kiedy ten, jako ambitny, pewny siebie, dosyć agresywny młody Amerykanin, przybył do Anglii z Silnym postanowieniem, że zostanie milionerem.

Korneliusz Vandervelt, jak na warunki europejskie, już wtedy był bogatym człowiekiem, ale uważał, że osiągnął dopiero pierwszy szczebel drabiny. Miał zamiar wspiąć się na sam jej szczyt i nikt nie był w stanie mu w tym przeszkodzić.

Lady Elizabeth młody Korneliusz ujrzał po raz pierwszy na przyjęciu w Londynie i z miejsca zakochał się w niej bez pamięci. I tak jak zawsze, gdy czegoś bardzo pragnął, zrobił wszystko, aby ją oczarować. Po czym dokonał tego, co

zdawało się niemożliwe - przekonał ją, aby wyszła za niego za mąż.

Nie było to wcale łatwe. Jej ojciec, książę Newcastle, bardzo długo sprzeciwiał się temu związkowi, ale Elizabeth kochała Korneliusza tak jak Julia Romea czy Beatrice Dantego. Ich małżeństwo było bardzo szczęśliwe. Niestety, śmierć zabrała Elizabeth, kiedy ich jedynak miał zaledwie szesnaście lat. Zdążyła mu jednak przekazać własne ideały i wieczną tęsknotę za doskonałością.

Craig obiecał sobie, że nigdy się nie zakocha, jeśli nie spotka na swojej drodze istoty tak pięknej, słodkiej i szlachetnej jak jego matka. A ponieważ żadna ze spotkanych dotychczas kobiet nie spełniała tych oczekiwań, pozostał w swoim postanowieniu niewzruszony, czym do rozpacz doprowadzał interesujące się nim piękności. Wciąż się jednak łudziły, że w końcu w którejś się zakocha i nierozważnie rzuciły swe serca do jego stóp.

Craig nie byłby mężczyzną gdyby nie korzystał z okazji mu względów, a zdarzało mu się to już wtedy, gdy był jeszcze zupełnie młodym chłopcem. Jednak z biegiem lat coraz bardziej go to nużyło. Kobiety, nawet te, które przez jakiś czas akceptował, z niepokojem pytały:

- Co się stało, Craig? W czym cię zawiodłam? Czy jest coś, czego pragniesz, a czego nie mogę ci dać?

Nie potrafił im tego wyjaśnić, nie znajdował słów, przy pomocy których mógłby wyrazić zawód, jaki mu sprawiały. Czasami, gdy jakieś rozkoszne stworzenie z wyrazem uwielbienia w oczach wyciągało do niego ramiona, sądził, że wreszcie znalazł to, czego szukał. Bardzo szybko jednak się rozczarowywał i znowu wracał do poszukiwań, wierząc, że jego szczęście jest gdzieś daleko za horyzontem i dlatego nie może do niego dotrzeć. Niekiedy wyobrażał sobie, że jego

życie to wieczna pielgrzymka, której kres nastąpi dopiero w chwili śmierci.

Podążając teraz do Monte Carlo myślał nie tyle o hrabinie Zładamir, ile o Randallu Sare. Nikt lepiej od niego nie wiedział, jakie znaczenie przywiązuje brytyjski rząd do informacji zdobytych przez Sare'a w Tybecie.

Randall Sare, syn azjatyckiego naukowca, dzieciństwo spędził w Indiach i Nepalu, po czym wysłano go do szkoły w Anglii, a następnie na uniwersytet w Oksfordzie. Był bardzo zdolny i osiągał znakomite wyniki w nauce. Po ukończeniu uniwersytetu wrócił do kraju, w którym się urodził i który ukochał. Uczestnicząc w tak zwanym „Great Game” stał się dla Brytyjczyków bezcennym nabytkiem.

W tym czasie w Indiach działała tajna organizacja wywiadowcza, do której werbowano ludzi, szkolonych następnie do walki o wolność i pokój na Dalekim Wschodzie. „Great Game” miała sieć agentów, która rozciągała się na cały kraj i skupiała w swych szeregach nie tylko Europejczyków, ale również wielu Hindusów. W tajnym rejestrze indyjskiego Departamentu Kontroli znajdował się wykaz numerów, pod którymi ukrywali się tajni współpracownicy. Dzięki nim demaskowano i unieszkodliwiano Rosjan i innych wrogów działających na szkodę państwa.

Randall Sare był właśnie jednym z takich anonimowych numerów działających w „Great Game”. Dla wtajemniczonych zaś był na tej liście postacią numer jeden.

Craigowi wydawało się nieprawdopodobne, żeby Sare mógł wrócić z Tybetu bez powiadomienia o tym kogokolwiek w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nieprawdopodobne było również, że mógł zatrzymać się w Monte Carlo, nie kontaktując się przy tym z działającymi tam angielskimi agentami, których powinien przecież znać. Craig zaczynał skłaniać się ku temu, co sugerował markiz, że Sare

ukrywał się, ponieważ był śledzony i ponieważ uznał, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Craig nie tylko podziwiał Sare'a, ale również cenił go jako człowieka. Modlił się więc, aby powiodło mu się tam, gdzie inni zawiedli, i żeby odnalezienie Sare'a zajęło mu jak najmniej czasu. Nie zastanawiał się nad tym, jakie to będzie trudne i że każdy najmniejszy nawet błąd może kosztować życie nie tylko jego, ale i Sare'a. Długo rozmyślał o człowieku, który najprawdopodobniej znał Tybet lepiej niż jakikolwiek biały człowiek i którego informacje stanowiłyby dla Rosjan bezcenną zdobycz, gdyby tylko wpadł im w ręce.

Następnie pomyślał o drugiej zleconej mu misji - hrabina Aloya Zladimir. Jeśli rację miał markiz, że te dwie sprawy mogą się ze sobą wiązać, to powód, dla którego hrabina interesowała się lordem Neasdonem, stawał się oczywisty. Craig bronił się jednak przed myślą, że Neasdon mógł być aż tak nieostrożny.

- Rosjanie. Zawsze Rosjanie - powiedział do siebie Craig.

Nagle wspomniął z satysfakcją, że w Monte Carlo spotka wielu stałych bywalców, z którymi łączą go więzy przyjaźni. Arcyksiężęta, ludzie przeogromnie bogaci i przeważnie wyjątkowo sympatyczni, zjeżdżali do Monte Carlo, gdy tylko mieli dosyć dworskiej etykiety i nudnego życia w swoim kraju. Raz w roku niczym gromady wędrownego ptactwa ciągnęli do tego nudnego kurortu, gdzie mieli wspaniałe rezydencje i gdzie czekał na nich rój pięknych kobiet, które obsypywali klejnotami, przegrywając jednocześnie w kasynie ku zadowoleniu władz miasta astronomiczne wręcz sumy. Ludzi z podobną klasą, ekstrawagancją i polotem można by szukać z przysłowiową świecą.

Craig z góry cieszył się na odnowienie znajomości z wielkim księciem Borysem i wielkim księciem Michałem. Nie miał nawet cienia wątpliwości, że w kręgu ich znajomych

znajdą się najpiękniejsze i najbardziej fascynujące kobiety całej Europy. Zastanawiał się, czy hrabina Aloya będzie również wśród nich. Przeczucie mu mówiło, że piękna Rosjanka już niedługo stanie na jego drodze.

Wypuszczając kłęby pary, pociąg wtoczył się na stację w Nicei i Craig przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien wysiąść, aby poszukać swojego jachtu, który zgodnie z jego poleceniem wypłynął z Marsylii, kierując się do Monte Carlo. Obawiał się jednak, że w tym czasie łódź dopłynęła zaledwie do Villefranche. Oczywiście, dalsza podróż morzem byłaby o wiele przyjemniejsza, ale trwałaby w tej sytuacji o wiele dłużej.

Po krótkim wahaniu zdecydował się pozostać w pociągu. Kiedy jego sekretarz wszedł do przedziału, aby zapytać, czy Craig czegoś nie potrzebuje, ten poprosił jedynie o kupno porannych francuskich gazet, po czym już do końca podróży zajęty był ich lekturą.

W końcu dojechali do Monte Carlo. Craig wysiadł z pociągu i skierował się do wyjścia z budynku dworcowego, gdzie oczekiwał już na niego odkryty powóz. Nieco dalej stał inny, przeznaczony dla służby i bagażu. Craig zajął miejsce w powozie i kiedy konie ruszyły, zdjął kapelusz, z lubością wystawiając twarz na ciepłe promienie słońca i lekką bryzę.

Zjeżdżali po niewielkim wzniesieniu, kierując się w stronę przystani. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było stojące na kotwicy różnej wielkości jachty z malowniczo powiewającymi banderami. Oczy Craiga wędrowały od niezliczonych flag francuskich mieniających się czerwienią bielą i błękitem do białych bander łodzi brytyjskich.

W pewnej chwili dostrzegł dwa jachty rosyjskie, zacumowane jeden obok drugiego, każdy pod banderą z widniejącym na niej cesarskim orłem. Postanowił, że musi się jak najszybciej dowiedzieć, do kogo te jachty należą. Konie

rozpoczęły właśnie wspinaczkę na strome wzgórze, na którego szczycie królowało pokryte złotą kopułą kasyno i wtedy Craig obejrzał się, jakby te dwa rosyjskie jachty miały w sobie jakąś magnetyczną moc, jakby znały tajemnicę, do której on za wszelką cenę chce dotrzeć.

Craig Vandervelt ilekroć zjawiał się w Monte Carlo, nigdy nie wynajmował rezydencji, chociaż nie było to dla niego żadnym problemem. Wolał „Hotel de Paris”, gdzie zawsze oczekiwał na niego luksusowy apartament. Jego zacumowany na przystani jacht w każdej chwili umożliwiał mu opuszczenie Monte Carlo, a kiedy potrzebował samotności lub chciał mile spędzić czas z jakąś urodziwą syreną zawsze mógł wypłynąć w kilkudniowy rejs wzdłuż włoskiego wybrzeża i wrócić, kiedy tylko miał na to ochotę.

Obsługa hotelu powitała Craiga z wielkim szacunkiem, a dyrektor osobiście zaprowadził go do apartamentu, który prezentował się niezwykle okazale i był bez wątpienia najlepszy w całym budynku hotelowym. Craig niezwykle sobie cenił spokój i własną prywatność. Z tego też względu zawsze dodatkowo wynajmował po kilka sąsiednich pokoi.

Salon tonął w kwiatach, co biorąc pod uwagę, że miał w nim zamieszkać mężczyzna, wydawało się dosyć dziwne. Ale w tym przypadku nie tyle chodziło o zapach kwiatów, ile o to, aby pokoje hotelowe były bardziej przytulne, do czego Craig przywiązywał dużą wagę. W sypialni było także mnóstwo kwiatów, a kiedy Craig wyjrzał przez okno, ujrzał swój jacht wpływający właśnie do przystani.

Nie tylko sylwetka łodzi budziła zachwyt. Również jej wnętrze imponowało wyjątkowym luksusem i wygodą. Craig Vandervelt sam był autorem wielu udoskonaleń, a niektóre z nich zostały już nawet wykorzystane przez właścicieli innych jachtów. Były jednak i takie, o których jeszcze nikt nie wiedział.

Craig pomyślał, że w ciągu najbliższych kilku dni mógłby przetestować swoje najnowsze pomysły. Ale w tej chwili najważniejszą dla niego sprawą było rozejrzenie się w sytuacji i przystąpienie do realizacji planu odszukania Randalla Sare'a.

Nikommu, kto pół godziny później widział, jak Craig nie spiesząc się wychodzi z hotelu na zalaną słońcem ulicę, nawet do głowy by nie przyszło, że ten atrakcyjny młody człowiek może myśleć o czymś innym niż o korzystaniu z rozrywek, których tak wiele dostarczało to maleńkie księstwo.

Pomimo wczesnej jeszcze pory wielu znamienitych gości zażywało już świeżego powietrza, przechadzając się w pobliżu kasyna alejkami tarasowo biegnącego ogrodu lub kierując się do stojących na zewnątrz „Cafe de la Paix” stolików, gdzie sącząc drinki plotkowali, z upodobaniem obmawiając siebie nawzajem.

Zanim Craig zdążył zrobić kilka kroków, już witały go liczne głosy przyjaciół i znajomych.

- Craig! Byłam pewna, że się tu zjawisz! - zawołała jakaś piękność, ubrana w sobole i obwieszona bajecznie drogimi klejnotami.

A Gaby Delys, najbardziej znana i najgoręcej oklaskiwana aktorka w Paryżu, w ogromnym kapeluszu z piór, z radością ucałowała go w obydwie policzki, mówiąc przy tym:

- Mon cher, Craig! Tak bardzo się cieszę, że cię widzę!

Craig kłaniał się, całował delikatne rączki pań, przechodząc od stolika do stolika, od jednej grupy przyjaciół do drugiej. Był przyzwyczajony, że tak go witano. W lśniących oczach kobiet spotykał wciąż to samo wiele obiecujące zaproszenie, a na ich ustach ten sam prowokujący uśmiech.

Kiedy w końcu zamówił dla siebie mały aperitif, usiadł przy Zsi - Zsi de la Tour, najlepiej poinformowanej osobie w Monte Carlo, i zapytał:

- Powiedz mi, Zsi - Zsi, kto zjawił się już w Monte Carlo?  
- Jeśli o mnie chodzi, mon brave, poza tobą nie widzę nikogo!

Usta Craiga leciutko zadrżały.

- Co na to powiedziała by wielki książę? Zsi - Zsi wzruszyła ramionami.

- Byłby zazdrosny, ale ja uważam, że dobrze by mu to zrobiło!

Craig roześmiał się.

- W każdym razie nie chciałbym Jego Cesarską Wysokość pozbawiać przyjemności przebywania z tobą.

- Tak mówi Anglik, kiedy chce damie dać do zrozumienia, że nie jest zainteresowany jej ofertą - odpowiedziała Zsi - Zsi.

Craig znowu się roześmiał. Zsi - Zsi była jak zwykle nieobliczalna. Chociaż ich romans skończył się ponad pięć lat temu, nadal pozostawali przyjaciółmi, a on ilekroć był w Paryżu, nigdy nie zapominał jej odwiedzić. Rozejrzał się dookoła.

- Widzę niewiele nowych twarzy, za to mnóstwo takich, którym jakby przybyło lat.

- To bardzo nieuprzejme, Craig, i zupełnie nie w twoim stylu.

- Ale ja wcale nie miałem ciebie na myśli - zaprotestował.  
- Przecież wiesz, równie dobrze jak ja, że jesteś wiecznie młoda... i z każdym dniem piękniejsza.

- To już brzmi znacznie lepiej - zauważyła Zsi - Zsi. - Chciałabym tylko, aby to była prawda. Chociaż muszę przyznać, że Borys wciąż uważa mnie za bardzo atrakcyjną.

- To wspaniale. Jak zdążyłem zauważyć, podarował ci kilka ładnych drobiazgów. - Wymownie zatrzymał wzrok na ogromnym szmaragdzie, zdobiącym szyję Zsi - Zsi i na drugim, wielkości luidora, tkwiącym na jej palcu.



Spojrzała na niego przeciągle spod długich, wytuszowanych rzęs i szepnęła:

- Czy wiesz, który z ofiarowanych mi klejnotów cenię najbardziej?

- Nie mam pojęcia.

- Ten maleńki z wizerunkiem Św. Krzysztofa, który dostałam od ciebie, i nie uwierzysz, ale zawsze noszę go w torebce. To moje szczęście, mój talizman i moje bon chance przy stole w kasynie.

- Cieszę się - powiedział śmiejąc się Craig. - A teraz powróćmy do zasadniczej kwestii. Jak myślisz, z kim mógłbym przyjemnie spędzić czas, skoro ty już jesteś zajęta?

- Pozwól, niech pomyślę... - głośno zastanawiała się Zsi - Zsi. - Rozumiem, że wyznajesz zasadę, iż nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.

- Zgadza się.

Zsi - Zsi zmarszczyła brwi.

- Niestety, nie widzę zbyt wielu nowych twarzy! - Po chwili milczenia dodała: - Jest jedna, ale zupełnie nie wiem, skąd się tu wzięła.

- Kto taki? - zapytał obojętnym tonem Craig, przesuwając wzrokiem po siedzących przy stolikach gościach.

- Przedstawiła się jako hrabina Aloya Zładamir - poinformowała go Zsi - Zsi. - Ale Borys twierdzi, że nigdy o niej nie słyszał.

## Rozdział 2

Po powrocie do hotelu Craig zapytał w recepcji, czy nie ma do niego jakiejś korespondencji. Kiedy recepcjonista odwrócił się, aby sprawdzić, Craig błyskawicznie przebiegł wzrokiem po rozłożonym na ladzie rejestrze hotelowym. Dawno temu nauczył się czytać do góry nogami i teraz bez trudu wśród wielu nazwisk zamieszkujących tu gości, odnalazł to, którego szukał.

Z satysfakcją stwierdził, że hrabina znalazła się w tym samym co on hotelu. I kiedy recepcjonista wręczył mu kilka listów, które nadeszły z Ameryki, Craig powiedział:

- Jestem zadowolony z moich pokoi. Mam tylko nadzieję, że na moim piętrze nie umieściliście zbyt wielu hałaśliwych gości, tak jak się to zdarzyło dwa lata temu.

- Jestem przekonany, monsieur Vandervelt, że tym razem nie będzie pan miał powodu do narzekania - gorąco zapewnił recepcjonista.

- Miejmy nadzieję - odrzekł Craig z nutką powątpiewania.

Recepcjonista spojrział na wiszące za nim klucze i dodał:

- Jednym z pańskich sąsiadów jest książę Norfolku, który zawsze kładzie się spać bardzo wcześnie, drugim wielki książę Lichtensteinu.

Craig skinął głową i wtedy recepcjonista, chcąc mu się najwyraźniej przypodobać, dodał:

- Pańską sąsiadką jest również hrabina Aloya Zladimir. Pani hrabina gości w naszym hotelu po raz pierwszy.

- Nie wydaje mi się, abym kiedykolwiek o niej słyszał. - Ton jego głosu miał sugerować, że ta informacja nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

Po chwili od kelnera, który przyniósł mu na górę butelkę wody evian, dowiedział się, iż pokój hrabiny przylega do ostatniego pokoju jego apartamentu. A to oznaczało, że balkony w ich salonach wychodziły na tę samą stronę i że

roztaczał się z nich piękny widok na morze, przystań i zbudowany na samym cyplu pałac książęcy.

Craig był zaproszony na lunch i kiedy zszedł na dół, zastał swoich przyjaciół siedzących przy drinku w barku w hallu hotelowym. Zastanawiał się, czy spotka hrabinę i czy będzie w stanie ją rozpoznać. Znał wiele Rosjanek, które były wyjątkowo pięknymi kobietami. Uważał, że jest w nich, podobnie jak i w ich męskich odpowiednikach, jakiś niezwykle urok, któremu nie sposób się oprzeć, zgodnie zresztą z romantycznym wyobrażeniem reszty świata o Rosjanach.

W odniesieniu do rosyjskiej arystokracji mogło to być prawdą. Ale nikt lepiej od Craiga nie wiedział, jak bardzo bezwzględni, a często nawet brutalni, potrafią być rosyjscy żołnierze w Afganistanie czy jakimś innym kraju, który znalazł się pod ich kontrolą.

W zatłoczonej restauracji o wspaniałym wystroju ścian, z kryształowymi żyrandolami i złotymi zdobieniami, było wiele osób, które Craig znał i które witały go teraz, w różny sposób manifestując swoją radość. Niestety, nie było wśród nich nikogo, kto zdaniem Craiga mógłby być hrabiną. Zauważył natomiast lorda Neasdon, jedzącego lunch w towarzystwie dwóch gentlemanów.

Kiedy lunch dobiegł końca, Craig nie bez trudu uwolnił się od swoich przyjaciół. Tłumacząc się potrzebą ruchu, wyszedł z hotelu i udał się pieszo w stronę przystani. Wiedział, że jego jacht dotarł już na miejsce, ale celem jego wyprawy nie była przystań, lecz małe kościółek poniżej wiaduktu kolejowego, gdzie ci, co uprawiają gry hazardowe, rzadko zaglądają.

Kaplicę St. Devote zbudowano w dole głębokiego wąwozu, tak więc niewiele światła przenikało przez kolorowe

witraże i wewnątrz było prawie ciemno, nie licząc bladego światła świec palących się przed figurą.

Kiedy Craig wszedł do świątyni, wewnątrz były tylko dwie, okryte szalami starsze kobiety, które klęcząc szeptały pacierze. Craig cicho przeszedł do nawy bocznej, kierując się w stronę konfesjonału, gdzie za ażurową ścianką siedział ksiądz. Nie widzieli siebie nawzajem, ale kapłan najwidoczniej wyczuł jego obecność i po chwili powiedział po łacinie:

- In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti, Amen (łac - W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. (przyp. tłum.) )  
Craig ukląkł w konfesjonale i powiedział tak cicho, że nikt

niewołany nie był w stanie go usłyszeć:

- Czy to ty, ojcze Augustynie? Jestem Craig. Ksiądz najwyraźniej tym zaskoczony, milczał przez chwilę, po czym wyszeptał:

- Nie wiedziałem, mój synu, że już tu przybyłeś.

- Jestem w Monte Carlo zaledwie od paru godzin.

- Cieszę się, że znowu cię widzę.

- Ja też się cieszę, ale potrzebuję twojej pomocy, ojcze. W głosie księdza, kiedy ponownie się odezwał, można było wyczuć leciutką kpinę:

- Powinienem od razu się domyślić, że musi być jakiś powód tak nagłej wizyty.

- Szukam kogoś - zauważył Craig - kto, jak sądzę, znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- I przypuszczasz, że powinienem o nim słyszeć?

- Nie mam innej możliwości dotarcia do niego, a ty, ojcze, już kiedyś pomogłeś mi uratować czyjeś życie, które jest przecież darem Boga.

- Jak nazywa się ten, którego szukasz?

- Randall Sare.

- A więc powinienem o nim słyszeć?

- Tak sędzę. Ojciec Randalla, Conrad Sare, był znanym badaczem Orientu. Jego książki czytane są na całym świecie, szczególnie przez tych, którzy interesują się Wschodem. Jestem pewien, że jego praca o buddyzmie znajduje się w większości klasztornych bibliotek.

Z ust księdza wyrwał się cichy okrzyk:

- Teraz już wiem, o kim mówisz. A więc to chodzi o jego syna?

- Dowiedziałem się, że parę tygodni temu Randall Sare był w Monte Carlo, ale podejrzewam, że teraz ukrywa się przed tymi, którzy go śledzą.

- Skąd przyjechał?

Craig chwilę się wahał. Po czym przekonany, że może swemu rozmówcy zaufać, spokojnie dodał:

- Z Tybetu.

Wiedział, że to krótkie wyjaśnienie powinno wystarczyć. Ojciec Augustyn był człowiekiem bardzo inteligentnym i wyjątkowo dobrze poinformowanym, o czym Craig miał okazję już wcześniej się przekonać.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy - odezwał się ksiądz po chwili milczenia.

- O to właśnie chciałem ojca prosić - rzekł Craig - i z góry ojcu za wszystko dziękuję. Wiem, że pod ojca opieką jest wielu biednych, którym przyda się parę amerykańskich dolarów.

- Nie dziękuj mi. Jeszcze niczego nie zrobiłem - przerwał mu ksiądz - i przyjdź jutro, jeśli możesz.

- Przyjdę na pewno, jeszcze raz dziękuję, Mon Pere. Chciałbym ojcu powiedzieć, że ten uratowany przez ojca człowiek mieszka teraz pod Nowym Jorkiem i jest bardzo zadowolony z amerykańskiego obywatelstwa.

- Dziękuję Bogu, że dane mi było go uratować - szepnął kapłan.

Craig podniósł się z kolan.

- Do widzenia, ojciec. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny za pomoc.

Przez cienkie ścianki konfesjonału przenikały wypowiedziane przez kapłana słowa błogosławieństwa:

- Misereatur vestri omnipotens Deus, et dimissis peccatis vestris perducatur vos ad vitam aeternam. ( łac - Niech Bóg Wszechmogący ma cię w swojej opiece, przebaczy ci twoje grzechy i doprowadzi do życia wiecznego, (przyp. tłum.))

Kiedy Craig skierował się do wyjścia, zauważył tylko jedną starszą kobietę, która czekała na miejsce przy konfesjonale i przechodzący obok mężczyzna nie wzbudził jej żadnego zainteresowania. Mimo to Craig, wychodząc z założenia, że ostrożności nigdy nie za wiele, zapalił świecę przed figurą Joanny d'Arc i ostentacyjnie wrzucił parę monet do stojącej przed nią skarbonki. Po czym wyszedł na zalaną słońcem ulicę, czując się tak, jakby część trapiących go problemów przeszła na kogoś, kto był silniejszy niż on.

Nikommu, kto znał Craiga, do głowy by nie przyszło, że może się on przyjaźnić z katolickim księdzem i kiedy teraz, po wyjściu z kościoła, szybkim krokiem szedł w stronę ulicy wiodącej do przystani, miał nadzieję, że nikt go nie zauważył. Było to raczej mało prawdopodobne, ponieważ o tej porze przebywający w Monte Carlo goście albo ucinali sobie drzemkę po obfitym lunchu, albo rwali się już do gry w karty

w ekskluzywnej „Salle Touzet”. Główna część kasyna, poszerzona ostatnio o „Salle Touzet”, wkrótce zapełni się zwykłymi ludźmi z miasta i mniej ważnymi gośćmi, którzy jak zahipnotyzowani śledzić będą toczące się po stołach do ruletki kule. Craig odczuwał wielką ulgę, że nie musi się do nich przyłączyć.

Kiedy dotarł do przystani, przekonał się, że jego jacht był już zacumowany, a pomost przerzucony na nabrzeże. Wszedł na pokład, gdzie powitali go kapitan i pierwszy oficer, nie kryjący zadowolenia, że otrzymali polecenie wypłynięcia w morze po długim okresie zimowym, spędzonym w porcie w Marsylii.

- Gdzie zamierza pan płynąć, panie Vandervelt? - skwapliwie zapytał kapitan.

Craig doskonale wiedział, iż w tym pytaniu skrywała się nadzieja, iż w żadnym porcie nie będą bawić zbyt długo.

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział. - Ale chciałbym, aby jacht w każdej chwili był gotowy do wypłynięcia. Wiecie, jak bardzo nie lubię zbyt długich postojów.

- Czekalem, że pan to powie, sir - odrzekł kapitan, - Greckie wyspy są o tej porze roku wyjątkowo atrakcyjne.

- To prawda - zgodził się Craig, po czym już bardziej rzeczowo dodał: - Czy zgodnie z moim poleceniem wszystkie nowe urządzenia zostały już zainstalowane?

- Oczywiście, sir. Mam nadzieję, że sam się pan o tym przekona.

Craig zaczął przegląd od mostka kapitańskiego, gdzie obejrzał kilka rozwiązań własnego pomysłu. Następnie obszedł cały jacht i z zadowoleniem stwierdził, że zamówione przez niego obrazy zostały już powieszono, urządzenia utrzymujące w czasie sztormu stoły w równowadze zamontowane, a wielkie łóżko, które kupił do swojej

luksusowej kabiny, uznając, że poprzednie było za ciasne, też znajdowało się na swoim miejscu.

Craig ponownie wyszedł na pokład i zwrócił się do kapitana:

- Zauważyłem na przystani dwa rosyjskie jachty. Czy mógłby pan sprawdzić, do kogo należą?

- Już o to pytałem, sir - odezwał się kapitan. - Niestety, nie uzyskałem odpowiedzi.

Craig słuchał tego, co mówi kapitan, ale jednocześnie obserwował przystań. W pewnej chwili, widząc między jachtem księcia Westminsteru a jednym z jachtów rosyjskich wolne miejsce do cumowania, powiedział:

- Ciekawi mnie, czy Rosjanie są tak samo zaawansowani w technice jak my. Myślę, że to dobry pomysł, aby na jakąś godzinę wypłynąć teraz na morze, a kiedy wrócimy, spróbujemy zacumować tuż przy tym pierwszym jachcie, nad którym powiewa cesarska flaga.

- Jestem pewien, że nie będzie z tym problemu, sir - zauważył kapitan. - Zaraz pójde porozmawiać o tym z właścicielem przystani.

Kapitan wyszedł na ląd, a Craig w tym czasie kontynuował przegląd jachtu. Jacht nazywał się „The Mermaid” i kiedy go budowano, Craig pilnował każdego detalu. Nie dopuszczał nawet myśli, aby jakikolwiek inny, najdroższy nawet jacht mógł mieć bardziej nowoczesną technologię -

Craig nie musiał zbyt długo czekać na powrót kapitana. I kiedy ten się zjawił, od razu wiedział, że jego prośba została odrzucona.

- Bardzo mi przykro, panie Vandervelt - zaczął kapitan - ale właściciel przystani powiedział, że chociaż Rosjanie aktualnie nie korzystają z tego miejsca, dawno już zapłacili za jego rezerwację.



Craig zmarszczył brwi, ale się nie odezwał, a kapitan mówił dalej:

- Powiedział również, że wszystkie lepsze stanowiska przy nabrzeżu są już zarezerwowane i że od rana trzykrotnie zwracano się do niego w sprawie tego miejsca, ale wszystkim musiał odmówić, oferując znacznie gorsze, położone daleko od kei.

A ponieważ to oznaczało, że za każdym razem, gdy ktoś chciał opuścić pokład, trzeba go było łódką przewozić na brzeg, Craig domyślał się, jakie to dla właścicieli jachtów było irytujące. Z uśmiechem więc rzekł:

- No cóż, powinniśmy się cieszyć, że udało się nam zdobyć przynajmniej takie. A teraz chciałbym zobaczyć, jaką szybkość osiąga „Mermaid” po zamontowaniu nowego silnika.

Dwie godziny później opuściwszy jacht, Craig ponownie maszerował w górę w stronę kasyna. Wprawdzie miał swoje auto w Monte Carlo, ale jeszcze z niego nie korzystał. Doskonale wiedział, że jego kierowca wprost umiera z ciekawości, chcąc się dowiedzieć, czy Craig weźmie udział w Concours d'Elegance, który został zainaugurowany dwa lata temu i od razu stał się nieprawdopodobną sensacją. To nasunęło Craigowi pewien pomysł. Domyślał się, że ci, którzy posiadają własne auta, będą szukać pięknych kobiet, aby wyrzucić na jurorach jak największe wrażenie. Rok temu sam brał udział w takim konkursie i pamiętał, że samochody prezentowano i poddawano ocenie jury na tarasie znajdującym się poniżej kasyna.

O trzeciej po południu wszystkie samochody przejechały dookoła tarasami, a następnie zatrzymały się przed główną trybuną, gdzie przyznawane były nagrody. Po czym ponownie zrobiły koło i kolejną nagrodę otrzymała najbardziej elegancko ubrana kobieta, towarzysząca kierowcy.

Rok temu Craig otrzymał Grand Prix d'Honneur. I chociaż przyjęło się nie przyznawać ani drugiej, ani trzeciej nagrody, w oficjalnych komunikatach podawano nazwiska zdobywców Prix d'Honneur, Grand Prix d'Honneur oraz Premier Prix, jak również nazwiska uhonorowanych nagrodami dam, ich krawcowych i modystek. Taki regulamin konkursu gwarantował wysoką temperaturę zawodów nie tylko wśród pań, ale również wśród tych, którzy je ubierali.

Craig z rozbawieniem przypomniał sobie, jak urocza piękność po zdobyciu wraz z nim nagrody powiedziała, że dzięki temu zwycięstwu aż do końca roku jej paryska krawcowa będzie szyła dla niej suknie za darmo albo o połowę taniej.

Ponieważ szukał osoby bardzo rzucającej się w oczy, nie sądził, aby miał problemy z jej odnalezieniem. Wszedł do kasyna, minął sale gry dla zwykłych gości i przeszedł do „Salle Touzet”.

Prawie przy każdym stoliku siedziały bardzo piękne i bardzo eleganckie kobiety. Jak zahipnotyzowane wpatrywały się w karty lub koła ruletki i zupełnie nie zwracały uwagi ani na mężczyzn siedzących tuż obok nich, ani na tych, którzy krążyli po sali, szukając towarzystwa.

Craig uważnie się rozejrzał, aż wreszcie dostrzegł wielkiego księcia Borysa. Księżę zdawał się być bez reszty pochłonięty paleniem cygara, podczas gdy Zsi - Zsi przeżywała prawdziwy dylemat. Nie mogła się zdecydować, czy postawić otrzymanego w prezencie złotego luidora na liczbę, którą uważała za „szczęśliwą”.

Craig dobrze wiedział, jak bardzo przesadna była Zsi - Zsi. Zresztą wcale się temu nie dziwił. Każdy gracz wierzył w jakiś fetysz, który miał mu zapewnić wygraną. Znał kobiety noszące przy sobie skórę jadowitego węża, pazur orła, łapę królika czy kawałek sznura wisielca. Znał również i

mężczyzn, którzy idąc do kasyna sypali do kieszeni wieczorowej marynarki pełną łyżkę soli, wierząc że przyniesie im szczęście przy zielonym stoliku. Takie zachowanie zawsze Craiga bawiło. Uważał, że to, czego każdy człowiek potrzebuje najbardziej, to intuicja, która ostrzega przed niebezpieczeństwem, i spostrzegawczość, która mówi, że jest ono tuż, tuż. Oczywiście, nie mógł tego powiedzieć wielkiemu księciu. Podobnie jak większość jego rodaków uważał on, że o szczęście tak jak o kobietę zawsze należy zabiegać.

- Jak się masz, Craig? - powitał go książę Borys.

- Znakomicie, ponieważ pana widzę, sir - z kurtuazją odpowiedział Craig. - Jak się pan bawi?

- Nie najlepiej - zauważył wielki książę. - Ale teraz, kiedy wreszcie jesteś z nami, mam nadzieję, że to się zmieni. Co powiesz o zaproszeniu na jutrzejszy wieczór?

- Będę zaszczycony - oświadczył Craig.

- Powiem Zsi - Zsi, aby zaprosiła wszystkich twoich przyjaciół i skreśliła wrogów, jeśli takowych posiadasz.

- Mam nadzieję, iż jest ich niewielu i że są daleko od siebie.

- Dobrze mówisz - zauważył wielki książę. - Jesteś tu bardzo popularny, Craig. Ale - jak widzę - jesteś sam. Musimy więc znaleźć ci jakąś piękność, abyś zbyt szybko nie chciał nas porzucić. - Po chwili milczenia dodał: - Widziałem twój jacht na przystani, a więc w każdej chwili możesz odpłynąć, a my nawet nie będziemy w stanie temu zapobiec.

Craig roześmiał się.

- Mam zamiar zatrzymać się tu na dłużej. Nowy Jork śmiertelnie mnie znudził, a Londyn o tej porze roku też wcale mnie nie pociąga.

- Z pewnością deszcze go nie omijają,

- Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. - - Craig znowu się roześmiał.

Nie przerywając rozmowy, skierowali się w stronę otwartego okna i zajęli miejsca przy stojącym w pobliżu stoliku. W tej samej niemal chwili do wielkiego księcia podszedł kelner. Księżę zamówił butelkę szampana, po czym, jakby coś go nurtowało, odezwał się:

- W Monte Carlo zjawiała się niezwyklej urody kobieta, której nigdy wcześniej nie widziałem. Ale wszystko wskazuje na to, że związała się już z jednym z twoich rodaków, którego, jak sędzę, znasz... Mam na myśli lorda Neasdon.

- Nigdy go nie spotkałem - powiedział Craig. - Jaki on jest?

- Straszliwie nadęty facet. Nie mogę pojąć, co tak atrakcyjna kobieta jak hrabina Aloya Zladamir może w nim widzieć.

Craig milczał przez chwilę, po czym odezwał się:

- Sędząc po nazwisku można by przypuszczać, że to pańska rodaczka.

- Tak sędzę - zgodził się wielki księżę. - Wprawdzie nigdy nie spotkałem nikogo ze Zladamirów, ale to wcale nie znaczy, że nie istnieją.

- Przecież to niemożliwe, aby w kraju tak dużym jak pański można było znać wszystkich - śmiejąc się zauważył Craig.

- Ona jest taka młoda. - wielki księżę zdawał się podążać tropem własnych myśli. - Zupełnie nie wiem, co o tym sędzić. Czy jest to dama, czy też kobieta z półświatka?

- Nie uważam, aby ta kwestia była trudna do rozstrzygnięcia, przynajmniej dla kogoś, kto jest tak bystry jak Wasza Cesarska Wysokość.

- Nie żartuj sobie ze mnie, Craig - odezwał się wielki księżę. - Muszę jednak przyznać, że ta kobieta zupełnie zbiła mnie z tropu. Przedstawiłem się jej i nie uwierzysz, ale dała mi odczuć, że absolutnie nie jest mną zainteresowana.

Wielki książę mówił to z tak zabawną szczerością że Craigowi nagle zachciało się śmiać. Doskonale wiedział, że zostać znajomą wielkiego księcia Borysa - człowieka tak przystojnego, bogatego, niezwykle hojnego i urzekającego, który brylował w kręgach towarzyskich Monte Carlo - było ambicją każdej kobiety, bez względu na to, czy należała do wielkiego świata, czy też tylko zwykłego półświatka.

Craigowi przyszło na myśl, że jeśli to, co wyjawiał wielki książę, było prawdą, to po raz pierwszy zdarzyło się, iż zainteresowanie okazywane przez niego jakiejś kobiecie nie spotkało się z jej entuzjastycznym przyjęciem. Najwyraźniej dotknęło to księcia do żywego, ponieważ tak mówił dalej:

- Sądziłem, że będąc tu po raz pierwszy i do tego zupełnie sama, z radością skorzysta z okazji do poszerzenia kręgu znajomych. Ale nic z tego nie wyszło. Widuje się ją w towarzystwie Neasdon albo zupełnie samą.

- Prawdopodobnie jest w nim zakochana.

- Nie wierzę w to! - oświadczył wielki książę. - Ten Neasdon może i jest dobrym dyplomata ale co do jednego nie mam wątpliwości. W łóżku jest tak samo śmiertelnie nudny jak w czasie obiadu.

Craig znowu się roześmiał.

- To brzmi jak kompletna dyskwalifikacja, szczególnie gdy jej autorem jest taki ekspert jak pan, sir.

Wielki książę uznał za stosowne również się roześmiać.

- Prawdopodobnie zbyt się w to wszystko zaangażowałem, Craig. Nie kryję jednak, że nie mogę o tym myśleć bez irytacji. Ale nie mów nic o tym Zsi - Zsi. Ona nawet nie ma pojęcia, że interesuję się tą kobietą.

- Może być pan pewien, że wszystko zostanie między nami.

- Doskonale. Spróbuję zaprosić hrabinę na jutrzejsze przyjęcie. Będziesz miał więc okazję jej się przyjrzeć -

oznajmił wielki ksiązę, biorąc do ust łyk szampana. - Chociaż mam wątpliwości, czy ona to zaproszenie przyjmie.

- Dlaczego by nie spróbować zaprosić Neasdon, sugerując jednocześnie, aby przyprowadził ze sobą hrabinę?

Wielki ksiązę zachichotał.

- Powinienem był wiedzieć, że dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych! Ależ naturalnie! To doskonały pomysł! Wyobrażam sobie, że z zadowoleniem przyjmie moje zaproszenie. Dotychczas zawsze go pomijałem.

- Jestem przekonany, sir, że Neasdon będzie zachwycony i nie omieszka sprawdzić, czy zaproszenie dotyczy dwóch osób.

- A więc postanowione! - oświadczył wielki ksiązę. Chwilę jeszcze rozmawiali o zbliżającym się Concours d'Elegance, po czym kiedy Craig zamierzał się już pożegnać, ksiązę wprosił się na pokład „Mermaid”.

Wracając do hotelu Craig miał uczucie, że wykonał kawał dobrej roboty, chociaż jak dotychczas nie udało mu się nawiązać kontaktu z dwojgiem ludzi, na których zależało mu najbardziej. Ale gdy szedł korytarzem do swego apartamentu, tuż przed sobą ujrzał jakąś bardzo elegancką postać. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że idąca przed nim kobieta porusza się z niespotykanym wdziękiem i jest wiotka jak trzcina. Kiedy się zatrzymał przy swoich drzwiach, a kobieta w odległym końcu korytarza, uświadomił sobie, że to hrabina Aloya Zładamir. Pomyślał, jaki to szczęśliwy zbieg okoliczności, że ich apartamenty sąsiadują ze sobą i że dzielący ich pokój jest pusty.

- Jak widać, szczęście mnie wciąż nie opuszcza - powiedział do siebie Craig. - Nie potrzebuję ani skóry węża, ani sznura wisielca, ani czarnego kota!

Aż do godzin wieczornych zajęty był lekturą gazet. Po czym, przebrawszy się w wytworny obcisły frak, który

podobnie jak inne jego ubrania uszyty był w London's Savile Row, zszedł na dół, aby odszukać towarzystwo, z którym miał zjeść kolację. Byli to jego starzy przyjaciele, których spotkał tego ranka na tarasie przed kasynem. Bardzo wtedy nalegali, aby przyłączył się do nich, na co on przystał z ochotą. Sporządził już w myślach listę osób, z którymi chciał odnowić kontakty, i tych, których miał zamiar unikać.

Tego wieczoru był gościem księcia i księżnej Braganza, obojga czarujących, nie mówiąc o księżnej, którą uważano za wyjątkowo atrakcyjną kobietę. Siedzieli przy jednym z najlepszych stolików po tej stronie sali, po której okna wychodziły na ogród mieniący się od bajecznych światełek. Gwiazdy jak klejnoty lśniły na niebie, a blady księżyc obejmował swym blaskiem kopułę kasyna.

Goście siedzący w restauracji hotelowej byli oczarowani roztaczającym się przed nimi widokiem, a Craig zastanawiał się, czy gdzieś na świecie można znaleźć takie miejsce, w którym byłoby tyle pięknych przedstawicielek i tylu wspaniałych, przystojnych przedstawicieli międzynarodowej arystokracji.

Od pierwszej chwili, gdy tylko usiedli przy stole, konwersacja toczyła się z ogromnym ożywieniem i Craig ze zdziwieniem stwierdził, że przechodzi z jednego języka na drugi, zachowując przy tym błyskotliwość i niezrównany dowcip. Ze wszystkich stron rozbrzmiewał śmiech, a gwar głosów zdawał się coraz bardziej narastać.

Nagle przy wejściu zrobiło się dziwnie cicho, po czym cisza ta zaczęła stopniowo obejmować całą salę. Craig rozejrzał się dookoła i kiedy ujrzał stojącą w drzwiach postać, niczemu się już nie dziwił.

Do sali weszła kobieta tak niezwykle piękna, jakiej jeszcze nigdy nie widział. A kiedy się zorientował, kto idzie obok niej, nie musiał już nawet pytać, kim jest nowo przybyła.

Jakiś mężczyzna przy stoliku wyszeptał:

- Na Jowisza! Co za zjawisko! - A Craig pomyślał, że chętnie powtórzyłby za nim te słowa.

Wchodząca do sali piękność, jak Craig zdażył to już wcześniej zauważyć w hotelu, była bardzo smukła i wyższa od większości kobiet na sali, a jeśli strojem chciała wzbudzić sensację, w pełni jej się to udało.

Wszystkie kobiety miały na sobie suknie w typowych wiosennych kolorach: zielonym, niebieskim, różowym i żółtym.

Często był to miękki biały szyfon albo tiul. Hrabina Aloya natomiast ubrana była w czerń. Stanik sukni, gładki i mocno dopasowany, podkreślał linię biustu i niezwykle szczupłą talię. Spływająca miękko spódnica nie posiadała żadnych ozdób. Najdziwniejsze było jednak to, że już na pierwszy rzut oka widać było, iż hrabina zdawała się zupełnie nie przywiązywać wagi do klejnotów.

Craig jako wytrawny znawca kobiet wiedział, że Aloya Zładamir ich nie potrzebuje. Niezwykła biel jej skóry sama w sobie już była klejnotem, a włosy w świetle świec niemal srebrne i bez diamentów lśniły feerią światła. Dopiero gdy podeszła nieco bliżej, Craig zauważył przypiętą do sukni broszkę z ogromnym kamieniem w tym samym kolorze co jej włosy. Był to żółty brylant.

Hrabina Aloya była fascynująca, ale, co chyba ważniejsze, była naprawdę piękna. Oczy miała ogromne, zwężające się nieco w kącikach, a rzęsy długie i bardzo ciemne.

Nie mógł widzieć koloru jej oczu, ale przypuszczał, że skoro jest Rosjanką to powinny być zielone. Gdyby nie ten kolor włosów, można by ją było wziąć za kobietę zupełnie innej narodowości, chociaż w tej chwili nie potrafił powiedzieć jakiej.



Maitre d'Hotel, jakby był reżyserem jakiegoś przedstawienia, podprowadził hrabinę do stolika na dwie osoby, który znajdował się tuż przy zajętych przez Craiga. Hrabina usiadła, zwracając się twarzą w jego stronę, i Craig mógł podziwiać idealną symetrię jej małego, prostego nosa. Pomyślał, że jej łagodnie wygięte usta, chociaż wydawało się to absurdalne, nadawały jej twarzy wyraz niepewności, a nawet obawy. Usiłował wmówić sobie, że to tylko gra jego wyobraźni. A jednak był przekonany, że patrzy na twarz tak niezwykłą, iż trudno było znaleźć właściwe słowa, aby ją opisać.

Na chwilę zapanowało przy ich stoliku milczenie, które przerwała księżna, mówiąc:

- Muszę przyznać, że hrabina jest zadziwiająca! Wczoraj wieczorem miała na sobie białą suknię, która do złudzenia przypominała grecką tunikę, a jej jedynym klejnotem był pierścień z perłą wielkości gołębiego jajka.

- Czy miała już pani okazję ją poznać? - dopytywał się Craig.

Księżna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Mój mąż jeszcze nie wyrobił sobie zdania, czy dla mnie byłoby to w pełni comme il faut.

Craig roześmiał się.

- Wielki książe zdaje się mieć takie same wątpliwości - zauważył. - Co by jednak nie powiedzieć, hrabina Aloya jest dla nas wszystkich niezwykłą zagadką.

- Bardzo, bardzo niezwykłą - zgodziła się księżna. - Ale zapewniam pana, że każdy mężczyzna w Monte Carlo już stara się odkryć tajemnicę sfinksa, a każda kobieta łącznie ze mną ma nadzieję, że nie uda się im dokonać tego zbyt szybko.

Craig znowu się roześmiał.

Po chwili rozmowa zeszła na inny temat, lecz Craig wciąż nie mógł oderwać oczu od kobiety siedzącej niemal naprzeciw

niego. I chociaż nie słyszał, co mówiła, widział, że lord Neasdon ciągnął swój z pewnością bardzo nudny monolog. Jego towarzyszka zdawała się słuchać go z uwagą, a nawet pewnym zainteresowaniem. W jej zachowaniu nie było jednak nic z kokieterii. Nie prowokowała go powłóczyistymi spojrzeniami ani też wyzywającym odęciem ust, tak jak to robiły inne kobiety znajdujące się na sali.

Craig, rozejrzawszy się dookoła, dostrzegł La Belle Otero, jedną z najszynniejszych paryskich kurtyzan. La Belle siedziała otoczona tłumem mężczyzn, którzy jak urzeczeni wsłuchiwali się w każde wypowiedziane przez nią słowo. Bez końca wznosili toasty za jej zdrowie, obiecując zapewne, że prędzej czy później dodadzą coś do jej słynnej i bezcennej kolekcji.

Kiedy Craig po raz pierwszy ją ujrzał, gotów był przysiąc, że tak pociągającej kobiety nie ma nigdzie na świecie. Nie był więc zdziwiony, gdy się dowiedział, że kopuły w narożnikach nowego hotelu "Carlton" mają kształtem przypominać biust La Belle.

Przy innym stoliku siedziała La Juniory, znana z tego, że miała łóżko w kształcie ogromnej muszli, oraz Gaby Delys, zwana „toastem Paryża”, którą Craig spotkał już w ciągu dnia. Gaby jak zwykle obwieszona była sznurami pereł, z których jeden był piękniejszy od drugiego.

Jednak hrabina Aloya urodą przyćmiewała wszystkie kobiety i Craig zastanawiał się, co było w niej takiego, że na jej widok mężczyznom dosłownie zapierało dech w piersiach. Przez pewien czas obserwował ją, po czym doszedł do wniosku, że tajemnica tkwiła nie tylko w jej rysach, niezwykłych oczach, czy włosach, które zaczesywała do tyłu w sposób, z którego znana była Dana Gibson. W tej kobiecie było coś, co tkwiło w niej głęboko i emanując na zewnątrz, tworzyło aurę jej wyjątkowej osobowości. Miał wręcz

wrażenie, że całą jej postać otacza jakaś niezwykła jasność. Może to dlatego, że otrzymał tyle intrygujących informacji od markiza Lansdowne. Tak czy inaczej, przez cały czas kolacji nie był w stanie oderwać oczu od kobiety siedzącej przy sąsiednim stoliku. Bardzo pragnął ją poznać, lecz myśl, że musi czekać aż do jutrzejszego wieczoru, aby się przekonać, czy Neasdon przyjmie zaproszenie wielkiego księcia i czy przyprowadzi ze sobą Aloyę, była dla niego nie do zniesienia.

Długo nad tym myślał, ale kiedy wszyscy udali się do kasyna, doszedł do wniosku, że nie jest w stanie znaleźć kogoś, kto by go przedstawił hrabinie. Rozważał nawet, aby podejść do Neasdona i powiedzieć, że z polecenia markiza Lansdowna ma z nim nawiązać kontakt, ale natychmiast zrezygnował z tego pomysłu. Nic innego jednak nie przychodziło mu do głowy.

Neasdon i hrabina Aloya byli w kasynie w „Salle Touzet”, ale najwyraźniej nie interesowali się grą. Siedzieli przy jednym ze stolików, dyskutując o czymś i pijąc szampana. I chociaż lord Neasdon miał jak zwykle wiele do powiedzenia, rozmowa nie wyglądała na szczególnie ożywioną.

Kiedy Craig krążył po sali, wymieniając uwagi z przyjaciółmi oraz udając, że interesują go numery, na jakie padają wygrane w ruletce, czy też przystając za plecami tych, którzy grają w bakarata, pomyślał, iż nigdy jeszcze nie był ani tak sfrustrowany, ani tak bezradny. Nigdy nie miał żadnych towarzyskich problemów. Ilekroć chciał kogoś poznać, szczególnie kobietę, praktycznie stawało się to faktem, zanim zdążył o tym pomyśleć.

. Pomimo iż kilkakrotnie przechodził tuż obok hrabiny, nie zauważył, aby chociaż raz podniosła wzrok na niego czy też na kogokolwiek innego. Zdawała się z uwagą słuchać lorda Neasdona, od czasu do czasu wtrącając jakieś słowo lub wykonując ręką jakiś gest.

- Co robić? - wciąż zadawał sobie pytanie Craig i kiedy pół godziny po północy zobaczył, iż hrabina wstaje od stolika, poczuł że musi iść za nią.

Lord Neasdon najwyraźniej czynił jej wymówki, prosząc, aby nie odchodziła tak wcześnie. Jednak hrabina zdecydowanie ruszyła w stronę drzwi.

Craig dyskretnie podążył za nią obserwując jak odbiera z szatni pelerynę z czarnego aksamitu i jak narzuciwszy ją na ramiona, kieruje się ku wyjściu.

Jak zahipnotyzowany szedł za nią. Widział, jak schodzi po schodach i jak urzeczona światłem księżyca, zwraca ku niebu twarz. Podziwiał jej wspaniałą łabędzią szyję, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Mógłby przysiąc, że słyszy, jak piękna Aloya Zładamir, tak jak robiły to kobiety od początku świata, modli się do gwiazd, aby spełniły jej życzenia. Po chwili, już wraz z ciągle gderającym lordem Neasdonem, szybkim krokiem ruszyła w stronę światła „Hotel de Paris”, weszła schodami na górę i zniknęła za drzwiami prowadzącymi do hallu recepcyjnego.

Craig, zapomniawszy o obowiązku pożegnania swych gospodarzy, szedł za hrabiną, cały czas utrzymując rozsądny dystans. Niebawem znalazł się na swoim piętrze i chociaż pomyślał, że powinien, wcale nie był zdziwiony, kiedy podobnie jak parę godzin wcześniej, ujrzał przed sobą hrabinę samotnie podążającą do swojego apartamentu.

Kiedy wchodził do siebie, do jego uszu dobiegł odgłos zamykanych drzwi. Bez względu na to, co łączyło hrabinę z lordem Neasdonem, raczej nie sądził, aby byli kochankami, a co więcej, nie sądził również, aby kiedykolwiek mogli nimi być. Craig nabrał takiego przekonania po tym, jak dowiedział się, że lord Neasdon zatrzymał się w „Hotel L'Hermitage”, położonym nieco wyżej i prawie równie dobrym jak „Hotel de Paris”.

Craig stał przez chwilę bez ruchu, głęboko się nad czymś zastanawiając, po czym, jakby pod wpływem impulsu, przeszedł przez drzwi łączące jego salon z sypialnią i otworzył prawie identyczne prowadzące do pustego pokoju, który sąsiadował bezpośrednio z apartamentem hrabiny. Doskonale wiedział, że drzwi dzielące go od pomieszczeń zajmowanych przez nią zostały zamknięte przez obsługę hotelową i że mogą otrzymać do nich klucz, jeżeli obydwójce o to poproszą.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, otworzył okno, rozsunął żaluzje i wyszedł na balkon. Owiało go chłodne, wiosenne powietrze. Widok, jaki ukazał się jego oczom, był niezwykle urokliwy. Na jachtach w przystani i na znajdującym się powyżej cyplu lśniły tysiące światel. Gwiazdy odbijały się w morzu, a blade światło księżyca zdawało się wszystko zamieniać w srebro, co sprawiło, że Craig nagle pomyślał o wyjątkowych włosach hrabiny.

W tym momencie sąsiednie drzwi balkonowe otworzyły się i tuż obok ukazała się Aloya Zładamir. Z jej piersi wyrwało się ciche westchnienie. Najwyraźniej zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Nie miała na sobie płaszcza i światło księżyca lśniło na jej szyi i ramionach oraz na srebrze jej pięknych włosów. Stała, opierając ręce na kamiennej balustradzie i kiedy znowu wzniosła oczy ku gwiazdom, wyglądała, jakby się modliła.

Minęło kilka minut, gdy Craig odezwał się cichym, miękkim głosem:

- Zawsze uważałem, że to jeden z najpiękniejszych widoków na świecie.

Wzdrygnęła się na te słowa, zwracając ku niemu twarz, ale natychmiast uciekła ze spojrzeniem.

Craig milczał, ale ona, jakby czując się w obowiązku, aby mu odpowiedzieć, odezwała się po chwili nieco drżącym głosem:

- Ja... ja nie wiedziałam, że... pan jest... tutaj.

- Przyjechałem zaledwie dzisiaj. - Po chwili milczenia dodał: - Ilekroć patrzę na jachty tam w dole, zawsze mi się wydaje, że robią one wszystko, aby się uwolnić i wypłynąć w poszukiwaniu przygody, która czeka gdzieś za horyzontem.

Mówił to tak, jakby opowiadał dziecku bajkę na dobranoc, i hrabina, ulegając temu nastrojowi, wyszeptała:

- Tego właśnie pragnę, wypłynąć i... nigdy tu nie wrócić!

- Ma pani na myśli ten świat czy tylko Monte Carlo? - Monte... Carlo. - Jej głos bardzo się zmienił, kiedy to mówiła, i Craig odniósł wrażenie, że ta odpowiedź była niezwykle impulsywna i bardzo osobista. Po chwili, żałując zapewne swych słów, dodała: - Muszę już iść. Uprzedzano mnie, że noce w Monte Carlo bywają zdradliwe.

- To prawda - przyznał Craig. - Ale dziś było względnie ciepło i jeśli nie czuje pani teraz chłodu, to z pewnością wszystko będzie w porządku.

- Mam nadzieję.

Coś było jednak w jej głosie, co kazało mu przypuszczać, że nie siebie miała na myśli. Dodał więc:

- Oczywiście, w przypadku osób starszych, przy takich wahaniach temperatury, rozsądniej jest zachować ostrożność. Należy się w nocy dobrze okryć, pamiętając, że podmuchy wiatru od strony Alp mogą być rzeczywiście niebezpieczne.

Hrabina nerwowo wciągnęła powietrze i powiedziała jakby do siebie:

- Jeżeli to prawda, to każdy powinien być bardzo, bardzo ostrożny, szczególnie jeśli przybywa z ciepłego klimatu.

- Naturalnie - zgodził się Craig. - Pamiętam, jak pewnego razu wracając z Indii, zatrzymałem się w Monte Carlo. Przeleżałem wtedy kilka dni w łóżku wyłącznie z własnej winy.

- Pan był w Indiach?

- Kilka razy - odpowiedział. - To kraj, z którym czuję się głęboko związany.

Zapanowała cisza. Po chwili hrabina odezwała się:

- Jestem pewna, iż jeśli ktoś... chociaż raz tam był, nigdy tego nie zapomni.

- To prawda - potwierdził Craig. - Muszę przyznać, że ilekroć jestem w Indiach, nie mogę się oprzeć przeświadczeniu, że bardzo jesteśmy niemądrzy, nie chcąc słuchać tego, co ten kraj ma do powiedzenia.

Odwróciła się w jego stronę i spojrzała na niego ze zdziwieniem. Po czym patrząc gdzieś przed siebie, zauważyła:

- Na Zachodzie... wszystko jest takie... inne.

- Tak, ale to przecież wcale nie oznacza, że wiemy więcej czy też, że jesteśmy lepsi od innych ludzi.

Znowu zapanowała cisza. Po chwili, najwyraźniej nie mogąc powstrzymać ciekawości, zapytała:

- Gdzie pan był... w Indiach?

Craig uśmiechnął się.

- Z pewnością łatwiej mi powiedzieć, gdzie nie byłem. Myślę, że się pani ze mną zgodzi, iż Indie to kraj, którego piękno nie tylko urzeka oczy, ale również zniewala umysł. Od pierwszej chwili, kiedy tylko postawi się stopę na tej ziemi, proces jej poznawania zaczyna się natychmiast i nigdy w zasadzie nie kończy.

- Skąd pan o tym wie i jak to się stało... że tak właśnie pan uważa?

- Chciałbym zapytać panią o to samo - wtrącił Craig. - Ale skoro już Indie nas do siebie zbliżyły, a panią ten temat interesuje, chciałbym więcej pani o nich opowiedzieć.

Hrabina wykonała ręką jakiś nieokreślony gest, który Craig odebrał za coś w rodzaju przyzwolenia. I właśnie wtedy nagle spojrzała w dół, jak mu się zdawało w stronę przystani. A kiedy się odezwała, jej głos wyraźnie drżał:

- Ja... Ja muszę się położyć... dobranoc, sir. - I nie czekając na jego reakcję, odwróciła się i zniknęła w pokoju, zamykając za sobą balkonowe okno.

Kiedy stał bez ruchu, zastanawiając się, dlaczego tak nieoczekiwanie go zostawiła i dlaczego tak dziwnie zadrżał jej głos, nagle usłyszał, że ktoś w pokoju do niej mówi. Przez chwilę sądził, że to mężczyzna. Nasłuchiwał, chcąc się upewnić, i wtedy ktoś zasunął i zarygłował żaluzje. To była pokojówka i teraz już wiedział, że to jej głos słyszał przed chwilą i że mówiła po rosyjsku.



### Rozdział 3

Następnego dnia Craig był zdecydowany dowiedzieć się czegoś więcej o rosyjskich jachtach zacumowanych w przystani. Uważał, że nie popełnił błędu nawiązując znajomość z hrabiną, ale w tej chwili najważniejszy był Randall Sare.

Od czasu gdy Craig spotkał go w Indiach, a miał wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat, Randall Sare stał się dla niego bohaterem, kimś, kogo podziwiał najbardziej na świecie. Pierwsze informacje o nim uzyskał od wicekróla Indii, który opowiadał o Randallu Sare w taki sposób, że Craig nie miał wątpliwości, iż musi to być ktoś nadzwyczajny. Tylko taki człowiek mógł sprawić, że kiedy wicekról o nim mówił, w jego znużonych oczach pojawiało się tyle uznania, a w głosie tyle respektu.

Wicekról Indii był osobistością nieporównywalną z żadnym władcą na świecie. Nie było króla czy cesarza, który miałby więcej od niego władzy lub który w kraju, gdzie rządził, żyłby z większym przepychem.

Nie trzeba dodawać, że Brytyjczycy wszędzie zabierali ze sobą swój sprzęt sportowy, że do ćwiczeń fizycznych przywiązywali ogromną wagę i że młodzi żołnierze, kiedy tylko nie byli na służbie, każdą wolną chwilę spędzali na uprawianiu narodowych sportów. Nic więc dziwnego, że kiedy tylko Craig Vandervelt przybył do Indii w aurze milionera, natychmiast został zaproszony na wyścigi konne do Kalkuty. Z Kalkuty, gdzie życie biegło wśród zabaw po wyścigach, oficjalnych śniadań i kolejnych zakładów w sweep - stake'a (odmiana totalizatora (przyp. tłum.)), przeniósł się do Simli, gdzie znajdował się cudownie położony na wysokim płaskowyżu Annandale tor wyścigowy, wysadzany wysokimi sosnami i cedrami himalajskimi.

Wiadomość, iż Craig nie tylko jest wraz z ojcem właścicielem najlepszej stadniny koni w Ameryce, ale również wyśmienitym jeźdźcem, spowodowała, że niemal automatycznie został zaakceptowany przez Brytyjczyków.

Najważniejszą chwilą tak zwanego Calcutta Year był dzień, kiedy odbywały się organizowane co roku słynne wyścigi konne o puchar wicekróla i wręczany osobiście przez panującego. Główna trybuna wypełniała się wtedy znanymi i pięknymi kobietami z Anglii i Ameryki, a właściwie ze wszystkich stron świata. Dla Craiga był to widok fascynujący.

Raz uznany za swego, uczestniczył również w polowaniach. W Indiach polegały one na tym, że na czele sfory psów puszczano teriera, który ruszał w pogoń za szakalem, łosiem, dzikiem, zającem, jeleniem, hieną czy jakimś innym zwierzęciem. Kiedy okazało się, że i w tym Craig jest równie dobry i kiedy doskonale sobie radził w polowaniach na dziki z oszczepem i w grze w polo, jądanie kolacji w rezydencji gubernatora i kasynach oficerskich najznakomitszych pułków było już tylko naturalną konsekwencją.

Wtedy właśnie po raz pierwszy dotarły do niego pogłoski o „The Great Game”. Choć na razie nie było to nic konkretnego, jednak już to wystarczyło, aby wzbudzić jego ciekawość. Dzięki znakomitej pamięci i wrodzonej dociekliwości, zaczął prowadzić notatki z tego, co usłyszał podczas oficjalnych kolacji oraz przypadkowych rozmów w urzędach. I z czasem stało się to regułą.

Pewnego razu, gdy wicekról zaczął opowiadać o Randallu Sare, Craig zadał mu parę pytań, na które otrzymał nieco dwuznaczne odpowiedzi.

- Randall Sare to dziwny człowiek, piekielnie inteligentny, ale towarzystwo tubylców wybiera częściej niż nasze - powiedział wtedy wicekról.

W pierwszej chwili Craig naiwnie pomyślał, że mówiąc o „tubylcach”, wicekról ma na myśli radżów i maharadżów, którzy w swoich pałacach prowadzili ożywione życie towarzyskie i z których gościnności korzystał prawie każdy Anglik. Nieco później dowiedział się, że Randall Sare często występował w przebraniu, że potrafił się posługiwać wszystkimi znanymi w Indii językami, oraz że od czasu do czasu zniknął gdzieś na kilka miesięcy i nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd uciekał i po co. Dopiero przypadkowe spotkanie z Sarem w Simla spowodowało, że Craig zaczął go rozumieć i podziwiać.

Randall Sare był dosyć skromnej postury, ale wyróżniał się bardzo osobliwą, niezapomnianą wręcz twarzą. Często podróżował w przebraniu, ale twarzy nigdy nie charakteryzował. Nie miał zaufania do, tak często używanego przez aktorów, makijażu. Wolał zawierzyć rozwadze i wypływającej z doświadczenia wiedzy o ludziach, wśród których aktualnie przebywał i których osobowość często przyjmował za swoją.

To pierwsze spotkanie z Sarem wywarło na Craigu ogromne wrażenie. Podczas drugiej podróży do Indii postanowił go więc odszukać i wtedy właśnie przekonał się, że to najbardziej interesujący człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkał, oraz prawdziwa kopalnia wiadomości na tematy, o których jeszcze nigdy z nikim nie dyskutował. Hinduskie kasty, cały system wartości mieszkańców Indii, tak często stanowiący zagadkę dla Zachodu - to wszystko niezmiernie interesowało Craiga, dla Randalla Sare'a stanowiło natomiast sens życia. Wtedy właśnie Craig zaczął rozumieć, dlaczego ludzie tacy jak Sare potrafią kochać swój kraj tak mocno, jak mężczyzna potrafi kochać kobietę.

Indie to nie tylko ogromny, gęsto zaludniony kontynent, który po podbiciu należało na nowo zorganizować i

ucywiliżować według standardów brytyjskich, ale również zdumiewająca stara kultura, która dla wielu religii świata stała się niegdyś źródłem inspiracji.

Kiedy Craig miał dwadzieścia cztery lata, spełniło się jego największe marzenie - został uczniem człowieka, którego uważał za największy współczesny autorytet. W krótkim czasie nauczył się od Randalla Sare'a więcej niż ktokolwiek inny przez całe życie.

Trzy lata temu podczas swojej trzeciej podróży do Indii Craig znowu spotkał Sare'a. Wtedy właśnie Randall Sare powiedział mu, że wybiera się do Tybetu.

- Dlaczego? - zapytał wprost Craig.

- Dowiedziałem się - odrzekł Randall Sare - że Rosjanie robią wszystko, aby podporządkować sobie kolejno wszystkie chanaty Azji Centralnej i że mają zamiar objąć kontrolą całą północną granicę Indii.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- Budują już kolej żelazną prowadzącą przez Syberię aż na Daleki Wschód - kontynuował Sare. - Nie koniec na tym. Podobną kolej budują w Turkiestanie i... - Chwilę milczał. - ...chcą opanować Tybet.

- Myślę, że nikt w tym kraju do tego nie dopuści.

- Obawiam się, że jeśli Rosjanie czegoś chcą, nikt nie będzie w stanie ich przed tym powstrzymać - zauważył Sare. - Oni zawsze osiągają to, co zaplanują.

- Jak można temu zapobiec? Randall Sare uśmiechnął się.

- Tym właśnie mam zamiar się zająć.

Kiedy się pożegnali, Craig wiedział, że dużo wody upłynie, zanim się znowu zobaczą, jeśli to w ogóle nastąpi.

I oto - jak utrzymuje markiz - Sare wrócił do Europy i rozpląnął się gdzieś w Monte Carlo. Wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, ponieważ oznaczałoby, że Sare opuścił Indie bez powiadomienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych i

zatrzymał się w miejscowości, która znana była jako najbardziej frywolne i ekstrawaganckie miejsce w Europie.

Biskupi i duchowieństwo wszystkich bez wyjątku wyznań bez przerwy piętnowali niegodziwość „miasta hazardu”. Mimo to kasyno w Monte Carlo stale odwiedzały prawie wszystkie koronowane głowy, nie bacząc na groźbę zesłania na grzeszników ognia piekielnego. W tej sytuacji wyjaśnienie, dlaczego Sare tu przybył, mogło być tylko jedno: nie istniała możliwość przedostania się do Anglii. Nie miał więc wyboru.

- Muszę go odnaleźć! Muszę! - powtarzał Craig. Pochłonięty własnymi myślami przy lunchu był do tego stopnia roztargniony, iż urocza gospodyni domu robiła mu wymówki, że ją zaniedbuje. Dama siedząca z jego drugiej strony dała mu również do zrozumienia, że czuje się dotknięta. Ta reprimenda przywołała Craiga do porządku, uświadamiając mu, że jego zachowanie pozostawia dużo do życzenia. Przeprosił więc obie panie, tłumacząc się lekkim bólem głowy i już do końca posiłku starał się być takim jak zawsze: wesołym, sympatycznym i ujmującym, co spowodowało, że zanim się pożegnał, panie uwielbiały go jeszcze bardziej niż do tej pory.

Wychodząc otrzymał zaproszenie na partię tenisa, ale był już po kilku godzinach intensywnej gry, na którą codziennie wczesnym rankiem umawiał się z zawodowym graczem.

- Powinien pan wziąć udział w mistrzostwach na kortach tenisowych, sir - powiedział zawodowiec, kiedy Craig dosyć łatwo pokonał go w trzech setach.

Mistrzostwa te są organizowane od trzech lat i Craig początkowo myślał o tym, aby w singlu mężczyzn walczyć o puchar ufundowany przez księcia Monako. Doszedł jednak do wniosku, że w jego życiu są sprawy o wiele ciekawsze i ważniejsze niż kolekcjonowanie nagród. Zdecydował

trenować dalej, ale wyłącznie dla własnej satysfakcji, i sprawiało mu to ogromną przyjemność.

Teraz jednak, zanim nie porozmawia z ojcem Augustynem, nie miał ochoty na jakąkolwiek grę. Tak jak poprzedniego dnia udał się drogą wiodącą w dół do kaplicy St. Devote.

Wewnątrz przepelnionej wonią kadzideł świątyni było tego dnia trochę więcej wiernych niż zwykle. Półmrok kaplicy po gwarnym i pełnym światła hotelu, tonącym w słonecznym blasku, napełnił Craiga spokojem, którego źródłem mogła być tylko silna wiara. Poczł się tak, jakby jakaś chłodna dłoń dotknęła jego rozpalonego czoła.

Zatrzymał się na chwilę, aby zebrać myśli i jeszcze raz sprawdzić, czy wewnątrz kaplicy nie ma kogoś, kto mógłby go rozpoznać. Po czym podszedł cicho do konfesjonału i kiedy odsunął kotarę, przekonał się, że ojciec Augustyn czeka już na niego. Craig uklęknął i wtedy ksiądz automatycznie wygłosił znaną łacińską formułkę, od której zawsze zaczynała się spowiedź.

Po słowie „Amen” Craig zapytał:

- Czy masz dla mnie jakieś wiadomości, ojciec?
- Niestety, niewiele, mój synu, ale nie dałeś mi zbyt dużo czasu.
- Ale coś jednak ojciec usłyszał?
- Dowiedziałem się, że człowiek, którego szukasz - przezornie nie wymienił jego nazwiska - ukrywał się w pewnym miejscu w Monte Carlo dwa tygodnie temu.
- Czy nie jest, broń Boże, chory albo ranny?
- Nic o tym nie słyshałem - rzekł ksiądz. - Wiadomo mi tylko, że się ukrywał w miejscu, z którego korzystają zwykle ludzie uciekający przed policją lub ci, którzy z jakiegoś powodu chcą na jakiś czas zniknąć.

- Czy wciąż jeszcze tam jest? - wtrącił pospiesznie Craig. Nie miał jednak wątpliwości, że odpowiedź kapłana z pewnością go rozczaruje.

- Z tego, co wiem - odrzekł ksiądz - już go tam nie ma.

- Czy udało się ojcu wybadać, dokąd się udał?

- Robię wszystko, aby się tego dowiedzieć - zapewnił ojciec Augustyn. - Ale musisz zrozumieć, że nie jest łatwo zdobyć jakiegokolwiek informacje w tak szczególnym miejscu, gdzie ludzie rozmyślnie szukają schronienia i gdzie ich tożsamość musi pozostać tajemnicą.

- Dobrze to rozumiem - wtrącił Craig. - Ale błagam, to sprawa najwyższej wagi. Zrób wszystko, ojcze, aby dowiedzieć się jak najwięcej.

- Staram się, mój synu. Zapewniam cię, że się staram - powtórzył ojciec Augustyn. - Ale to wcale nie jest proste; Jeślibym okazał się zanadto ciekawy, obawiam się, że zatrzęsnięto by mi drzwi przed nosem, a przecież nie o to chodzi.

Craig doskonale o tym wiedział. Oświadczył więc tylko:

- Jestem ci głęboko wdzięczny, ojcze. Ten, którego szukam, to wspaniały, szlachetny człowiek. Jego zasługi dla ludzkości są wprost nie do oszacowania i mam nadzieję, ojcze, że jakoś przy twojej pomocy w końcu go uratuję.

- W Bogu nasza nadzieja - rzekł ojciec Augustyn. - Będę się modlił o Jego pomoc.

- A więc czyń ojcze, co w twojej mocy. - Po krótkim milczeniu dodał: - Mam coś, co może pomóc rozwiązać języki tych, którzy znają odpowiedź na nasze pytania. Gdzie mogę to zostawić?

Przez chwilę panowała cisza, po czym ojciec Augustyn odezwał się:

- Przed figurą St. Devote leżą kwiaty.

Dalsze wyjaśnienia nie były już potrzebne i Craig przed wyjściem zapytał tylko:

- Kiedy mam znowu przyjść?

- Jutro spowiadam nieco później. Będę tu na ciebie czekał o zmroku.

- Bardzo mi to odpowiada - zauważył Craig. Zaczekał, aż ojciec Augustyn wypowie po łacinie słowa błogosławieństwa, po czym podniósłszy się z kolan, odsłonił kotarę konfesjonału. W kaplicy było teraz znacznie Więcej ludzi niż wtedy, gdy wchodził, i kiedy się rozejrzał, ku swemu zdumieniu ujrzał klęczącą nieopodal hrabinę Aloyę. Jej splecione dłonie spoczywały na górnej części klęcznika, przy którym się modliła, głowę miała nieco odchylną do tyłu, a oczy wpatrzone w światelka palące się na ołtarzu. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

Craig doszedł do wniosku, że popełniłby nietakt, gdyby przeszedł obok niej bez słowa i wyszedł z kościoła. Przecisnął się więc wąskim przejściem między ławkami i zajął miejsce tuż obok niej. Nie uklęknął, pochylił się tylko i uniósł do góry ręce, jakby się modlił.

Zastanawiał się właśnie, co powinien jej powiedzieć, kiedy ona, nie wykonując przy tym żadnego ruchu, szepnęła tak cicho, że ledwo mógł ją usłyszeć:

- Proszę... nie... odzywać się... do mnie. Ktoś... mnie obserwuje.

Być może jakiś inny mężczyzna po prostu zbyt natarczywie się jej przyglądał, ale Craig przeszedł dobrą szkołę, aby wiedzieć, że moment nieuwagi, jedno nieopatrzone słowo, może spowodować jeśli nawet nie śmiertelne niebezpieczeństwo, to przynajmniej zdemaskowanie.

Chwilę trwał w bezruchu, po czym, jakby skończył się modlić, podniósł się i nie rzuciwszy nawet okiem na hrabinę, uklęknął w nawie bocznej, a następnie celowo wolnym



krokiem skierował się do miejsca, gdzie przy ścianie północnej leżała wykonana z wosku figura St. Devote - patronki kaplicy.

St. Devote - jednocześnie patronka Monako - urodziła się na Korsyce w roku 283 n.e. Jej rodzice byli poganami, ale nowa wiara przyniosła jej chrześcijańskie imię. W czasie wielkich prześladowań była poddawana torturom, które znosiła z uśmiechem, nie przestając się modlić. Kiedy umarła, jej dusza uniosła się do nieba, przyjmując postać gołębic. Ta sama gołębica towarzyszyła później barce, którą przewożono jej ciało do Monako, gdzie złożono je w grocie wykutej w skale i gdzie później zbudowano poświęconą jej kaplicę.

Craig przez chwilę stał przed figurą z wosku wyobrażającą młodziutką dziewczynę z gołębicą spoczywającą na jej głowie. Przed figurą leżał spleciony z kwiatów wieniec, najwidoczniej dla uczczenia pamięci zmarłego od kogoś, kto wierzył, że święta modli się w niebie za tych, którzy umierają na ziemi. Zielone liście winogron, bladioróżowe i białe goździki oraz szarfa, którą wpleciono w kwiaty - wszystko to było zbyt naturalne, aby mogło budzić jakiegokolwiek podejrzenia. Uklękawszy przed figurą patronki kaplicy, Craig błyskawicznie wsunął kopertę pod kwiaty. Zrobił to tak zręcznie, że jeśli nawet ktoś go śledził, z pewnością tego nie zauważył.

Tak jak przypuszczał, hrabina Aloya zdążyła już opuścić świątynię. Był pewien, że zrobiła to celowo, aby ci, o których mówiła, że ją obserwują, nie mogli zobaczyć jego twarzy. Tak właśnie on by postąpił, gdyby był na jej miejscu, i nie mógł się nadziwić, że hrabina okazała się aż tak przebiegła.

Przy drzwiach kościoła Craig ponownie się zatrzymał, wziął do ręki kilka modlitewników, udając, że je przegląda, po czym zaczął czytać wywieszony w przedsionku rozkład nabożeństw. Dopiero wtedy, gdy był już całkowicie pewny, że

hrabina odjechała - jeśli, oczywiście, była tu powozem, lub że znalazła się poza zasięgiem wzroku - jeśli przybyła pieszo, zdecydował się opuścić kaplicę.

Teraz naprawdę miał o czym myśleć. Z pewnością ostatniego wieczoru zostawiła go tak nagle na balkonie, ponieważ usłyszała, że jej rosyjska służąca wchodzi do pokoju. Prawdopodobnie w drodze do kościoła albo towarzyszyła jej służąca, albo ktoś inny do ochrony.

Było to tak intrygujące, że przez całe popołudnie Craig nie mógł myśleć o niczym innym. Analizując wszystko, co usłyszał i czego był świadkiem w kościele, nagle przypomniał sobie, że to dziś wieczorem książę Borys wydaje przyjęcie, na którym być może zjawi się hrabina Aloya wraz z lordem Neasdonem.

Dochodziła właśnie czwarta po południu i Craig był przekonany, że o tej porze wielki książę z pewnością jest już w kasynie, które jak zwykle o tej porze dnia było przepełnione. Craig szybko przeszedł do „Salle Touzet”, gdzie tak jak się spodziewał, ujrzał wielkiego księcia. Książę Borys siedział przy bakaracie, stawiając takie kwoty, jakie dla każdego innego gracza stanowiłyby fortunę.

Wymieniając grzeczności ze znajomymi, zarejestrował kątem oka, że wielki książę niedbałym gestem rzucił na stół plik banknotów i garść złota, po czym wstał od stołu z obojętną miną, jakby przegrana nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Odchodząc ujrzał Craiga i, wyciągając do niego rękę, zawołał:

- Napij się ze mną, Craig. Mam na to straszną ochotę.

Craig nie miał zamiaru użalać się nad nim z powodu przegranej. Wiedział, że każdy gracz po prostu tego nie znosi, tak samo zresztą jak i gratulacji z powodu wygranej, co podobno ma przynosić pecha.

- Trochę dla mnie za wcześnie na drinka - zauważył Craig. - Chcę zachować kondycję na wieczorne party, jeśli to w dalszym ciągu aktualne.

- Oczywiście, że aktualne - potwierdził wielki książę. - Zsi - Zsi zaprosiła już z okazji twojego przybycia wszystkich naszych przyjaciół, chociaż, jak sędzę, większość z nich już wie, że jesteś w Monte Carlo.

- Czuję się tak jak Lucyfer wypędzony z nieba - powiedział ze śmiechem Craig.

- Dobre porównanie - zażartował wielki książę. - Jednak uważam, że już na samą myśl, iż jesteś taki bogaty, w ludzi, którzy cię znają wstępuje diabeł, a szczególnie w zakochane w tobie kobiety.

- Nie zgadzam się z tobą, książę - odrzekł Craig. - Ale nic nie szkodzi i tak dziękuję za dzisiejszy wieczór. Czy udało ci się, książę, namówić Neasdon na party? - Starał się nie okazywać, z jaką niecierpliwością oczekuje na jego odpowiedź.

Wielki książę zaśmiał się:

- Nie uwierzysz, Craig, ale ucieszył się jak dziecko. Nigdy go wcześniej nie zapraszałem i klnę się na Boga, że gdyby nie ty, teraz również bym tego nie zrobił.

- Czy zdecydował się przyjść z hrabiną?

- Tak powiedział i wiesz, był przy tym ogromnie pewny siebie. Odniosłem wrażenie, że nie przyszło mu nawet do głowy, iż powinien z nią to uzgodnić.

- Wcale się temu nie dziwię - cynicznie zauważył Craig. - Neasdon posiada pewne ukryte zalety, o istnieniu których nawet nie mamy pojęcia.

- Jeżeli to prawda, musiałbym z ubolewaniem przyznać, iż na sprawach męsko - damskich w ogóle się nie znam - rzekł wielki książę. - W każdym razie dziś wieczorem sam się przekonasz, jak bardzo hrabina trzyma się Neasdon. Pewnie

mi nie uwierzysz, ale nigdy nie widziałem, aby tu z kimkolwiek rozmawiała, i wydaje mi się to zadziwiające.

Craig przyznał mu rację, ale doszedłszy do wniosku, że dalsza rozmowa o hrabinie byłaby błędem, postarał się zmienić temat. Po czym tłumacząc się, iż ma umówione spotkanie, wrócił do hotelu.

Kiedy znalazł się w swoim pokoju, nagle poczuł nieodpartą chęć, aby wyjść na balkon sąsiadujący z tym, który należał do apartamentu hrabiny. Nie mógł sobie jednak pozwolić na to, aby ktoś z jego służby zauważył, że wchodzi do przyległego pokoju. Poza tym podejrzewał, iż jeśli hrabina była w swoim apartamencie, jej rosyjska pokojówka mogła być tam również. Ale dlaczego miałby się obawiać pokojówki, dlaczego w kaplicy nie mógł się odezwać do hrabiny i dlaczego odnosił wrażenie, że skądś ją zna, wciąż było dla niego zagadką.

Na te wszystkie pytania Craig nie mógł znaleźć odpowiedzi i kiedy się ubierał na kolację, nagle poczuł, że stoi przed wielką przygodą i że tego, jak ona się skończy, absolutnie nie jest w stanie przewidzieć. Zauważył, że działo się z nim coś dziwnego. Dawno zapomniane ożywcze prądy przebiegały przez jego ciało, dając mu poczucie siły. Tak czuł się zawsze wtedy, gdy groziło mu jakieś niebezpieczeństwo lub gdy podejmował się wypełnienia jakichś niecodziennych zadań, zlecanych mu zazwyczaj przez markiza. To wszystko było tak odmienne od życia, które prowadził w Nowym Jorku i Londynie, że zawsze z radością przyjmował wyzwanie, jakie niosły ze sobą te misje. Teraz wiedział, że jeśli ma odnieść sukces, będzie potrzebował mobilizacji wszystkich tajemnych sił, na których pomoc zawsze liczył, kiedy tylko znalazł się w potrzebie.

Nie zapomniał, że chce dowiedzieć się czegoś więcej o rosyjskich jachtach i wracając z kasyna, zanim udał się do swojego apartamentu, zajrzał do biura dyrektora hotelu.

Dyrektor „Hotel de Paris” był jedną z najlepiej poinformowanych osób w księstwie. W jego interesie leżało, aby nie tylko znać przeszłość każdej osoby zatrzymującej się w hotelu, ale również wszystkich stałych bywalców kasyna. Najbardziej obawiano się skandali i samobójstw. Władze podejmowały więc wszelkie możliwe środki ostrożności, aby zabezpieczyć Monte Carlo przed tym, co mogłoby źle wpłynąć na jego reputację. Lecz jeśli już coś takiego się wydarzyło, robiono wszystko, aby możliwie dyskretnie i szybko usunąć wszelkie ślady.

Monsieur Bleuet był zatem człowiekiem dyskretnym, o dużej inteligencji, która rzadko go zawodziła. Craig nie miał wątpliwości, że monsieur Bleuet uważał go za bogatego Amerykanina, który przybył tu wyłącznie w poszukiwaniu przygód. To, o co chciał więc zapytać, musiał formułować z maksymalną ostrożnością.

- Mam nadzieję, monsieur Vandervelt - odezwał się dyrektor - że jest pan z nas zadowolony. Czy mogę w czymś panu pomóc?

- Przyszedłem powiedzieć, że jestem bardzo zadowolony - zapewnił Craig. - A za szczególną uprzejmość z pana strony uważam to, że otrzymałem ten sam apartament, który zajmowałem przez ostatnie dwa lata.

Monsieur Bleuet uśmiechnął się.

- Zawsze się staramy, aby nasi szczególnie klienci czuli się u nas jak w domu i w miarę naszych możliwości zapewniamy im te same co zawsze pokoje, jak również tę samą obsługę.

- Doceniam to - wtrącił Craig. - Chciałbym przy okazji zapytać, co panu wiadomo o tych dwóch rosyjskich jachtach, zacumowanych w przystani. - A po chwili śmiejąc się dodał: -

Może to zabrzmie trochę dziwnie, ale obawiam się, czy aby w porównaniu z moim jachtem nie okażą się nowocześniejsze. Przyzwyczałem się już do myśli, że pod względem technicznym, mój jacht nie ma sobie równych.

- Zawsze słyszałem, monsieur Vandervelt, że „Mermaid” jest przedmiotem zazdrości wszystkich żeglarzy. Szczególnie jeśli chodzi o silnik, urządzenie sterowe i nowe przyrządy, które ostatnio pan zainstalował.

Craig z zadowoleniem przyjął te słowa, ale nie wydawał się być nimi zaskoczony.

- W ubiegłym roku miałem okazję płynąć jachtem księcia Westminsteru i stwierdziłem, że nie może się nawet równać z „Mermaid”. To samo mogę zresztą powiedzieć o łodzi pana Pierponta Morgana. Najwyższy czas, aby kupił sobie nową. Ta stara jest już naprawdę do niczego - zauważył.

Monsieur Bleuet roześmiał się.

- Z pewnością może sobie na to pozwolić.

- Wydaje mi się, że w miarę upływu lat przywiązujemy się do tego, co posiadamy - zauważył Craig. - Mogę to zrozumieć, jeśli w grę wchodzi rzeczy takie jak obrazy, ale gdy mówimy o jachtach czy samochodach, to z pewnością im są nowsze tym lepsze, nie uważa pan?

Monsieur Bleuet znowu się zaśmiał:

- To samo, moim zdaniem, dotyczy kobiet!

- To już zupełnie inny temat - stwierdził Craig. - Rozmawiamy o rosyjskich jachtach.

- Ma pan rację - przyznał dyrektor. - Niestety, z przykrością muszę przyznać, że nie byłem na żadnym z nich, a prawdę mówiąc nie znam nikogo, kto dostąpiłby tego zaszczytu.

- Czy chce pan powiedzieć, że ich właściciele nie utrzymują żadnych kontaktów towarzyskich?

- Ich właściciel, monsieur.

- A więc jest tylko jeden?
- Właśnie! Nazywa się baron Strogoloff. Jest kaleką.
- Ach tak, to wszystko wyjaśnia!
- Niezupełnie! - przerwał dyrektor. - Pan baron ma pewne kłopoty z nogami, co, jak przypuszczam, zmusza go do poruszania się na inwalidzkim wózku. Jeździ nim po pokładzie jachtu, ale zjawia się również w kasynie.
- Aby grać? Dyrektor pokręcił głową.
- Nie. Podobno uwielbia muzykę, uczęszcza więc na koncerty i przedstawienia operowe.
- A więc nie gra?
- Monsieur Le Baron jeszcze nigdy nie odwiedził „Salle Touzet”, co, jak się pan domyśla, niezbyt nas cieszy. Z tego co wiem, jest nieprzyzwoicie bogaty.
- No i kiedy wyjedzie, wszystko zabierze ze sobą! - Craig roześmiał się szeroko, po czym dodał: - To rzeczywiście nieszczęście, ale posiadanie dwóch jachtów to już chyba przesada.
- Monsieur Le Baron korzysta tylko z jednego. Drugi przeznaczony jest dla jego gości i tych, którzy mają do niego jakieś sprawy.
- To faktycznie luksus - przyznał Craig. - A kim są ci jego goście?
- Nie uwierzy pan, monsieur - powiedział dyrektor - ale oni nigdy nie schodzą na ląd.
- Nie mogę w to uwierzyć - zawołał Craig. - To wręcz nieprawdopodobne!
- My też tak uważamy - przyznał dyrektor. - Często rozmawiamy ze sobą na ten temat.
- To zupełnie zrozumiałe - z uśmiechem powiedział Craig. - A co o tym sądzi książę Albert?
- Jak do tej pory nie dostąpiliśmy zaszczytu rozmowy na ten temat z Jego Królewską Wysokością - wyjaśnił dyrektor. -

Ale uważamy, że tylko on mógłby wpłynąć na barona, aby stał się nieco bardziej towarzyski.

- Nie bardzo w to wierzę - odezwał się Craig. - Ci Rosjanie są tacy nieobliczalni. Powinien pan dziękować Bogu, że ma pan takich niezwykle czarujących i rozrzutnych gości, jak wielcy książęta Michał i Borys.

- Zgadzam się z panem, monsieur Vandervelt. To rzeczywiście ogromne szczęście. Nie dalej jak wczoraj wielki książę Michał powiedział mi, że ilekroć wraca do Rosji, liczy dni dzielące go od powrotu do nas i do tego, co nazywa „prawdziwym domem”.

Wyraźne zadowolenie w głosie dyrektora powiedziało Craigowi, ile z ogromnych corocznych zysków zawdzięczało kasyno wielkiemu księciu. Takie szczegóły zawsze Craiga interesowały. Doskonale więc wiedział, że akcjonariusze kasyna szybko stawali się milionerami i że inne kurorty ogromnie zazdrościły Monako tych sukcesów.

Chwilę jeszcze rozmawiali, ale Craig celowo nie wspomniał o hrabinie. Chcąc sprawić przyjemność dyrektorowi, oświadczył, że bardzo sobie ceni, iż do Monte Carlo przybywa tak wielu dystyngowanych gości. Wymienił tu księcia Radziwiłła, który przywiózł ze sobą własne kuce do gry w polo, księcia Montrose i prześliczną Amerykankę - księżną Marlborough.

Dyrektor o każdym z tych gości miał coś ciekawego do powiedzenia, ale Craig wiedząc już to, o co mu naprawdę chodziło, nie wykazywał tym specjalnego zainteresowania. Kiedy wrócił do swego apartamentu, długo stał przy oknie, patrząc w zadumie na przystań i na dwa zacumowane obok siebie rosyjskie jachty.

Rezydencja wielkiego księcia była jakby ze snu o orientalnym przepychu, czymś w rodzaju mieszaniny rosyjskiego zamiłowania do kopulastych sklepień i ogromnej



ilości złocen. Wyposażona była jednocześnie we wszystko, co zapewniało zachodni komfort, a więc ogromne miękkie sofy, fotele, aksamitne kotary i obrazy, o których niejeden koneser sztuki mógł tylko marzyć i za które każdy z nich z radością dałby sobie uciąć rękę, aby tylko je posiadać.

Każdy leżący na podłodze kobierzec to arcydzieło wschodniej sztuki rękodzielniczej, a znajdujące się na stole złote przedmioty bezcenne były nie dlatego, że ich rodowód sięgał starożytności, ale z powodu zdobiących je drogocennych kamieni, najwspanialszych, jakie kiedykolwiek wydobyto na Syberii. Wszędzie porozstawiano cudownie pachnące orchidee. Ale nic nie było w stanie przyćmić ani urody, ani wytwornej elegancji zaproszonych tego wieczoru gości.

Jak zwykle przed każdym party, wielki książę wydawał obiad dla około pięćdziesięciu osobistych przyjaciół. Potem od północy aż do rana przybywali pozostali goście.

Obrzuciwszy wzrokiem długi stół, zastawiony złotymi talerzami, zdobionymi herbem wielkiego księcia, i kryształowymi kielichami, które lśniły niczym diamenty, Craig upewnił się, że nie ma tu ani hrabiny, ani Neasdon. Spodziewał się tego, a jednak był rozczarowany. Chciał na nią popatrzeć, być może po to, aby się przekonać, czy rzeczywiście była tak piękna, jak mu się zdawało ubiegłego wieczoru. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, że przez cały dzień jej nie widział, jeśli nie liczyć tych kilku chwil w kościele. Zastanawiał się, gdzie znikwała, kiedy nie była z Neasdonem.

Gdy dokładniej przyjrzał się przybywającym na party gościom, doszedł do wniosku, że wielki książę już rozstrzygnął dylemat, do jakiej kategorii bywalców Monte Carlo zaliczyć hrabinę. Wszyscy zaproszeni przez księcia mężczyźni to była najprawdziwsza arystokracja, nie licząc Craiga wyłącznie Europejczycy lub Rosjanie. Natomiast

kobiety, co prawda wyjątkowo szykowne, bez wątplenia należały do półświatka. To wcale jednak nie znaczyło, że nie mogły być czarującymi towarzyszkami i to równie dobrze w miejscach publicznych, jak i w bardzo intymnych. Z powodu ich szczególnej profesji maniery musiały mieć równie piękne jak twarze i zawsze przestrzegały niepisanego prawa, zgodnie z którym nigdy nie usiłowały poznać rodzin swoich protektorów. Craig z własnego doświadczenia wiedział, że ich zachowanie przy stołach gry zawsze było wzorowe i że nigdy nie urządały scen, jak to się czasem zdarzało damom z tak zwanego towarzystwa.

Te luksusowe kokoty zawsze nosiły najwspanialszą biżuterię. Ich suknie, sprowadzane z najśłynniejszych domów mody w Paryżu, w większości firmowane przez Fredericka Wortha, z pewnością zrobiłyby wrażenie w każdym królewskim pałacu. Ale nawet tu, w Monte Carlo, gdzie wszystko zdawało się bardziej swobodne niż gdzie indziej, les femmes de joie nigdy nie usiłowały nawet przekroczyć linii dzielącej tak zwany wielki świat od półświatka. Oprócz znanych kokot w rodzaju La Belle Otero i Gaby Delys na party znalazło się również kilka kobiet błękitnej krwi, które dla miłości zrezygnowały z należnej im pozycji towarzyskiej.

Craig zauważył pewną margrabinę, która porzuciła wiecznie upijającego się i brutalnego małżonka, aby żyć w tak zwanym grzechu z pewnym francuskim księciem, który miał już wprawdzie żonę i gromadkę dzieci, ale zostawił je w zamku na wsi i rzadko odwiedzał. Była tu również córka pewnego bardzo znanego brytyjskiego hrabiego, która chociaż dwukrotnie już rozwiedziona, wciąż była piękna i wystarczająco atrakcyjna, aby poważnie myśleć o trzecim małżonku. Kandydat do jej ręki siedział tuż obok niej i rozkochanym wzrokiem patrzył w jej oczy, poza nią nie dostrzegając absolutnie nikogo.

To wszystko w jakimś stopniu przypominało dom i chociaż Craig podobne sceny oglądał już dziesiątki razy, zawsze sprawiały mu one przyjemność. Dobrze się tu czuł, brak mu było tylko hrabiny Zładimir. Powtarzał sobie jednak, że musi cierpliwie czekać, aż skończy się obiad i pojawią się pozostali goście księcia. Tymczasem starał się być miły dla towarzyszących mu przy stole pań, co nie sprawiało mu specjalnego kłopotu. Twarda szkoła życia, jaką przeszedł, nauczyła go znajdowania się w każdej sytuacji.

Tak jak to było przyjęte we Francji, panie i panowie razem opuścili jadalnię i przeszli do ogromnego salonu, łączącego się z innym podobnej wielkości, z którego usunięto meble, aby można było w nim tańczyć. Wtedy właśnie Craig ujrzał hrabinę.

Stała przy otwartym oknie, patrząc na ogród mieniący się tysiadcem maleńkich lampionów. Ich światełka drżały w podmuchach wieczornej bryzy, a ogromne chińskie latarnie złościście jarzyły się w gałęziach drzew. Powietrze przepojone było zapachem kwitnącej mimozy i Craig pomyślał, że to niemożliwe, aby jakakolwiek kobieta mogła wyglądać aż tak urzekająco. Zdawała się być nierozłączną częścią nocy.

Po jej gwałtownym zniknięciu poprzedniego wieczoru Craig zastanawiał się, czy hrabina potrafi powtórzyć sukces, jaki odniosła zjawiając się w czarnej sukni w restauracji „Hotel de Paris”. Teraz pomyślał, że wygląda jeszcze bardziej efektownie. Suknia w kolorze srebra przypominającego światło księżycy dokładnie opinała jej figurę, falując na wietrze wokół jej stóp. Oświetlona promieniami księżycy z jednej strony, z drugiej blaskiem płonących świec, wyglądała jak nimfa wyłaniająca się z morskich fal.

Nie zbliżył się do niej. Po prostu stał i przyglądał się jej w milczeniu. Kiedy zwróciła twarz w stronę wielkiego księcia, podchodzącego by ją powitać, Craig zauważył, że jedynym

klejnotem była duża diamentowa gwiazda, która wpięta nad czołem, zdawała się zlewać ze srebrem jej włosów.

Hrabina złożyła przed księciem głęboki ukłon i Craig nie miał wątpliwości, że żadna kobieta nie potrafiłaby zrobić tego z większą gracją. Następnie wielki książę niezwykle uprzejmie powitał lorda Neasdon, co na Angliku najwyraźniej zrobiło ogromne wrażenie.

Zespół składający się z dwudziestu skrzypków miał umilać gościom czas i z sąsiedniego salonu dobiegały już dźwięki muzyki, sprawiając, że nagle wszystko stało się jakies nierzeczywiste, jakby ze snu.

Craig wiedział, że w rezydencji księcia był specjalny pokój z zielonymi stolikami, przy których goście mogli tracić pieniądze bez konieczności udawania się do kasyna. Obecne na party panie już gorąco namawiały swoich partnerów do ruletki. Było bowiem zwyczajem, że dżentelmen połową wygranej obdarowywał damę, która mu towarzyszyła, nie mówiąc o tym, że dawał jej tyle pieniędzy, aby mogła grać sama, jeśli oczywiście tego sobie życzyła.

Wielki książę opuścił lorda Neasdon, aby powitać przybywających właśnie nowych gości, a hrabina znowu stanęła przy oknie, patrząc gdzieś przed siebie i słuchając tego, co mówił do niej Neasdon.

Craig wiedział, że jeśli chce poznać ją oficjalnie, sam musi się o to postarać. Sytuacja zdawała mu się sprzyjać, ponieważ Zsi - Zsi, która pełniła rolę gospodyni, na chwilę pozostała sama.

Chociaż dla nikogo nie było tajemnicą, że Zsi - Zsi zawsze mieszkała z wielkim księciem, ilekroć ten, pozostawiając swoją żonę w Rosji, zjawiał się w Monte Carlo, to z uwagi na jej małżeństwo z powszechnie szanowanym hrabią, była akceptowana przez wiele pań z towarzystwa. Z tego powodu nawet wtedy, gdy wielki książę przyjmował u siebie tak

zwaną śmietankę towarzyską, Zsi - Zsi mogła w tym spotkaniu uczestniczyć.

Craig podszedł do niej, objął ramieniem i cicho powiedział:

- Ogromnie mnie intryguje ta kobieta. Bądź tak dobra i przedstaw mnie jej.

- Myślę, że nic z tego nie będzie, Craig - zauważyła Zsi - Zsi. - Ona najwyraźniej jest związana z lordem Neasdonem. Craig, zajmij się, proszę, kimś innym. Jest tu kilka kobiet, które mnie błagały o stworzenie im okazji, aby mogły być z tobą. Wśród nich znalazła się nawet dama siedząca przy stole z twojej prawej strony.

- Proszę, przedstaw mnie hrabinie. Zsi - Zsi wzruszyła ramionami.

- A więc dobrze, skoro nalegasz. Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli dostaniesz kosza, jak przytrafiło się to biednemu Borysowi, chociaż tak bardzo starał się to przede mną ukryć.

W oczach Craiga pokazały się wesołe ogniki, kiedy przypomniał sobie, co wielki książę mu niedawno powiedział, po czym nie wzruszony słowami Zsi - Zsi spokojnie oświadczył:

- Jednak zaryzykuję, a jeśli nawet moja ambicja na tym ucierpi, przyjdę do ciebie po pocieszenie.

- Możesz na to liczyć - śmiejąc się zapewniła go Zsi - Zsi.

Rozmawiając z nią, Craig celowo kierował się w tę stronę salonu, gdzie stali hrabina i lord Neasdon. Kiedy byli już blisko, hrabina odwróciła głowę i Craig odniósł wrażenie, że spojrzała na Zsi - Zsi tak, jakby nagle z jakiegoś powodu poczuła zakłopotanie. Natychmiast jednak powiedział sobie, że to zabawne, aby tak myśleć, i że to musi być jakaś sprytna sztuczka stosowana dla pozyskania względów bardziej

doświadczonej kobiety, a już z pewnością każdego mężczyzny.

- Jak miło panią widzieć, hrabino - zawołała Zsi - Zsi. - Pana również, lordzie Neasdon. Jego Cesarska Wysokość jest niezmiernie szczęśliwy, że może państwa gościć. Od dawna już nosił się z tym zamiarem.

- Jest pani bardzo uprzejma, madame - z uśmiechem zauważył lord Neasdon.

- A teraz, jako że jesteście naszymi gośćmi po raz pierwszy - oświadczyła Zsi - Zsi - proszę, aby pan zechciał otworzyć wraz ze mną bal. Orkiestra gra właśnie „Błękitne fale Dunaju”. Czy dla upamiętnienia naszej znajomości można sobie wyobrazić piękniejszy taniec?

Kiedy Zsi - Zsi uśmiechnęła się do lorda Neasdona, wydawało się niemożliwe, aby jakikolwiek mężczyzna mógł się jej oprzeć. Jednak lord Neasdon jakby się wahał.

- Tiens! Na śmierć zapomniałam! - zaszczębiotała Zsi - Zsi. - Madame la Comtesse, proszę mi pozwolić przedstawić sobie pana Craiga Vandervelta, który dotrzyma pani towarzystwa, podczas gdy ja porwę do tańca czarującego lorda Neasdona. - Po chwili dodała: - Pan Vandervelt to Amerykanin, ale jest tak bajecznie bogaty, że wybaczymy mu, iż na miejsce zamieszkania wybrał sobie tak odległy kraj. - Cały czas śmiała się, a jej głos brzmiał jak radosny ptasi świergot. Nagle chwyciła lorda Neasdona za rękę i pociągnęła do sąsiedniego pokoju.

Craig zrobił kilka kroków w stronę hrabiny, po czym zatrzymał się, obserwując ją w milczeniu. Hrabina odwróciła twarz do okna.

- Długo na tę chwilę czekałem - odezwał się Craig, patrząc na nią wymownie. - Sądzę, że mamy sobie dużo do powiedzenia. Nie chciałbym, aby nam przeszkadzano, może wyszlibyśmy do ogrodu?

## Rozdział 4

Przez chwilę hrabina się wahała i Craig obawiał się już, że ma zamiar mu odmówić. Po czym spojrzała nerwowo przez ramię, prawdopodobnie, aby się upewnić, czy lord Neasdon jej nie obserwuje. Ale on zniknął już w sąsiednim salonie i hrabina, jakby nagle uwolniwszy się od jakichś wątpliwości, których natury Craig nie pojmował, szybko przeszła przez drzwi wiodące do ogrodu.

Na zewnątrz nie było zbyt wielu osób i kiedy minęli trawnik i znaleźli się wśród drzew, Craig ujął hrabinę pod ramię i poprowadził do mniej oświetlonej części ogrodu. Doskonale znał ogród wielkiego księcia i wiedział, że były tam maleńkie altanki, porośnięte winoroślą, z wygodnymi ławeczkami. Dla szukających odosobnienia było to miejsce wprost wymarzone.

Szli w milczeniu. I kiedy Craig skrzył w stronę jednej z altanek, której mrok rozpraszało jedynie nikłe światełko zawieszanej na pobliskim drzewie latarenki, z początku obawiał się, że hrabina będzie protestowała. Ale jakby czytając w jej myślach, zrozumiał, że jej również zależało, aby nikt ich nie spostrzegł.

Kiedy weszli do środka i usiedli na wyłożonych miękkimi poduszkami siedzeniach, Craig spojrzał w głąb alejki, którą dopiero co przyszedli. Nikogo nie zauważył. W tej części ogrodu panowała cisza i spokój.

Ponownie się odwrócił i usiadłszy bokiem z ramionami wyciągniętymi z tyłu oparcia, powiedział:

- Nareszcie mogę z panią porozmawiać. Bardzo mi na tym zależy.

Mówił głosem, któremu większość kobiet zazwyczaj nie mogła się oprzeć. Jednak hrabina zdawała się nie zwracać na to uwagi. W milczeniu patrzyła przed siebie, podczas gdy Craig w półmroku podziwiał delikatne linie jej profilu.

- O czym... pan chce... rozmawiać? - odezwała się nieco drżącym głosem.

- O pani - rzekł Craig. - Jednak nie bardzo wiem, od czego zacząć.

- Nie uważam... abyśmy mieli... sobie... coś do powiedzenia.

- Ja mam bardzo wiele - zauważył Craig. - Ale najpierw chcę wiedzieć, kogo się właściwie pani boi i dlaczego?

Jej reakcja była szybka i dosyć nerwowa:

- Proszę... myślę, że powinniśmy wrócić. Lord Neasdon... z pewnością... będzie chciał ze mną... zatańczyć.

- Dopiero co zaczął tańczyć z panią domu - odrzekł Craig.  
- A ponieważ na tym party jest ona, poza panią oczywiście, najbardziej pociągającą kobietą, nie sądzę, aby miał się spieszyć do zmiany partnerki.

Jeśli myślał, że ją tym uspokoi, to bardzo się mylił. Hrabina wyglądała teraz na jeszcze bardziej wzburzoną. Jej palce w długich, białych rękawiczkach zaciskały się nerwowo.

Craig pochylił się w jej kierunku i bardzo cicho powiedział:

- Proszę mi pozwolić sobie pomóc. Jeśli znalazła się pani w tarapatach, wyciągnę z nich panią i przyrzekam, że już nigdy nie będzie się pani musiała niczego obawiać.

- Nikt... nie jest w stanie... tego dokonać. - Ledwie słyszał jej słowa.

- Dlaczego?

Nie odpowiadała. Po chwili milczenia Craig odezwał się:

- Jestem przekonany, że dzieje się tu coś niedobrego, bardzo, bardzo niedobrego. Jest pani najpiękniejszą kobietą w Monte Carlo. Każdy pragnie panią poznać, mężczyźni, wszyscy bez wyjątku, leżą u pani stóp, a mimo to czegoś się pani obawia. To musi się skończyć.



Kiedy jego głos ucichł, hrabina splatając i rozplatając dłonie, łamiącym się ze zdenerwowania głosem powiedziała:

- Proszę... nie mówić do mnie w ten sposób... Potrzebuję pomocy... rozpaczliwie... ale nie mogę prosić... pana o to... ani nikogo innego.

- A jednak upieram się, że jestem jedyną osobą, która może pani pomóc.

Odwróciła od niego twarz, lecz on wcale tym niezrażony mówił dalej:

- Obydwoje byliśmy w Indiach. Doskonale wiemy, że dzieją się tam różne dziwne rzeczy, o których Zachód nie ma zielonego pojęcia, że myśl jest tam używana do przekazywania informacji pomiędzy dwojgiem ludzi, chociaż dzieli ich wiele mil. - Milczała, ale Craig nie miał wątpliwości, że jego słowa wywarły na niej wrażenie. Po chwili dodał: - Jestem pewien, że pani mnie potrzebuje i że jestem jedyną osobą która może pani pomóc. Dobrze pani o tym wie.

Nieoczekiwanie jej reakcja była dość gwałtowna:

- Jak pan może... mówić do mnie... w ten sposób? Jak to możliwe... że jest pan w stanie... to rozumieć?

- Pani przecież zna odpowiedź - odrzekł Craig. - Nie musimy tracić czasu, aby siebie o tym przekonywać.

- Ale... jak mogę być... pewna? Nigdy wcześniej... pana... nie widziałam.

- A mimo to wtedy w kościele ostrzegła mnie pani przed kimś, kto panią śledził - wtrącił Craig. - Dlaczego miałyby pani to zrobić, skoro wciąż myślała pani o mnie jako o kimś zupełnie obcym?

- Ja... nie wiem... nic - wyszeptała hrabina. - Ja... tak bardzo się boję... strasznie się boję... A jednak nie mam odwagi... ufać panu.

Było coś niepokojącego w jej głosie i Craig celowo odczekał chwilę, po czym spokojnie powiedział:

- Jeśli była pani w Indiach i ten sam guru był naszym nauczycielem, proszę nie słuchać rozsądku, lecz wyłącznie instynktu.

Wciągnęła głęboko powietrze. I wtedy, kiedy już myślał, że ją przekonał, szepnęła:

- Wydaje mi się... że ktoś... nas podsłuchuje!

- Tutaj? - zdziwił się Craig. - To raczej mało prawdopodobne. Jeśli jednak przypuszcza pani, że ktoś ją śledzi, proszę powiedzieć dlaczego.

- Ja... Ja nie mogę tego... zrobić - drżąc wyszeptała hrabina. - Ale oni mnie śledzą... cały czas... I chociaż nie zawsze... ich widzę... wiem, że tak jest.

- Kim oni są? I dlaczego to robią? - powtarzał, ale wiedział, że hrabina mu nie odpowie. Strach wciąż w niej narastał, opanowując do tego stopnia jej ciało i umysł, iż nie była już w stanie myśleć rozsądnie. - Proszę mnie posłuchać - powiedział półgłosem. - Rozumiem pani kłopoty lepiej, niż się to pani wydaje. Chcę, aby pani pamiętała, że jestem tu i że mogę, i chcę pani pomóc jak nikt inny na świecie.

Bez słowa patrzyła gdzieś przed siebie.

- Pani pokój łączy się z moim - ciągnął Craig. - Natychmiast po przyjściu do hotelu otworzę te drzwi, które są po mojej stronie. W każdej chwili, jeśli będzie mnie pani potrzebowała, proszę przesunąć karteczkę pod swoimi drzwiami. Gwarantuję pani, że nikt się o tym nie dowie.

Słuchała go uważnie, a on mówił dalej:

- Lub, jeśli to pani odpowiada, możemy rozmawiać na balkonie. Oczywiście tylko wtedy, kiedy uzna to pani za bezpieczne.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem i wyszeptała:

- Dziękuję panu... będę pamiętała... Ale proszę... niech pan już nigdy o tej porze nie przychodzi do tego kościoła... Oni mogą... odkryć, że nasze pokoje... są blisko siebie.

- Rozumiem - odrzekł Craig. - Ale gdyby mogła mi pani powiedzieć, kto to są ci „oni”, byłoby mi łatwiej pomóc pani.

Ona jednak, jakby to pytanie zbyt mocno ją poruszyło, pospiesznie powiedziała:

- Nie... nie... nie mogę tu dłużej zostać... Nie mam odwagi... Proszę... zapomnieć o naszej... rozmowie.

- To raczej ja mówiłem - z uśmiechem zaprotestował Craig. - Ale przynajmniej teraz pani wie, że gotów jestem zmierzyć się ze wszystkimi i ze wszystkim, aby tylko osuszyć łzy w pani oczach.

Uśmiechnęła się leciutko i szybko wstała.

- Muszę wracać... Jestem pewna, że taniec... już się skończył.

- Proszę iść wolno i zachowywać się swobodnie - rzekł Craig. - Jeśli ktoś istotnie panią śledzi, to widząc, jak pani się spieszy, pomyśli, że ma pani coś do ukrycia.

Zauważył, jak jej oczy robią się ogromne, a kiedy wyszła z altanki, odezwała się już zupełnie innym głosem:

- Jakie to musi być cudowne uczucie, kiedy się posiada taki ogród, w którym kwiaty kwitną przez cały rok.

Craig zauważył, że zachowuje się tak, jakby wierzyła, iż ktoś rzeczywiście ją podsłuchuje. Odezwał się więc w podobnym tonie:

- Moim zdaniem Lazurowe Wybrzeże nigdy nie jest tak piękne jak wtedy, gdy drzewa mimozy stają się złote i kiedy zakwitają pierwsze hibiscusy. - Craig celowo szedł bardzo wolno i hrabina dostosowała się do niego.

Kiedy znaleźli się w zasięgu światła padających przez okna domu, Craig zauważył, jak bardzo była blada. W

mieniącej się srebrzystej sukni z połyskującą na srebrzystych włosach gwiazdą wyglądała jak tajemnicza, nieziemska istota.

Dołączyli teraz do innych gości wracających z ogrodu. Kiedy z powrotem znaleźli się w salonie, Craig zauważył lorda Neasdon i Zsi - Zsi wychodzących z sąsiedniego pokoju, w którym umilkły już dźwięki muzyki. Craig odniósł wrażenie, że na widok lorda Neasdon hrabina zadrżała i jakby przed czymś się broniąc, instynktownie przysunęła się do niego.

- Cudownie się nam tańczyło - powiedziała czarującym głosem Zsi - Zsi. - Jego Lordowska Mość jest świetnym tancerzem.

- U Anglików nie często się to zdarza - zauważył Craig. - Mam nadzieję, że mnie przedstawiś, jako że właściwie jeszcze się nie znamy.

- O la la! Co za gapa ze mnie! - zawołała Zsi - Zsi. - Lordzie Neasdon, to Craig Vandervelt, uroczy Amerykanin, który zaszczyca nas swoją obecnością tu, w Monte Carlo, prawie każdego roku, a my, kobiety, z bijącym sercem czekamy na niego.

Lord Neasdon wyciągnął dłoń:

- How do you do? - powiedział dość oficjalnie. - Wiele o panu słyszałem, chociaż nigdy się dotąd nie spotkaliśmy.

- Jak sądzę, pracuje pan w Ministerstwie Spraw Zagranicznych z moim krewnym, markizem Lansdowne.

- Markiz jest pańskim krewnym? - Lord Neasdon wyglądał na zaskoczonego.

- Dalekim kuzynem.

- Nie miałem pojęcia!

- Widuję go tylko od czasu do czasu - rzekł Craig. - Mieszkam w Ameryce, a i w domu bywam bardzo rzadko.

Zsi - Zsi roześmiała się.

- Muszę panu powiedzieć, że Craig jest wiecznym podróżnikiem, który bezustannie krąży po świecie niczym meteor, jeśli to właściwe określenie.

- Prowadzi pan bardzo ciekawe życie - zauważył lord Neasdon. Nie starał się nawet ukryć, jak bardzo jest znudzony tą konwersacją. Jego oczy cały czas zwrócone były na hrabinę, która patrzyła na Craiga tak, jakby mu chciała coś powiedzieć, jakby go o coś prosiła.

Zapadło kłopotliwe milczenie. W pewnej chwili Craig skłonił głowę przed hrabiną.

- Spodziewam się, że jeszcze tego wieczoru będę miał okazję zatańczyć z panią - powiedział. - Tymczasem niech mi wolno będzie powiedzieć, że to prawdziwa przyjemność poznać panią.' - Po czym nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Zsi - Zsi: - Pozwól, że pogratuluję ci wspaniałego przyjęcia. Ale właściwie dlaczego miałyby być inaczej?

- To bardzo sympatycznie powiedziane, mon cher - zauważyła Zsi - Zsi. Ujęła Craiga pod rękę i pociągnęła za sobą, pozostawiając lorda Neasdona i hrabinę samych.

Kiedy już znaleźli się w bezpiecznej odległości, Zsi - Zsi zawołała:

- O la la! Mam nadzieję, że jesteś zadowolony. Jeszcze nigdy nie spotkałam takiego nudziarza. Bez przerwy mówił wyłącznie o sobie.

- Jestem zadowolony.

- Taka piękna kobieta! Co ona w nim widzi? - dziwiła się Zsi - Zsi. - On jest przeraźliwie nudny. Poza tym tańczy jak słoń, a do tego jest tak zarozumiały, iż naprawdę uwierzył, że dobrze tańczy.

- A może wobec tego zatańczysz ze mną? - zapytał Craig.  
- I zapomnisz o Neasdonie.

- Z przyjemnością, ale nieco później - powiedziała Zsi - Zsi. - Muszę zapytać, czy Borys czegoś nie potrzebuje, i powitać nowych gości.

Kiedy Zsi - Zsi odeszła, Craig zauważył, że lord Neasdon prowadzi hrabinę do ogrodu. I wtedy przyszło mu do głowy, że jeśli hrabina się czegoś obawia, należy podsłuchać ich rozmowę. Nie widział powodu, dla którego miałby tego nie zrobić.

Orkiestra zaczęła właśnie grać jakiś ognisty taniec i prawie wszyscy goście ruszyli na parkiet. Craig pod pretekstem, że chce odetchnąć świeżym powietrzem, wyszedł do ogrodu i kiedy spacerował wśród drzew, nagle zobaczył Neasdona i hrabinę, jak minąwszy oświetlony trawnik, kierują się w stronę ogrodowych altanek.

Chwilę ich obserwował, z zadowoleniem stwierdzając, iż weszli do altanki, która otoczona była krzewami i oświetlona kilkoma chińskimi lampionami, zawieszonymi na gałęziach pobliskich drzew. Dopiero gdy zniknęli mu z oczu, mógł szybko ruszyć w stronę zarośli, cicho się przez nie przekraść i dostać w ich pobliże.

W pewnej chwili usłyszał głos lorda Neasdona.

- Dobrze się bawisz?

- Bardzo dobrze - odpowiedziała hrabina. - To bardzo uprzejme z twojej strony, że zabrałeś mnie na takie... wytworne przyjęcie.

- Wielki ksiązę Borys często urządza takie spotkania, ilekroć jest w Monte Carlo.

- Jest bardzo dystyngowany.

- Myślę, że wiele kobiet tak uważa - powiedział lord Neasdon z nutą lekceważenia.

- To... dziwne - odezwała się hrabina. - Zauważyłam tu tylu Anglików, a przecież Anglicy nie bardzo się lubią z Rosjanami.

- Dlaczego tak uważasz?

- Słyszałam... chociaż może to być tylko plotka... że są... jakieś nieporozumienia między Rosjanami i Anglikami w sprawie... Indii.

Zapadła cisza, jakby lord Neasdon zastanawiał się, co ma powiedzieć. Po chwili odezwał się:

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co usłyszysz.

- Ale czy to prawda, że to Rosjanie są przyczyną tego konfliktu?

- Nie wiem, co słyszałaś - powiedział lord Neasdon. - Ilekroć następuje jakiegokolwiek przemieszczenie wojska, różnym plotkom i pogłoskom nie ma końca, a gdy na granicy padnie parę strzałów, to już mówi się o „bitwie”.

Znowu zapadła cisza, po czym hrabina zapytała:

- Nie sądzisz... że możliwa jest... wojna między naszymi... narodami? To byłoby... straszne!

- Nie ma obawy - oświadczył lord Neasdon. - Zapewniam cię, że Brytyjczycy całkowicie panują nad sytuacją.

- A więc uważasz, że... nie dopuszczą do wojny nawet wtedy, gdy Rosja będzie tego... chciała?

Neasdon roześmiał się i nie zabrzmiało to zbyt sympatycznie.

- Anglicy potrafią się Rosjanom przeciwstawić i jeśli dojdzie między nami do jakichś starć na granicy północno - zachodniej, nie pokonają nas.

- Jesteś całkowicie... tego... pewny?

- Najzupełniej. Hrabina lekko westchnęła.

- To znaczy, że Brytyjczycy mają wiele oddziałów w Indiach, aby zapobiec jakiegokolwiek rosyjskiej... ingerencji w... Afganistanie.

Ta myśl zdawała się ją przerażać i lord Neasdon, aby ją uspokoić, powiedział:

- Teraz nie zaprzataj sobie tym ślicznej główki, Aloya. Obiecuję ci, że nie będzie wojny, a gdyby nawet do niej doszło, zaopiekuję się tobą i ochronię cię.

- To może być... trudne, skoro nasze... kraje są... wrogami.

- Ja nigdy nie będę twoim wrogiem - oświadczył. - Pozwól, abym ci pokazał, jak będę się o ciebie troszczył.

W tym momencie musiał hrabinę objąć, ponieważ do uszu Craiga dobiegł cichy krzyk, po czym wyraźne słowa protestu:

- Nie... nie... Proszę, nie wolno ci tego robić... tutaj! To byłoby bardzo... nierozważne.

- Nikt nas nie widzi - przekonywał lord Neasdon. - Dobrze wiesz, że doprowadzasz mnie do szaleństwa. Obiecałaś mi, że pozwolisz się kochać, kiedy się już lepiej poznamy. Sądzę, że najwyższy czas, abyś wreszcie dotrzymała obietnicy.

- Ale znamy się... przecież tak... krótko. - Hrabina zdawała się wpadać w panikę.

- Dla mnie wystarczająco długo, aby być pewnym, że kocham cię i bardzo pragnę - oświadczył Neasdon. - Dlaczego miałabyś być wierna mężowi, który pozwolił ci na samotną wędrówkę po świecie, zamiast otoczyć cię właściwą opieką.

- On jest wciąż... moim mężem, a ja... ja go kocham.

- Gdyby on cię kochał, byłby przy tobie. Ale to ja tu jestem, a ty powiedziałaś, że uważasz mnie za bardzo interesującego i atrakcyjnego. - Przerwał na chwilę, ale widząc, że hrabina nie reaguje, dodał: - Pozwól mi przyjść do ciebie tej nocy i udowodnić, ile dla mnie znaczysz i jak bardzo możemy być razem szczęśliwi.

- Och... nie... nie tej nocy - zawołała hrabina. - To... za szybko, o wiele... za szybko. - W jej głosie słychać było przerażenie i desperację. - Przecież wiesz, że lubię być z tobą, lubię z tobą rozmawiać i słuchać, kiedy do mnie mówisz.



Jesteś taki interesujący i możesz mnie tyle nauczyć o świecie... o świecie, o którym wiem tak... niewiele.

- Ale w którym ty błyszczysz jak najwspanialsza gwiazda! - zauważył lord Neasdon. - W całym Monte Carlo nie ma kobiety, która mogłaby się z tobą równać. I jestem z tego bardzo dumny. - W jego głosie, kiedy ponownie się odezwał, było tyle pewności siebie, tyle irytującej nonszalancji, że Craig z trudem się pohamował, aby go nie uderzyć.

- Teraz, ponieważ wielki ksiązę zaprosił nas do siebie, będziemy otrzymywać mnóstwo innych zaproszeń i będę cię mógł przedstawić osobom, których inaczej nigdy byś nie poznała. Jestem pewien, że uznasz je za bardzo interesujące.

- Ale ja jestem zupełnie... zadowolona będąc z... tobą - cicho powiedziała hrabina. - Opowiadasz mi o... wszystkim... co chciałabym... wiedzieć.

- Chcę mówić o nas - oświadczył lord Neasdon - i jeśli mam być szczery, Aloya, zupełnie mnie nie obchodzi, czy nasi rodacy harczą tylko na tej północno - zachodniej granicy czy istotnie usiłują podbić Tybet. Jedyne, co dla mnie w tej chwili się liczy, to wizyta w twojej sypialni.

Nagle w altance zapanowała cisza. Lecz po krótkiej chwili hrabina odezwała się:

- To może być... tak trudne jak... inwazja na Tybet!
- Jestem zdecydowany na wszystko.
- Wciąż... myślę o... moim mężu.
- Najwyższy czas o nim zapomnieć!
- Próbuję... ale to takie... trudne.
- Nie dla mnie.

Hrabina roześmiała się, chociaż Craigowi się zdawało, że był to śmiech nieco nerwowy.

- Czyżbym... była podobna do... Tybetu?

- Oczywiście, że tak - odrzekł lord Neasdon. - Tajemnicza, nieznana i niedostępna dla wszystkich, ale oczywiście nie dla mnie!

- To mi niezmiernie pochlebia, ale być może jednak... bariery, które są przeszkodą dla Rosjan, okażą się również... nie do pokonania dla ciebie.

- Nie ma dla mnie przeszkód. Każdą jestem w stanie pokonać. Pozwól mi się teraz pocałować, a udowodnię ci, jak szybko znikają, kiedy się kocha.

- Nie... nie... To nie jest... odpowiednie miejsce! Czuję się bardzo... zakłopotana, gdybym musiała wrócić do salonu... z włosami w nieładzie czy w pogniecionej sukni.

Lord Neasdon nie odpowiedział i Craig był prawie pewien, że hrabina w tym właśnie momencie wstała.

- Zwrócimy na siebie... uwagę - powiedziała - jeśli zostaniemy tu dłużej, a to z pewnością... źle się przysłuży zarówno twojej reputacji, jak i... mojej. Ostatecznie... jesteś bardzo ważną figurą w... brytyjskim MSZ.

- Cieszę się, że tak myślisz - rzekł lord Neasdon. - I może masz rację. Porozmawiamy o nas później, w hotelu.

- To niezbyt rozsądne! - pospiesznie wtrąciła hrabina. - Jeśli przyjdiesz do mojej sypialni, moja służąca... może się okazać niedyskretna, a mój mąż jest bardzo... zazdrosny.

- Do diabła z nim! - zaklął lord Neasdon.

Craig domyślał się, że opuścili już altankę i podążali w kierunku rezydencji. Ich głosy coraz bardziej się oddalały, aż w końcu zupełnie umilkły. On natomiast wciąż tkwił w tym samym miejscu. Wiedział, że błędem byłoby ruszyć za nimi, dopóki nie znikną mu z oczu. Okazało się, że markiz miał rację, twierdząc, iż hrabina jest rosyjskim szpiegiem, który ma wyciągnąć od Neasdona określone informacje. Neasdon oczywiście popełnił błąd, wspominając o Tybecie, ale z drugiej strony zabiegi hrabiny były tak nieudolne, że każdy,

kogo nie zżerałaby próżność, z pewnością bez trudu by je rozszyfrował. Lord Neasdon musi się przecież orientować, o co idzie gra. Mimo to Craig odniósł wrażenie, że ten człowiek jest tak naiwny i w jakimś sensie tak zaślepiiony namiętnością, że nie dostrzega ani grożących mu niebezpieczeństw, ani tych, którzy wykorzystywali hrabinę do realizacji swoich planów.

Craig szedł wolno przez ogród, celowo wybierając inną drogę powrotną. Czuł, że hrabina nie czyniła tego wszystkiego z własnej woli. Był prawie pewien, że to Rosjanie, którzy zmusili ją do wyciągnięcia informacji od Neasdona, rozkazując, by została jego kochanką, przed czym tak desperacko się teraz broniła.

Craig dokładnie analizował każdą zmianę tonu w jej głosie, gdy rozmawiała z lordem. Hrabina była nie tylko przerażona, do czego sama się zresztą Craigowi przyznała, ale niczym maleńkie zwierzątko wiła się i skręcała, chcąc wyplatać się za wszelką cenę z matni, w której się znalazła.

Fakt, że do akcji w Monte Carlo, gdzie nie brakuje pięknych kobiet, Rosjanie wybrali kogoś tak efektownego i pięknego jak hrabina Aloya, Craig uznał za wyjątkowo sprytne posunięcie. Nie miał jednak wątpliwości, że to było jej pierwsze zadanie i nawet gotów był postawić dużą sumę pieniędzy, iż podjęła się je wypełnić, ponieważ nie miała innego wyjścia. Musiał więc rozwiązać zagadkę, dlaczego hrabina bała się swoich rosyjskich protektorów do tego stopnia, że zgodziła się dla nich pracować. Zastanawiał się przy tym, jak mógłby jej pomóc, a jednocześnie przeszkodzić w uzyskaniu informacji od lorda Neasdona, gdyby ten okazał się aż tak gadatliwy, jak podejrzewało brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

Craigowi wydawało się wręcz nieprawdopodobne, że człowiek z pozycją lorda Neasdona mógł wpaść na pomysł, aby wziąć sobie rosyjską kochankę, i to akurat w chwili, gdy

raporty z Indii były aż tak niepokojące. Po za tym przypuszczał, że Neasdon, pracując głównie w stolicach europejskich, miał niewielki kontakt z Rosjanami i stąd skromną wiedzę o ich poczynaniach na Dalekim Wschodzie.

Obecnie zaledwie kilku ludzi wiedziało, że Rosja nosi się z zamiarem inwazji na Tybet i że władze w Indiach i kierownictwo MSZ w Londynie są tym ogromnie zaniepokojeni. Zdaniem markiza, Neasdon wiedział wystarczająco dużo, aby można było żądać od niego całkowitej dyskrecji.

Craig nie miał złudzeń. Hrabina z pewnością natychmiast przekaże swoim protektorom, że Neasdon w rozmowie z nią wspomniał o Tybecie. I nagle Craigowi przyszło do głowy, że baron Strogoloff może mieć jakiś udział w tej całej historii. To, że musiał mieć w Monte Carlo aż dwa jachty i że jego goście nigdy nie schodzili na ląd, a on sam odwiedzał jedynie teatr, mogło budzić podejrzenia.

- Jedno jest pewne - powiedział do siebie Craig - za wszelką cenę muszę zawrzeć znajomość z tym baronem.

Ponieważ był już w pobliżu rozjarzonych światłami okien, znów przywdział maskę amerykańskiego playboya i z uśmiechem ruszył na poszukiwanie Zsi - Zsi, aby poprosić ją do tańca.

Następnego dnia przed lunchem Craig przechadzał się po tarasie w pobliżu kasyna, kłaniając się na lewo i prawo licznie spotykanym znajomym. Tego ranka rozegrał cztery ciężkie sety w tenisa i obejrzał najnowszy model samochodu, w którym miał zamiar zdobyć pierwszą nagrodę w Concours d'Elegance.

W pewnej chwili ujrzał lorda Neasdona i hrabinę, siedzących przy jednym ze stolików. Ich twarze były raczej posępne. Gdy się do nich zbliżył, odniósł wrażenie, choć nie

był tego zupełnie pewien, że na jego widok piękne oczy hrabiny jakby na chwilę rozbłyły.

- Dzień dobry, madame! - powiedział Craig, zdejmując z głowy żeglarską czapkę. - Dzień dobry, Neasdon! Czy dobrze się pan bawił ubiegłej nocy?

- Doskonale - odpowiedział lord Neasdon. - Wielki książe zasłużenie cieszy się opinią wspaniałego gospodarza.

- Ja nie zabawiłem u księcia zbyt długo - rzekł Craig. - Poszedłem na inne party, ale nie było już tam tak sympatycznie.

Prawda była jednak taka, że zaraz po tańcu z Zsi - Zsi szybko wrócił do „Hotel de Paris” i długo czekał w pokoju łączącym apartamenty jego i hrabiny, spodziewając się, że Aloya może go potrzebować. Ale najprawdopodobniej udało się jej przekonać lorda, aby tej nocy zostawił ją samą, ponieważ jedyny głos, jaki dobiegał zza ściany, należał do rosyjskiej pokojówki.

Craig nie musiał korzystać z pomocy służby. Po latach pracy dla markiza, kiedy musiał sobie radzić w najprzeróżniejszych sytuacjach, prawie każdy zamek poddawał się jego fachowemu palcom. Teraz, kiedy drzwi po jego stronie były już otwarte, bez trudu mógł słyszeć każde słowo wypowiedane w sąsiednim pokoju. Nie znał rosyjskiego zbyt dobrze, zawsze uważał ten język za bardzo trudny. Mimo to zorientował się, że służąca dość aroganckim tonem wypytuje swoją panią o przyjęcie. Odpowiedzi, jakie otrzymywała, były jednak bardzo zdawkowe, co najwyraźniej nie bardzo się jej spodobało. Gdy przypuszczalnie hrabina była już rozebrana i gotowa do snu, ostentacyjnie powiedziała „dobranoc” i wychodząc z sypialni, z trzaskiem zamknęła drzwi.

Craig przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zapukać i powiedzieć hrabinie, że jest tuż obok, ale szybko z tego zrezygnował, uznając ten pomysł za zbyt ryzykowny.

Ponieważ hrabina była tak bardzo wystraszona i tak pewna, że ktoś ją śledzi, Rosjanie pewnie wmawiali jej, że jest bezpieczna, podczas gdy faktycznie wciąż mieli ją pod obserwacją. Czekał więc jakąś godzinę na wypadek, gdyby chciała, tak jak uprzednio ustalili, przekazać mu jakąś wiadomość. Ale kiedy nic takiego się nie wydarzyło, zamknął ostrożnie drzwi i wrócił do swej sypialni.

Kiedy Craig zbliżył się do ich stolika, lordowi nie pozostawało nic innego jak powiedzieć:

- Proszę usiąść. Napije się pan czegoś?

- Jest pan bardzo uprzejmy - zauważył Craig. - Niestety, nie mam zbyt wiele czasu. Obiecałem spotkać się z przyjaciółmi, ale jeszcze ich nie ma.

Kiedy lord Neasdon zawołał kelnera i zamówił szklaneczkę sherry, Craig zwrócił się do hrabiny z pytaniem:

- Czy dobrze się pani bawiła ubiegłego wieczoru?

- To było urocze party - odrzekła hrabina. - I jestem lordowi ogromnie wdzięczna, że zabrał mnie ze sobą.

- Masz szczęście, moja droga. Znam tylu ludzi w Monte Carlo - powiedział lord Neasdon, po czym zwrócił się do Craiga: - Obiecałem hrabinie, że teraz będzie ze mną bywać na wielu przyjęciach. Jak panu wiadomo, Vandervelt, w Monte Carlo każdego wieczoru odbywa się ich przynajmniej z pół tuzina.

- To prawda - przyznał Craig. - Ale większość z nich jest straszliwie nudna.

- Tak, rzeczywiście - zgodził się Neasdon. - Ale przecież zawsze można coś wybrać.

- Naturalnie. - Kelner przyniósł sherry i Craig upiwszy trochę, rzucił jakby od niechcienia: - Wydaje mi się, że dzisiaj

jest tu znacznie więcej łodzi niż było wczoraj. Hrabino, czy była już pani na pokładzie któregoś z rosyjskich jachtów? - Widząc przerażenie w jej oczach, był pewien, że strzał okazał się celny.

Hrabina milczała chwilę, chcąc zyskać na czasie, po czym z wahaniem powiedziała:

- Nie, nie... Nie byłam. - Ale on wiedział, że kłamała. Po lunchu z przyjaciółmi i przejażdżce do Mont Agel Craig o zmroku udał się do kaplicy St. Devote. Ostrożnie zajrzał do środka, chcąc się upewnić, czy nie przyszedł za wcześnie i czy czasem nie zostanie tam hrabiny. Rozejrzał się dookoła, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Szybko przemknął się do konfesjonału, mając nadzieję, że w ciemnościach rozświetlanych jedynie bladymi płomykami świec palących się przed figurami świętych nikt go nie zauważy.

Ojciec Augustyn czekał już na niego i kiedy tylko Craig uklęknął, cicho powiedział:

- Mam dla ciebie wiadomości, mój synu.

- Bardzo się cieszę, ojczu.

- Obawiam się jednak, że moje informacje sprawią ci zawód.

- Słucham, ojczu.

- Człowiek, którego szukasz, porzucił swoją kryjówkę, ponieważ czegoś się bał. Nie udało mi się jednak dowiedzieć, dokąd się przeniósł i co go właściwie tak wystraszyło. - Po chwili milczenia ojciec Augustyn dodał: - Mój informator uważa, iż ktoś musiał Sare'a przekonać, że nowa kryjówka będzie pewniejsza, albo też wciągnięto go w pułapkę. W każdym razie jedno jest pewne: Kiedy Sare zdecydował się wyjść, towarzyszyło mu dwóch ludzi, którzy zaprowadzili go na przystań. - Craig zamarł z przerażenia. Domyślał się, co teraz usłyszy. - Został zabrany na pokład rosyjskiego jachtu „Carewicz”, zacumowanego tuż obok jachtu „Carina”.

Craig westchnął.

- Dziękuję, ojciec. Nawet nie wiesz, jak bardzo ci jestem wdzięczny.

- Miałem już okazję się o tym przekonać wczoraj.

- Dzisiaj postaram się wyrazić moją wdzięczność jeszcze pełniej.

- Dziękuję. Jeśli będziesz mnie znowu potrzebował, przyjdź o tej samej porze co dziś.

- Wiem, ojciec, że zawsze mogę na ciebie liczyć. Ale w tej chwili najbardziej potrzebuję twojej modlitwy.

- Nie musisz mnie o nią prosić. Zawsze się za ciebie modlę.

Kapłan udzielił mu błogosławieństwa i kiedy Craig wracał do hotelu, cały czas czuł w sobie jego moc. Wiedział jednak, że aby uwolnić Randalla Sare'a z rąk Rosjan, będzie potrzebował nie tylko modlitw ojca Augustyna i pomocy Boga, ale również wszystkich tajemnych sił na świecie. Nie miał wątpliwości, że ci ludzie nie cofną się przed niczym, aby wyciągnąć od Sare'a potrzebne informacje, i że opowieści o stosowanych przez nich torturach wcale nie są ani wyimaginowane, ani przesadzone.

Kiedy z pomocą lokaja przebierał się do kolacji, nagle przyszło mu na myśl, że to jednak dziwne, iż ujawszy Sare'a, Rosjanie nie wypłynęli natychmiast z Monte Carlo. Jedynym sensownym wyjaśnieniem, mógł być fakt, że Rosjanie spodziewają się wyciągnąć od Neasdon'a jak najwięcej wiadomości o Tybecie i każdy z pozoru nieistotny szczegół w połączeniu z innymi, uzyskanymi na przykład od lorda, może się okazać na wagę złota.

- Mam tak niewiele czasu - powiedział do siebie Craig i nawet by nie zauważył, że mówi głośno, gdyby nie uwagę lokaja.



- Pan się nie spóźni, sir. Proszę mi pozwolić powiedzieć, że tylko kilka osób dba o punktualność w Monte Carlo.

W pewnym momencie Craig, zwrócił się do służącego:

- Dowiedz się, co grają dziś w teatrze!

Lokaj pospiesznie opuścił pokój, aby wypełnić jego polecenie.

Po chwili wrócił z informacją, że dziś wieczorem wystawiają „Fausta” z Bellinim w roli głównej. Był to bardzo znany śpiewak i Craig nie miał wątpliwości, że baron zjawi się na spektaklu. Posłał więc znowu służącego, aby mu na dzisiejszy wieczór zarezerwował łóżę, a przy okazji dyskretnie wypytał, kto wynajął pozostałe.

Mijały długie minuty, a służący nie wracał i Craig zaczynał się już niecierpliwić. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien zejść na kolację i przyłączyć się do swoich przyjaciół, kiedy lokaj wreszcie się zjawił.

- Niestety, musiałem czekać, sir. Ale za to wszystkiego się dowiedziałem - oznajmił, wręczając Craigowi kartkę papieru, na której widniały nazwiska znamienitych osób z księciem Monako Albertem na czele.

Ale Craig szukał tylko jednego nazwiska i kiedy je znalazł, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Dziękuję ci - powiedział do służącego i opuścił pokój.

Wnętrze teatru w Monte Carlo, pseudogotyckie, podobnie jak i wieńcząca go błękitna kopuła, uderzało niezwykłym bogactwem złotych fryzów, fresków, boginek i nagich złotych młodzieńców oraz złotych nubijskich niewolników, trzymających złote kandelabry.

Kiedy Marie Blanc, żona człowieka, któremu kasyno w Monte Carlo zawdzięcza swoją sławę, ujrzała to wnętrze po raz pierwszy, podobno z przekąsem powiedziała:

- Ta cała wyjątkowo wulgarna wystawa złota ma chyba jedno na celu: przypominać bywalcom kasyna, jakie fortuny tu potracili.

Niemniej teatr już w chwili jego uroczystego otwarcia odniósł ogromny sukces, kiedy to w 1879 roku wielka Sarah Bernhardt zaszczyliła go swoją obecnością.

Craig nie był więc wcale zaskoczony, że i tego wieczoru sala wypełniona była dosłownie po brzegi.

Opera wystawiona była znakomicie, ale Craig bez reszty pochłonięty obserwowaniem siedzącego w sąsiedniej łoży mężczyzny, zdawał się zupełnie nie interesować tym, co działo się na scenie. Od początku wiedział, że to baron Strogoloff, ponieważ człowiek ten siedział w wózku inwalidzkim ustawionym tak, aby w maksymalnie komfortowych warunkach móc oglądać spektakl.

Baron wyglądał jak jakiś straszny, wyrośnięty ponad miarę karzeł. I kiedy Craig wyobraził go sobie siedzącego obok hrabiny, pomyślał, że wyglądałoby jak w filmie „Piękna i bestia” i że gdyby baron miał zagrać rolę bestii, budziłby we wszystkich lęk bez rekwizytów i charakteryzacji. Jego dłonie przypominały szpony, wygięcie ust wskazywało na okrucieństwo, a przenikliwe oczy nieruchomo wpatrywały się w scenę.

Bellini śpiewał nadzwyczajnie, ale Craig przypuszczalnie nic nie słyszał. Dla niego liczył się tylko baron. On był tu aktorem najważniejszym.

Kiedy podczas antraktu przyjaciele Craiga wyszli, aby spotkać się ze znajomymi, Craig przeszedł parę kroków w stronę najbliższej łoży i otworzył drzwi. W tej samej chwili jakiś człowiek tkwiący tuż przy wejściu, najprawdopodobniej z obstawy barona, usiłował zagrozić intruzowi drogę, ale Craig błyskawicznie go wyminął i zwrócił się do barona ze słowami:

- Czy mogę się przedstawić? Nazywam się Craig Vandervelt, a mój jacht „Mermaid” zacumowany jest w pobliżu pańskiej łodzi „Carina”. Obydwaj, jak mi się zdaje, jesteście zapalonymi żeglarzami i bardzo mi zależy na rozmowie z panem.

Baron sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale po chwili odezwał się w zupełnie niezłej angielszczyźnie:

- Zwróciłem uwagę na pański jacht, panie Vandervelt. Słyszałem, że jest nowoczesny.

- Bardzo nowoczesny - odrzekł Craig. - A ponieważ wynalazłem zupełnie nowy typ silnika i specjalne nocne oświetlenie, nigdy jeszcze nie stosowane na morzu, może pan sobie wyobrazić, że wprost umieram z ciekawości, aby się przekonać, czy pański jacht może się poszczycić jakimiś technicznymi rozwiązaniami, których jeszcze nie znam. - Mówił z nieco przesadnym amerykańskim akcentem, który normalnie był zupełnie niedostrzegalny, nie zapominając jednocześnie o pewności siebie, a nawet odrobinie pyszałkowatości.

Po chwili milczenia baron zapytał:

- Jakie jeszcze inne pomysły zastosował pan na swoim jachcie?

Craig wymienił te, które jak sądził interesują każdego żeglarza, po czym z satysfakcją dodał:

- Mam nadzieję, że amerykańska flota zaadaptuje niektóre z nich.

- To bardzo interesujące, panie Vandervelt - zauważył baron.

- Chciałbym pana prosić, sir, i mam nadzieję, że nie zabrzmie to zbyt natarczywie - - uśmiechnął się przepaszająco - aby zachciał pan odwiedzić mnie na „Mermaid”, a następnie pokazać mi swój jacht „Carina”. Nigdy jeszcze nie byłem na pokładzie rosyjskiej łodzi.

- Z pewnością uzna ją pan za przestarzałą - odezwał się baron. - Rosjanie na ogół nie są podatni na nowinki techniczne.

- Nie sędzę, aby naprawdę tak pan uważał. W Ameryce mówi się, że Rosja, jeśli chodzi o statki i uzbrojenie, zdecydowanie przoduje i że najwyższy czas, aby Amerykanie pomyśleli o dorównaniu jej. Przede wszystkim potrzebujemy żaglowców.

- To prawda - zgodził się baron. - A więc dobrze, panie Vandervelt. Z przyjemnością powitam pana jutro na pokładzie mojego jachtu.

- Mam rozumieć, panie baronie - z ożywieniem powiedział Craig - że zje pan ze mną lunch na „Mermaid”, a później pokaże mi pan swój jacht.

- Z przyjemnością przyjmę pańskie zaproszenie, panie Vandervelt - rzekł baron. - Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zabiorę ze sobą dwóch moich przyjaciół?

- Nie. Oczywiście, że nie - uśmiechnął się Craig. - Będzie mi bardzo miło. - Nie miał żadnych wątpliwości, że ci ludzie to najwyższej klasy fachowcy, którzy skopiują wszystko, co tylko wyda im się interesujące.

Tymczasem w miejscu dla orkiestry pojawili się muzycy, a wraz z nimi witany burzą oklasków dyrygent.

- A więc jesteśmy umówieni, sir - powiedział Craig, wyciągając rękę na pożegnanie. - Będę na pana czekał o pierwszej. Ogromnie się cieszę, że mogłem pana poznać. - Wylewnie uścisnął dłoń barona i wrócił do swojej łóży.

Po raz kolejny przekonał się, że los jest wciąż dla niego łaskawy. A kiedy dotknął ręki barona, nareszcie zrozumiał, dlaczego hrabina tak bardzo się bała.

## Rozdział 5

Po skończonym spektaklu Craig wraz z przyjaciółmi udał się do kasyna, gdzie spodziewał się spotkać hrabinę. W „Salle Touzet” pełno już było stałych bywalców zajętych grą przy zielonych stolikach. Kiedy towarzystwo Craiga rozeszło się po sali w poszukiwaniu wolnych miejsc, Craig zbliżył się do wielkiego księcia, chcąc zamienić z nim parę słów. W pewnej chwili spostrzegł hrabinę.

Znowu wyglądała olśniewająco. Przepiękna, tym razem, bladoniebieska suknia, której dół obszyty był piórami, nadawała jej skórze i włosom niezwykły blask. Nie miała na sobie żadnych klejnotów poza zdobiącą szyję ogromną akwamaryną, zawieszoną na cienkim łańcuszku. Efekt był tak oszałamiający, że nawet w tłumie pięknych kobiet hrabina przyciągała wzrok niczym samotna gwiazda na ciemnym niebie.

Siedziała przy stoliku z Neasdonem i jak zwykle on zdawał się mówić bez końca, a ona tylko słuchała. Uznając zbyt ostentacyjne zbliżenie się do hrabiny za nierozważne, Craig podszedł do stołu z ruletką, znajdującego się najbliżej stolika Neasdona, chcąc sprawić wrażenie, że obserwuje graczy. Sam również od czasu do czasu stawiał na jakiś numer.

Wciąż zastanawiał się, dlaczego hrabina była tak bardzo wystraszona. Ale jeśli, jak podejrzewał, działała na polecenie barona, wszystko stawało się jasne. Sprawiała wrażenie istoty tak kruchej i eterycznej, iż zdawało się wprost nieprawdopodobne, aby mogła współpracować z bestią podobną do Strogoloffa. Jednak teraz był już całkowicie pewny, że działała na rzecz rosyjskiego wywiadu.

Jeśli to baron uwięził Randalla Sare'a, to nie ulegało wątpliwości, że to on był również sprawcą wszystkich jego kłopotów w Monte Carlo. Jak ogromny pająk snuł swą

misterną sieć wokół ofiary, którą miał porwać, i teraz niezwykle trudno było się jej uwolnić.

Craig był tak pochłonięty własnymi myślami, iż zupełnie nie zauważył, że kwota, którą postawił na ulubioną dziewiątkę, dwukrotnie wygrała i krupier patrzył na niego pytająco, czy zabierze wygraną, czy też postawi na ten sam numer po raz trzeci. Jakby oczekując, że bogini Fortuna da mu jakiś znak, czy wygra, czy przegra w znacznie poważniejszej niż ta gra, postanowił zaryzykować.

Krupier wziął do ręki maleńką piłeczkę i puścił ją w ruch, mówiąc beznamiętnym głosem:

- Mesdames et Messieurs. Rien ne va plus!

Kilka drżących rak wyciągnęło się w ostatnim geście rozpacz, wierząc że tym razem los i fortuna uśmiechną się do nich. Po chwili rozległ się głuchy dźwięk oznaczający, że kulka się zatrzymała.

Krupier wciąż tym samym, beznamiętnym głosem oznajmił:

- Neuf, noir et impair.

I Craig był już pewien, że w swej misji również odniesie zwycięstwo. Zgarnął wygraną, ścigany zawistnymi spojrzeniami innych graczy, i udał się do kasy, aby złote monety wymienić na banknoty, po czym wsunął je do wewnętrznej kieszeni fraka. Następnie powoli, jakby pod działaniem jakiejś siły magnetycznej, ruszył w stronę hrabiny, zastanawiając się, czy nie powinien z nią porozmawiać, a jeśli tak, to co ma jej powiedzieć. Zatrzymał się z drugiej strony stołu, przy którym grał w ruletkę. Zauważył, że lord Neasdon pochylony do przodu, natarczywie i z niezwykłym ożywieniem o czymś hrabinę przekonuje.

Jedną z umiejętności, którą Craig swego czasu opanował do perfekcji, było czytanie z ruchu warg. W Nowym Jorku pobierał lekcje u najlepszego w tej dziedzinie specjalisty w

przekonaniu, że kiedyś może mu się to przydać, chociaż wówczas nic jeszcze na to nie wskazywało.

Teraz bezwiednie odczytywał wypowiedane przez Neasdoną słowa. Po chwili przesunął się tak, aby dokładniej widzieć jego twarz.

- Skończ lepiej z tą dziwną grą Aloya! Moja cierpliwość dawno się już wyczerpała. Nie pozwolę się dłużej zwodzić obietnicom o jutrze, które nigdy nie nastąpi.

Chociaż Craig nie słyszał głosu hrabiny, jednak to, co odczytał z ruchu jej warg, z pewnością nie było dla Neasdoną zbyt miłe.

- Ja... ja nie wiem, co powiedzieć... Proszę... czy nie możesz... przyjść do mojego... pokoju, aby po prostu... porozmawiać?

- Porozmawiać? Chyba żartujesz! - Neasdon zdawał się już nie panować nad sobą. - Pragnę ciebie, Aloya, doprowadzasz mnie do szaleństwa. Powiedziałaś przecież, że jesteśmy dla siebie stworzeni! Musisz być moja.

- Ja... wierzyłam... - usta hrabiny drżały - że będziesz... dla mnie dobry.

- Co znaczy dobry? - zdenerwował się Neasdon. - Naturalnie, że chcę być dla ciebie dobry. Ale jestem mężczyzną i pragnę ciebie. Długo to wszystko znosiłem. Albo tej nocy będziesz moja, albo dojdę do wniosku, że robisz ze mnie durnia i jeszcze jutro opuszczę Monte Carlo.

Hrabina wydała lekki okrzyk i Craig nie miał wątpliwości, że była wystraszona.

- Och, nie... ty nie możesz... tego zrobić! Chcę, abyś został... musisz zostać!

Uśmiech, jaki pojawił się na twarzy lorda Neasdoną, mówił sam za siebie.

- A więc o co ta cała sprzeczka, moja droga? Chcę cię uczynić bardzo szczęśliwą. Jutro wybierzemy się do

„Cartiera" i kupię ci jakiś śliczny drobiazg dla uczczenia czegoś, co jak sądzę, będzie długą i fascynującą znajomością.

Sposób, w jaki mówił, wyraz jego oczu i imitujący uśmiech grymas ust - wszystko to spowodowało, że Craig nagle poczuł, iż ogarnia go wściekłość i krew uderza do głowy. Tylko surowa samokontrola, której nauczył się podczas długich lat ćwiczeń, uratowała lorda Neasdoną przed ciężkim nokautem.

Zaskoczony gwałtownością swych uczuć, Craig ze zdziwieniem stwierdził, iż jest zakochany i to tak, jak jeszcze nigdy w życiu! Był tym tak zafascynowany, iż przez chwilę nie mógł uwierzyć, że to naprawdę mu się przydarzyło. Wiedział, że chce bronić hrabiny nie tylko przed lordem Neasdonem, ale również przed wszystkim, czego się obawiała i przed czym zdawała się nie widzieć ratunku. Nigdy jeszcze pomimo rozlicznych przygód z kobietami: tymi, co prześladowały go swoją miłością, jak i tymi, w których sam zakochiwał się bez pamięci - nie czuł się tak jak teraz; A co w tym wszystkim było najdziwniejsze, kochał się w kobiecie, którą powinien traktować z pogardą jako rosyjskiego szpiega i śmiertelne zagrożenie dla wszystkiego, o co kiedyś walczył i w imię czego narażał życie.

- Kocham ją! - powiedział do siebie w zdumieniu i nie miał wątpliwości, że tak było naprawdę.

Niestety, na razie nic nie mógł zrobić. Musiał czekać, aż sytuacja się nieco wyklaruje. Wiedział jednak, że zanim zdoła uwolnić hrabinę od takiego bydlaka jak baron, musi najpierw pokrzyżować plany lordowi Neasdonowi.

Jakby nim kierowała jakaś tajemna siła, zdecydował się wykonać pierwszy krok na drodze ku realizacji pewnego planu. Ruszył w kierunku stolika, gdzie siedział Neasdon. Kiedy znalazł się tuż przy nim, odezwał się lekkim tonem:



- Tak myślałem, że znajdę państwa tutaj. Szkoda, że nie widzieliście, jak mój numer wygrał trzy razy z rzędu.

Craig zauważył spojrzenie, jakim obrzuciła go hrabina. W jej niezwykłych oczach dostrzegł wyraźną ulgę. Lord Neasdon natomiast nie mógł się zdobyć na to, aby ukryć niezadowolenie z widoku intruza.

- Myślę - ciągnął Craig - że wypada, abym uczcił tę moją wygraną. Czy napijecie się państwo ze mną szampana?

- Już piliśmy - cierpkim tonem oświadczył Neasdon.

- Ach tak! - zawołał Craig, dostrzegłszy stojące przy krześle wiaderko z lodem. - A więc nie pozostaje mi nic innego, jak odszukać uroczą gospodynię wczorajszego wieczoru, którą widzę właśnie w drugim końcu sali, i podziękować za wspaniałe przyjęcie.

- Dobry pomysł - zauważył Neasdon.

Craig zrobił ruch, jakby chciał odejść, ale natychmiast ponownie się odwrócił.

- A propos, hrabino - powiedział. - Mam nadzieję, że nikt pani nie zakłóci spokoju tej nocy.

- Co pan ma na myśli? - zapytała, nie kryjąc zdumienia. Od chwili, kiedy Craig dosiadł się do ich stolika, hrabina odezwała się po raz pierwszy.

- Słyszałem, że radża Pudakota wydaje dziś party w swoim apartamencie w „Hotel de Paris”. Nie wiem wprawdzie, na którym piętrze znajduje się pani apartament, ale na przyjęciach u radży zawsze jest tak głośno.

- Mieszkam... na... trzecim.

- Coś mi się zdaje, chociaż mogę się oczywiście mylić - ciągnął Craig - że na tym samym mieszka radża. - Chwilę milczał, po czym z udaną złością, dodał: - Nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie wydają przyjęcia w hotelu, w którym się zatrzymują. Zupełnie się nie liczą z innymi gośćmi. Jeżeli w jakikolwiek sposób ktoś zakłóci mi spokój, jutro rano

wystąpię do dyrektora hotelu z ostrym protestem. I mam nadzieję, hrabino, że pani zrobi to samo.

- T... tak... oczywiście... Jeśli... będzie zbyt głośno.

- Nie przypuszczam, aby Jego Wysokość zdecydował się na orkiestrę - kontynuował Craig. - Ale goście z pewnością będą wchodzić i wychodzić do rana i głośno rozmawiać na korytarzach, jakby poza nimi nie było nikogo.

- To brzmi... bardzo... niepokojąco - nieśmiało zauważyła hrabina.

- Z pewnością nic nas dobrego nie czeka - ponuro oświadczył Craig. - Ale obawiam się, że na razie nic nie możemy zrobić.

- Tak... rzeczywiście nie możemy.

Craig zwrócił się do posepnego jak chmura gradowa lorda i dodał:

- Ma pan szczęście, Neasdon, że zatrzymał się pan w „Hermitage”. Kiedy następnym razem przyjadę do Monte Carlo, z pewnością skorzystam z tego hotelu. Największym mankamentem „Hotel de Paris” jest zbyt wielka jego popularność. - Nie czekał już na to, co powie Neasdon, lecz z uśmiechem zwrócił się do hrabiny: - Dobranoc, ale obawiam się, że byłbym zbyt dużym optymistą, uważając, że mamy na tę dobrą noc jakąkolwiek szansę. Prawdę mówiąc, nie mamy żadnej. - Roześmiał się, jakby usłyszał wyjątkowo dobry dowcip, i zostawiwszy Neasdona i hrabinę samych, ruszył w tę stronę sali, gdzie stał wielki książę Borys. Wielki książę palił cygaro i dyskutował o czymś z Zsi - Zsi.

Teraz Craig mógł się już tylko modlić, aby po tym, co powiedział, Neasdon nie odważył się przyjść do pokoju hrabiny. Przynajmniej tej nocy hrabina będzie mogła spać spokojnie. Chwilę rozmawiał z wielkim księciem i Zsi - Zsi, celowo stojąc przez cały czas tyłem do znajdujących się po przeciwnej stronie sali Neasdona i hrabiny. Po czym sądząc,

że nocne powietrze ochłodzi nie tylko jego ciało, ale i duszę, wyszedł na taras i zbliżywszy się do kamiennej balustrady, spojrzął w dół w stronę przystani. Bez trudu rozróżnił światła dwóch rosyjskich jachtów i niedaleko od nich swoją ukochaną "Mermaid".

Światło księżycy zalało srebrzystą poświatą widniejący w dole cypel wraz ze wznoszącym się na nim pałacem, odbijając się w morzu hen, aż do linii horyzontu. Powietrze przesycone było zapachem mimozy i lewkonii, a gwiazdy na niebie przypominały Craigowi lśniące oczy hrabiny. Wiedział, że z jej urodą było podobnie jak z uczuciami, które zrodziły się w jego sercu: wciąż je analizował, tak wydawały mu się nieprawdopodobne. Nie miał jednak wątpliwości, że to, co czuł, było miłością. Wprawdzie w niczym nie przypominało to czegokolwiek, co odczuwał wcześniej, ale jego instynkt był jak dotąd niezawodny i nie mógł go lekceważyć.

Ona jest taka piękna i tak niezwykle pociągająca, dlatego tracę dla niej głowę - usiłował sobie wmówić, ale wiedział, że to nieprawda. Uczucia, jakie nim owładnęły, były tak intymne i naturalne jak siły, które mógł przywołać w nagłej potrzebie i które nim kierowały odtąd, kiedy to dawno temu w Indiach przekonał się o ich istnieniu. Wiedział, że były to te same siły, w które wierzył Randall Sare, i niemal bezwiednie wysłał swoje myśli do człowieka, który został uwięziony na jednym z jachtów w przystani.

Tak jak mówił hrabinie, przekazywanie myśli na odległość było czymś, w co wierzył każdy Hindus i czego uczył się od duchowych nauczycieli, zwanych guru. Teraz uświadomił sobie, że wie, gdzie jest Sare, że może do niego dotrzeć, podtrzymać go na duchu i przy boskiej pomocy uratować.

- Pomóż mi - błagał. - Jesteś w tej grze dłużej niż ja, musisz mi więc powiedzieć, co robić. - Wiedział, że źródłem wymawianych w myślach i wysyłanych w mrok słów są

tkwiące w nim ogromne zasoby życiowych sił i że z pewnością otrzyma odpowiedź.

I nagle, jakby usłyszał głos z nieba, poznał odpowiedź. Dotarła do jego umysłu, jakby ktoś powiedział mu, co ma robić, a jemu pozostawało jedynie postąpić zgodnie z otrzymaną wskazówką.

Przez chwilę miał wrażenie, że powietrze dookoła niego drga, poruszane przez niewidzialne skrzydła. Nie mógł ich zobaczyć ani usłyszeć, ale był pewien, że są. Kiedy usiłował chwycić to, co czuł, to coś zniknęło. Plan ratunku jednak pozostał, a to było najważniejsze. Zdarzyło mu się już przeżyć coś podobnego, kiedy znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Ale nie były to doznania tak żywe i tak pełne jak teraz, gdy dotarł do Randalla Sare'a i otrzymał od niego odpowiedź.

Craig długo stał na tarasie i rozmyślał, aż wypędził go chłód nocy. Kiedy ponownie znalazł się w sali gier, przy stoliku, gdzie tak niedawno siedzieli Neasdon i hrabina, nie było już nikogo. Na samą myśl o tym, iż Neasdon w stosunku do hrabiny mógłby użyć siły, Craig poczuł, jak zaciskają mu się pięści. Doszedł do wniosku, że dłużej już tu nie wytrzyma.

Powoli ruszył w stronę wyjścia, zatrzymując się po drodze przy kolejnych stolikach i rozmawiając ze znajomymi. W końcu dyskretnie się ulotnił, mając nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Minął mieniący się bajecznymi światłami plac, po czym szybko pokonawszy schody, przeszedł przez imponująco oświetlone drzwi i znalazł się wewnątrz „Hotel de Paris”.

Kiedy był już na swoim piętrze, z ulgą stwierdził, że dookoła panuje spokój i że w zasięgu jego wzroku nie widać zupełnie nikogo. Miał nadzieję, że hrabina nie zgodziła się, aby lord Neasdon towarzyszył jej do drzwi apartamentu i mógł przekonać się, iż nikt nie organizuje żadnego przyjęcia.

Craig wszedł do swojego pokoju i z pomocą służącego przebrał się w długi, ciemny szlafrok, po czym usiadł w wygodnym fotelu z najnowszym numerem „The Menton and Monte Carlo News”. Gazetę tę pierwszy raz wydano w roku 1897. Początkowo ukazywała się w skromnej objętości czterech stron, aby wkrótce rozrosnąć się do dwudziestu ośmiu, a nawet więcej, stając się z czasem głównym źródłem informacji o życiu towarzyskim, sportowym i kulturalnym księstwa. Dziennik zamieszczał również nazwiska znamienitych gości, ostatnio przybyłych do Monte Carlo, podając jednocześnie nazwę hotelu, w którym ci zdecydowali się zatrzymać.

Kiedy Craig przeglądał gazetę, służący odezwał się:

- Widzę, sir, że coraz więcej gości tu przybywa. Craig nie ukrywał irytacji.

- Tu już w ogóle jest za dużo ludzi - powiedział. - Myślę, że znacznie wygodniej i spokojniej byłoby nam na pokładzie „Mermaid”.

Lokaj nie wyglądał na zachwyconego i Craig nie miał wątpliwości, iż służba wołała, kiedy jej pan przebywał na lądzie, uważając, że morze utrudnia jej pracę.

Kiedy służący zaczął sprzątać pokój, Craig powiedział:

- Wcześniej rano spakujesz moje rzeczy na wypadek, gdybym miał wypłynąć na dzień czy dwa. Jeśli zmienię zdanie, to zawsze będziesz je mógł ponownie rozpakować.

- Tak jest, sir - odpowiedział służący, ale w jego głosie nie było słyhać entuzjazmu.

Craig zaczekał, aż zostanie sam, odłożył na bok gazetę, wstał, zamknął drzwi sypialni wychodzące na korytarz i otworzył te, które prowadziły do salonu. Następnie minął go i wszedł do pustego pokoju. Zapalił pojedyncze światło i zbliżył się do drzwi, które wiodły do apartamentu hrabiny. Kiedy wyciągnął rękę, aby je uchylić, bezwiednie wstrzymał oddech,

jakby przewidując, że może usłyszeć głos lorda Neasdon, po czym sam siebie za to zgał. Nie tylko, że nigdy nie był zazdrosny o kobiety, ale jeszcze potrafił wyśmiewać się z mężczyzn, którym zdarzało się z tego powodu cierpieć. Teraz wiedział, że gdyby w pokoju hrabiny usłyszał głos Neasdon, mógłby bez względu na konsekwencje wyrzucić go za drzwi. Ale za ścianą panowała cisza.

Nagle serce zabiło mu mocniej. W szparze pod drzwiami zauważył coś białego. Schylił się i podniósł skrawek papieru, na którym widniały skreślone, najwidoczniej w pośpiechu, następujące słowa:

„Bardzo proszę. Muszę z panem porozmawiać”.

Czytając je Craig poczuł ogromną ulgę, ale zaraz potem kiedy uświadomił sobie, że hrabina Aloya go potrzebuje, owładnęło nim szczęście nie do opisania. Przy pomocy narzędzia, które miał w kieszeni, błyskawicznie otworzył drugie drzwi, a kiedy usłyszał charakterystyczny szcęk ustępującego zamka, ostrożnie zapukał. Hrabina najwidoczniej czekała na niego, ponieważ drzwi natychmiast się otworzyły.

W pokoju paliło się jedynie małe światełko i sylwetka hrabiny rysująca się na jego tle zdała się należeć do jakiejś nieziemskiej istoty. Taki zresztą obraz hrabiny podsuwała Craigowi wyobraźnia, ilekroć o niej myślał, i taki przechowywał w najgłębszych zakamarkach duszy.

Hrabina miała na sobie biały neglig, miękko spływający wzdłuż jej smukłej sylwetki, a włosy srebrzyste jak światło księżycy kaskadą opadały na jej ramiona i plecy, sięgając prawie do pasa.

Przez chwilę po prostu stali, patrząc na siebie jak dwie zabłąkane dusze, podążające ku sobie przez wieczność.

Nagle - Craig nigdy nie mógł sobie przypomnieć Jak to się właściwie stało - kto zrobił krok do przodu - jego ramiona objęły ją, a jej twarz skryła się na jego piersi. Czuł, że Aloya

drży, a kiedy trzymał ją w ramionach, był pewien, że to najcudowniejsza chwila, jaka kiedykolwiek mu się przydarzyła. Nie potrzebowali słów, aby wiedzieć, że pragną być razem.

W pewnej chwili hrabina wyszeptała:

- Pomóż mi... proszę... Pomóż mi... Nie wiem... co robić...  
a tak strasznie się boję!

Czuł, jak wciąż drży z przerażenia. Przytulił ją mocniej do siebie, instynktownie wiedząc, że tylko to może ją w tej chwili uspokoić, i łagodnie powiedział:

- Jestem przy tobie i nie musisz się już niczego obawiać. -  
Craig usłyszał, jak głęboko odetchnęła, i po chwili dodał: -  
Myślę, że zaraz poczujesz się lepiej, jeśli będziesz miała pewność, iż nikt nas nie usłyszy. Chodźmy do mojego salonu.

Podniosła głowę i spojrzała w stronę otwartych drzwi. Wtedy Craig pomyślał, że jeszcze nigdy w oczach kobiety nie widział takiego przerażenia i że nawet gdyby to miało go kosztować życie, musi jej pomóc.

Hrabina milczała. Craig delikatnie pociągnął ją za sobą, po czym zamknął drzwi łączące obydwie apartamenty. Minęli pusty pokój i weszli do jego salonu, gdzie przytłumione światła, kwiaty i porozrzucone osobiste rzeczy gospodarza stwarzały miłą, pełną ciepła atmosferę, dającą poczucie bezpieczeństwa.

Craig, cały czas trzymając hrabinę za rękę, poprowadził ją w stronę wygodnej sofy. Zanim zajął obok niej miejsce, raz jeszcze obrzucił ją pełnym zachwytem spojrzeniem, myśląc o tym, jak bardzo była piękna i jak młodzieńczo wyglądała w tych włosach, które okrywały ją niczym płaszcz.

Aloya spojrzała na niego i w jej wzroku odczytał nieme pytanie, jakby nie była pewna, czy dobrze zrobiła przychodząc tu.

- Prosiłem, abyś mi zaufała - odezwał się łagodnie. - I oto teraz masz okazję, aby to uczynić. - Nie czekając, aż zapyta, co ma na myśli, dodał: - Kocham cię! Zdałem sobie już z tego sprawę po tym, co się stało w kasynie. A ponieważ tak bardzo cię kocham, przysięgam, nigdy więcej nie będziesz się już bała tak jak dziś.

Z jej ust wydobył się jakiś nieartykułowany dźwięk, a do oczu napłynęły łzy. Craig pochylił ku niej głowę i jego usta delikatnie poszukały jej ust. Nie mógł się oprzeć nagłej chęci pocałowania jej. Ale ponieważ naprawdę ją kochał, jego pragnienia były raczej natury duchowej niż zmysłowej. Piękna hrabina była częścią tych wibracji, które czuł na zewnątrz kasyna. Była częścią siły, którą wzbudził w sobie dla ratowania zarówno jej, jak i Randalla Sare'a.

Poczuł, że jej usta drżą i ze zdumieniem odkrył, że są niewinne, niedoświadczone i bardzo delikatne. Przytulił ją mocniej do siebie i jego pocałunek stał się śmielszy i bardziej pożądlivy. Jeszcze nigdy nikogo tak nie całował, nigdy też nie był tak całowany. Nie mógł sobie tego wytłumaczyć. Wiedział tylko, że zabrała mu serce, że teraz i na zawsze stała się częścią jego "ja".

I wtedy, gdy poczuł, że unoszą się do gwiazd, otoczeni blaskiem, który nie był z tego świata, hrabina uniosła głowę i cichutko wyszeptała:

- Ja kocham... ciebie! Ja... nie wiedziałam... pokochałam ciebie... a teraz myślałam..., o naszym... pierwszym spotkaniu...

- Myślałaś o mnie? Co myślałaś? - zapytał Craig łamiącym się ze wzruszenia głosem.

- Wiedziałam, że jesteś... jedyną osobą, której mogę zaufać. .. podczas gdy wszystko dookoła jest takie... straszne i... złe.

- A teraz już wiesz, że to jest właśnie miłość.



- Kocham ciebie... kocham... ciebie... Nie powinnam mieszać ciebie... w tę... całą historię, która... jest bardzo niebezpieczna... Ale nie mam... nikogo, kto mógłby mi pomóc.

- Musisz mi, kochana, o tym opowiedzieć - wtrącił Craig.  
- Z pewnością znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Całował ją tak długo, aż zapomniała o swoim strachu i dała się ovladnąć zupełnie innym uczuciom. Drżała w jego objęciach, a on widział, że to pod wpływem emocji, jakich nigdy dotąd nie doznała.

W pewnej chwili patrząc na nią Craig powiedział z wahaniem:

- Jest coś, o co muszę cię teraz zapytać: Czy to prawda, że jesteś mężatką?

- Nie... nie... to było również... częścią tej... gry. Craig, czując się tak, jakby nagle cały pokój zalało jakieś niezwykle światło, zapytał ponownie:

- I nikt jeszcze nigdy cię nie całował? - Tylko... ty.

- Moja kochana, wiedziałem o tym, kiedy tylko dotknąłem twych ust. Teraz wszystko rozumiem. Będąc aż tak niewinną jak mogłaś pozwolić, aby Neasdon zbliżył się do ciebie.

Z ust hrabiny wydobył się cichy okrzyk:

- Uratowałaś mnie... dzisiejszej nocy. On za bardzo się bał, aby... wejść na górę, po tym jak powiedziałaś, że będzie... party na moim piętrze, ale... oni... będą bardzo niezadowoleni... ponieważ powiedzieli... - Zamilkła i jakby nagle się czegoś przestraszyła, ukryła twarz na jego piersi.

- Co powiedzieli? - zapytał. - Nareszcie wiem, kim są ci „oni”. To Rosjanie!

Dreszcz, który wstrząsnął jej ciałem, był potwierdzeniem jego podejrzeń. Po chwili Aloya odezwała się:

- Jeśli się nie zgodzę... aby lord Neasdon został... moim... kochankiem... oni wywiozą papę do Rosji... i już nigdy... go nie zobaczę. Craig był oszołomiony.

- Twój ojciec? - zawołał. - To chyba niemożliwe, abyś była córką Randalla Sare'a! - Ale już po chwili pomyślał, iż musiał być wyjątkowo tępy, aby nie wpaść na to wcześniej.

Aloya była również zdumiona.

- Ty... znasz papę?

- Oczywiście, że go znam, aczkolwiek dopiero przed chwilą zorientowałem się, iż to właśnie jego Rosjanie trzymają na pokładzie jachtu należącego do barona i że taka była prawdziwa przyczyna jego nagłego zniknięcia.

Aloya spojrzała na niego ze zdumieniem.

- S... skąd to możesz... wiedzieć? - zapytała. - Jak możesz... być tego pewny... skoro nikt w Monte Carlo... nie ma o tym pojęcia?

Craig przytulił ją mocniej do siebie.

- Za dużo by o tym mówić. Chciałbym najpierw usłyszeć od ciebie, co tak naprawdę się wydarzyło. Później wyjaśnię ci, dlaczego tu jestem.

- Czy to ma jakiś... związek z papą?

- Tak.

Z jej ust ponownie wyrwał się cichy okrzyk.

- Teraz wiem, dlaczego byłam pewna, iż... zechcesz mi pomóc. Czulałam, że jest w tobie coś, co sprawia, iż tak bardzo różnisz się od wszystkich... innych. - Jej oczy lśniły jak gwiazdy, gdy mówiła: - Papa zawsze mi powtarzał, abym ufała swojej intuicji, i miał rację.

- Oczywiście, że miał rację - zauważył Craig. - I właśnie dlatego czułem, że wcale nie jesteś taka, jaką wydajesz się być. - Cichutko westchnęła, a on dodał: - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że nie jesteś hrabiną Aloyą Zładamir.

- To oni wybrali mi to imię - powiedziała Aloya. - Twierdzili, że robi ono wrażenie. Poza tym uważali, że lord Neasdon chętniej będzie spędzać czas z mężatką niż z młodą dziewczyną, ponieważ dziewczyna zawsze powinna przebywać w towarzystwie opiekunki.

- Rozumiem to doskonale, chociaż przypuszczam, że to baron jest autorem tej całej intrygi.

- T... tak... To... baron! To... straszne... monstrum! Jeśli szatan to mężczyzna... to z pewnością jest nim... baron! - z pasją zawołała Aloya.

- Czy byłeś przy ojcu, kiedy został porwany? Uświadamiając sobie, że musi mu o tym opowiedzieć,

Aloya z rezygnacją oparła głowę o jego ramię. A kiedy jak dziecko mocno się do niego przytuliła, wziął ją w ramiona i delikatnie pocałował w czoło.

- Zaczynaj od początku - rzekł. - Nie miałem pojęcia, nikt zresztą w Anglii nie miał, że Randall Sare jest żonaty.

- Papa trzymał to w tajemnicy, ponieważ obawiał się, iż ci, którzy mu zaufali, mogą zmienić zdanie, jeśli się dowiedzą że ma żonę Rosjanę,

Craig poprosił o wyjaśnienie, co ma na myśli.

- Moja mama faktycznie jest Gruzinką, a mój dziadek, książę Volvershi, był ważną osobistością w Gruzji, zanim przyłączono ją do Rosji. - Craig wiedział aż nadto dobrze, jak to się stało, ale nie przerywał, z uwagą słuchając jej opowieści. - Mama zakochała się w papie, kiedy ten przybył do Gruzji z zamiarem przedostania się do Afganistanu, aby wy badać antybrytyjskie nastroje wśród miejscowych plemion.

- Najwyraźniej uśmiechała się do wspomnień. - Papa pokochał mamę od pierwszej chwili, gdy tylko ją ujrzał. Od początku zresztą obydwójce byli przekonani, że są dla siebie stworzeni i nic ani nikt nie jest w stanie tego zmienić.

- Dokładnie to samo czuję do ciebie.

- Ja również - przyznała Aloya. - Zawsze się modliłam, aby kiedyś spotkać mężczyznę, do którego będę mogła należeć ciałem i duszą. Moja mama, kiedy tylko ujrzała papę, od razu poznała, że to on pojawiał się w jej snach. - Craig znów delikatnie pocałował ją w czoło, ze wzruszeniem słuchając opowieści. - Pomimo sprzeciwu mojego dziadka, pobrali się cicho i w absolutnej tajemnicy, ponieważ jak wyjaśnił papa, zarówno brytyjskie MSZ, jak i ci, co mu zaufali w Indiach, nie zrozumieliby, że narodowość żony nie przeszkodzi mu w pracy dla nich. - Wykonała jakiś nieokreślony ruch ręką i mówiła dalej: - Nikt, kto pochodził z Gruzji, nie myślał o sobie, że jest Rosjaninem. Chociaż nigdy głośno się o tym nie mówiło.

- Wiem o tym.

- Mama nigdy nie wtrącała się w sprawy papę. Chciała, aby był szczęśliwy, aby dalej mógł być pożyteczny dla tych, którzy mu zaufali. - Po chwili milczenia mówiła dalej: - Po moim przyjściu na świat w naszym domu w Gruzji, spotykałyśmy się z ojcem, ilekroć tylko to było możliwe, czasami w jakichś odludnych miejscach, na równinach indyjskich, do których jechało się całymi dniami czy tygodniami, nie widząc po drodze żywej duszy.

Teraz Craig zrozumiał, dlaczego Randall Sare tak często znikał i dlaczego nikt nie miał pojęcia, co się z nim wtedy działo.

- Bywało, że papa otrzymywał nowe zadanie - ciągnęła Aloya - lub jakąś ważną wiadomość od swoich zwierzchników, i wtedy albo wracałyśmy do domu, albo przenosiłyśmy się do któregoś z wielkich miast jak Bombaj lub Kalkuta, gdzie nikt nie zwracał na nas uwagi, nie zdając sobie nawet sprawy z naszego istnienia.

- To wszystko wydaje się takie niesamowite - zauważył Craig.

- Na szczęście byliśmy ludźmi zamożnymi i papa postanowił, że muszę otrzymać jak najlepsze wykształcenie i mieć do dyspozycji jak najlepszych nauczycieli. Kiedy był w domu, często rozmawiał ze mną o tym, w co sam głęboko wierzył i czym kierował się w życiu. To dzięki tej właśnie szczególnej wiedzy mój lęk o niego zawsze łagodziła wiara, że nic mu nie może się stać,.. Ale tym razem...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Craig.

- Myślę, że potrafisz zrozumieć nawet to, co dla większości ludzi zdaje się być niepojęte - - odpowiedziała Aloya. - Kiedy tu w Monte Carlo zostaliśmy porwani przez Rosjan...

- Poczekaj chwilę! - przerwał Craig. - Nie wspomniałaś, dlaczego twój ojciec zdecydował się na przyjazd do Anglii. Wyraźnie mi mówił, że nigdy już tam nie wróci.

- Ach tak... rzeczywiście... Zapomniałam - przyznała Aloya. - Mama... umarła! Od pewnego czasu nie czuła się zbyt dobrze. Na szczęście udało mi się zawiadomić ojca na tyle szybko, że zdążył... się jeszcze z nią pożegnać. - Przez chwilę jej głos wyraźnie drżał, po czym powiedziała coś, co było bardzo wymowne: - Mama była absolutnie pewna, że papa do niej przyjdzie i cały czas kurczowo trzymała się życia, czekając na niego. Umarła w tej samej chwili... kiedy go ujrzała. - Odwróciła twarz, ale Craig wiedział, że płacze. - Zdążyła tylko... powiedzieć papie... że bardzo go zawsze kochała... i że bardzo była z nim... szczęśliwa... I jej duch odszedł od nas... pozostawiając ciało, w którym nie było już życia.

Craig przytulił ją mocno do siebie.

- Doskonale rozumiem, co czujesz - powiedział. - Lecz jestem głęboko przekonany, że twoja matka wciąż jest przy tobie i że stara się podpowiedzieć ci, abyś mi zaufała.

- Oczywiście, że jest... Przy papie również... I... ja nie mogę... go stracić.

- To byłby ogromny cios dla nas wszystkich - zauważył Craig. - Ale powiedz mi, dlaczego, na Boga, twój ojciec zdecydował się wrócić do Anglii?

- Ponieważ... nie mógł... zostawić mnie samej w Indiach i chociaż błagałam go, aby tego nie robił, postanowił zawieźć mnie do swojej siostry, z którą przez całe życie utrzymywał dosyć bliskie kontakty. Uważał, że ona się mną zaopiekuje i wprowadzi na angielskie salony. - Aloya milczała chwilę, po czym opowiadała dalej: - Nie przypuszczałam, że mogą być z tym jakieś kłopoty. Ale wszystko się zmieniło, kiedy papa się zorientował, iż Rosjanie wiedząc, że wrócił z Tybetu, chcą go porwać... albo zabić.

- Nie byliście z nim w Tybecie? - zdziwił się Craig.

- Dotarliśmy jedynie do Gangtse. Tam też zamieszkałyśmy, podczas gdy papa podejmował swoje samotne wyprawy do klasztorów i Lhasy w poszukiwaniu tego, co interesowało Brytyjczyków. - Przerwała na moment, jakby zmęczyły ją te wynurzenia. - Kiedy mama umarła w Gangtse, papie nie pozostawało nic innego, jak wrócić do domu.

- Co bez wątpienia było ci na rękę.

- Nie sędzę. Po prostu zawsze robię to, czego chce papa.

- Jednego nie mogę zrozumieć, dlaczego opuściliście statek w Nicei i zjawiliście się w Monte Carlo? - zapytał Craig.

- Weszliśmy na pokład w przebraniu - wyjaśniała Aloya. - Papa występował jako Turek i nikomu nawet nie przyszło do głowy, że nie jest tym, za kogo się podaje.

- A ty?

- Ja byłam jego żoną! Przebrana w jaszmak i burnus, nie musiałam się obawiać, że zostanę rozpoznana. Każdy bez

względu na to, czy jest gruby, czy chudy, ładny czy brzydki, w tym stroju wygląda tak samo.

- To prawda, ale pod jednym warunkiem, że się jest tak pięknym jak ty, moja droga.

Aloya westchnęła.

- Chciałabym, abyś tak... myślał.

- Powiem ci szczerze, co myślę, ale dopiero wtedy, gdy skończysz opowieść. A więc, dlaczego opuściliście statek u południowych wybrzeży Francji?

- Byliśmy przekonani, że nikt nie będzie w stanie nas rozpoznać. Ale kiedy statek zatrzymał się w Neapolu, aby zabrać nowych pasażerów, papa zauważył wśród nich dwóch mężczyzn, którzy mogli być dla nas niebezpieczni. - W jej głosie znowu pojawił się lęk. - Zanim dopłynęliśmy do Nicei, papa był pewien, że ci mężczyźni chcą go zlikwidować. Więc kiedy tylko statek przybił do brzegu, wymknęliśmy się na ląd, zostawiając na pokładzie prawie wszystko, co posiadaliśmy, aby nie wzbudzić podejrzeń naszych prześladowców. Wiedzieliśmy, że dokąd statek nie opuści portu, nikt niczego nie zauważy.

Craig pomyślał, że wszystko to brzmiało dosyć sensownie. Postanowił jednak wysłuchać wszystkiego do końca.

- Papa zupełnie nie miał pojęcia, gdzie w Nicei możemy się ukryć. Znał natomiast pewien adres w Monte Carlo, gdzie jak przypuszczał, będziemy bezpieczni. - Westchnęła cichutko. - Nie było to miejsce zbyt sympatyczne - dodała - a prawdę mówiąc zupełnie podłe. Sama robiłam zakupy i chociaż nie widziałam nikogo podejrzanego, papa nie wychodził z domu, instynktownie wyczuwając zagrożenie.

Craig pomyślał, że to musiała być ta właśnie kryjówka, o której mówił ojciec Augustyn.

- Dlaczego opuściliście to miejsce?

- To właśnie był straszny błąd - przyznała Aloya. - Pewnego dnia w naszej kryjówce pojawił się jakiś mężczyzna, w którym papa rozpoznał konfidenta, gotowego sprzedać każdą informację temu, kto jedynie dobrze zapłaci. Papa uznał, iż sytuacja stała się na tyle niebezpieczna, że musimy się natychmiast wyprowadzić.

- A więc zdecydowaliście się przenieść? - zauważył Craig. - I wtedy zdarzyło się nieszczęście.

- Skąd wiesz? - zdumiała się Aloya. - Wszystko potoczyło się tak nieoczekiwanie. Wyszliśmy z ukrycia, w którym jak się okazało później, byliśmy naprawdę bezpieczni, i papa polecił mi, abym przeszła na drugą stronę ulicy.

Craig pomyślał, że musiało to być w chwili, kiedy dostrzegł go jeden z brytyjskich agentów.

- Papa skręcił za rogiem ulicy i wtedy właśnie został obezwładniony przez dwóch napastników.

- Jak na to zareagowałaś?

- Co mogłam zrobić? - zapytała. - Nie miałam czasu, aby się zastanawiać. Po prostu podbiegłam do taty. Cokolwiek miało się stać, uważałam, że powinniśmy być razem.

Craig widząc, jak bardzo Aloya była poruszona tymi wspomnieniami, powiedział:

- Rozumiem. A więc w taki sposób ty i twój ojciec trafiliście do barona.

- To było... straszne. - Głos jej drżał. - Zaczęli wypytywać papę o różne sprawy, a kiedy papa odmówił jakichkolwiek wyjaśnień, zagrozili, że go wywiozą do Rosji i będą tak długo torturować, aż... w końcu powie to... czego od niego żądają.

Craig domyślał się po jej zachowaniu, jakie to musiało być dla niej straszne przeżycie.

- Wtedy papa obiecał, że zacznie mówić, jeśli puszcza mnie wolno. - Odetchnęła głęboko. - I to był duży błąd. Baron spojrział wtedy na mnie, jakby mnie ujrzał po raz pierwszy. Z



wyrazu jego oczu zorientowałam się, że przyszło mu do głowy, iż mogę być dla nich również użyteczna.

- A więc baron wpadł na pomysł, abyś została kochanką lorda Neasдона i wyciągnęła od niego informacje o Tybecie?

- Powiedział mi, że on jest bardzo ważną figurą w brytyjskim MSZ i że powinien znać brytyjskie plany, przygotowane na wypadek, gdy Rosjanie przystąpią do inwazji na Tybet.

- Tak więc przede wszystkim pomyśleli o tym, aby cię ubrać możliwie najbardziej efektownie.

- Dokładnie mi wyjaśnili, co mam robić - drżąc powiedziała Aloya.

- A twoje toalety?

- Pewien specjalnie sprowadzony przez nich na jacht francuski projektant, którego najwidoczniej mieli w ręku, otrzymał zadanie przeobrażenia mnie w kobietę, której urokowi lord Neasdon nie zdoła się oprzeć,

- Ale chyba nie oczekiwali, że już sam twój widok skłoni go do rozmowy z tobą? - zapytał Craig, czując, że zupełnie nie pasowałoby to do Neasдона, którego wyjątkowo wysokie mniemanie o sobie było powszechnie znane.

- Och, nie - zawołała Aloya. - Oni są na to zbyt inteligentni. Zebrali wszystkie informacje o Neasdonie. Matka Neasдона, z którą ten jest wyjątkowo silnie związany, na dzień przed przyjazdem syna do Monte Carlo wyjechała do Ameryki. Rosjanie, w sobie tylko wiadomy sposób, zdobyli jakiś własnoręcznie napisany przez nią list. - Milczała chwilę, po czym dodała: - Przypuszczam, że to był list do jednego z jej przyjaciół w Monte Carlo. Następnie podrobili jej pismo w liście, który wysłali do lorda Neasдона. W tym sfalszowanym liście matka prosi syna, aby ten po przybyciu do Monte Carlo postarał się być miły dla córki pewnej osoby, w stosunku do której ma ona ogromny dług wdzięczności.

- Naturalnie chodziło o ciebie.

- Oczywiście. Lord Neasdon, chcąc uczynić zadość prośbie matki, odwiedził mnie już w kilka godzin po przyjeździe do Monte Carlo.

- I twoja uroda dosłownie zbiła go z nóg - z odrobiną cynizmu zauważył Craig.

- Musiałam mu wyznać, że wywarł na mnie ogromne wrażenie i że uważam go za wspaniałego mężczyznę - powiedziała półgłosem. - Przez cały czas, kiedy z nim rozmawiałam, moja pokojówka, która z pewnością dla nich pracowała, podsłuchiwała pod drzwiami, aby się upewnić, czy nie mówię czegoś, co mogłoby wzbudzić w Neasdonie... jakieś podejrzenia. - Po chwili z rozpaczą dodała: - Jak mogłabym to... zrobić, skoro mi powiedzieli, że jeśli nie wypełnię ich polecenia, to... zabiją papę, kiedy tylko wyciągną od niego wszystko, co ich interesuje?

- Mam nadzieję, że nic takiego do tej pory się jeszcze nie wydarzyło - z niepokojem zawołał Craig.

- Nie, papa jest na to zbyt inteligentny - oświadczyła Aloya. - Cały czas, kiedy oni przygotowywali mnie do nowej roli, papa wciąż ich zwodził. Po czym, gdy zaczęli go już zbyt mocno naciskać, wprowadził się w trans.

- W trans? - Craig nie krył zdumienia.

- To jest coś, czego papa nauczył się w Indiach. Potrafi doprowadzić siebie do utraty przytomności i wtedy nikt nie jest w stanie go obudzić. Oczywiście, taki trans nie może trwać bez końca.

- Ile czasu mu pozostało? - spytał Craig, zdając sobie sprawę, o co toczy się gra.

- By nie umrzeć z braku pożywienia i wody - odpowiedziała drżącym głosem Aloya - powinien... wrócić do... świadomości najpóźniej... jutro.

Teraz Craig wiedział, dlaczego wciąż prześladowała go myśl, że aby wykonać powierzoną mu misję, pozostało mu już niewiele czasu. Bał się nie tylko o Aloyę. Randall Sare był tym, kto w szczególny sposób przypominał, iż czas szybko biegnie.

- Jeśli Rosjanie o tym nie wiedzą - zauważył Craig - to dlaczego polecili, by Neasdon został twoim kochankiem jeszcze tej nocy?

- Czekają, aż papa się obudzi oraz na wiadomości ode mnie. Potem wywiozą nas oboje i jeśli nie spełnię oczekiwań, będą mnie torturować w obecności papy, aby go zmusić do mówienia.

Craig pomyślał, że to, niestety, bardzo prawdopodobne, po czym ze złością oświadczył:

- Przysięgam ci, najdroższa, że to się nigdy nie stanie, przynajmniej dopóki ja żyję.

- Czy możesz... uratować papę... i mnie?

- Przysięgam, że uratuję - zawołał Craig. - I jestem pewien, że mi uwierzysz, gdy ci powiem, że dziś wieczorem, kiedy spacerowałem przed kasynem, twój ojciec czy też jakaś inna tajemna siła podpowiedziała mi, co mam robić.

Widział, jak Aloya na niego popatrzyła. W jej oczach oprócz bezgranicznego zaufania była pewność, że nie może mu się nie udać. I kiedy już wszystko zostało powiedziane, ich usta nieoczekiwanie się spotkały. Zaczął ją całować gwałtownie, żarliwie i namiętnie, jakby nie była młodzieńką, nieśmiałą dziewczyną, lecz dojrzałą kobietą, którą kochał ponad wszystko na świecie.

## Rozdział 6

Kiedy Craig się obudził, miał uczucie, że jest najszcześniejszym człowiekiem na ziemi. Na chwilę zapomniał, jak trudne i niebezpieczne jest zadanie, którego się podjął. Wciąż myślał o swojej miłości do tej dziewczyny, o tym, jak ostatniej nocy trzymał ją w ramionach i jak doszedł do wniosku, że właśnie ona jest dla niego wszystkim.

Mając za sobą tyle podróży i tyle najróżnorodniejszych przeżyć, nie miał wątpliwości, że Aloya jest zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju, nie tylko z uwagi na zdumiewającą urodę, ale również na nadzwyczajną inteligencję, błyskotliwość, a przede wszystkim zadziwiającą intuicję i umiejętność postrzegania. Jej uroda była efektem niezwyklej kombinacji krwi, w wyniku której natura obdarzyła Aloyę jasną karnacją po angielskich przodkach i mistycznym urokiem pięknych, gruzińskich oczu.

Craig był przekonany, iż zarówno Aloya, jak i jej ojciec wierzyli, że jeśli dwoje ludzi łączy wielkie uczucie, a jednocześnie są oni sobie bardzo bliscy duchowo, to dzieci zrodzone z takiego związku odznaczają się urodą, której kreatorem może być tylko sama miłość.

Dla Craiga nie było tajemnicą, że kłopoty Randalla Sare'a pojawiły się z chwilą, gdy z uwagi na swą działalność, musiał zachować małżeństwo z Gruzinką w absolutnej tajemnicy, I to nie tylko dlatego, że jego zwierzchnicy byliby zaszokowani mariażem z kobietą, którą uważaliby za Rosjankę. Randall Sare obawiał się, iż jego wrogowie, tak jak stało się to właśnie teraz, mogą wykorzystać jego najbliższych do szantażu.

Craigowi wciąż trudno było uwierzyć, że Aloya wraz z matką pokonały mroźną, zdradliwą i wyjątkowo niebezpieczną przełęcz, łączącą Indie z Tybetem. Wiedział jednak, że Gangtse - pierwsze miasto na tej niezbyt gościnnej ziemi - pełniło rolę centrum handlowego. Kobiety nie były

więc tam narażone na zbytnią ciekawość, jeśli nie wrogość jego mieszkańców, czego z pewnością nie uniknęłyby wędrując dalej w głąb kraju.

Kiedy na niebie ukazały się pierwsze oznaki wstającego świtu, Craig pomyślał, że tylko Randall Sare mógł w takim miejscu w imię obowiązku zostawić żonę i córkę, potem zaryzykować wędrowkę w nieznane i do tego w tak dziwnym przebraniu, że bez przerwy musiał przekonywać, iż nie jest ani ich wrogiem, ani szpiegiem. W Indiach czy w innych krajach Wschodu było to stosunkowo łatwe, ale Tybetańczycy wyróżniali się wyjątkową spostrzegawczością. Niektórzy starsi mnisi w najsłynniejszych klasztorach potrafili korzystać z czegoś, co niewtajemniczeni nazywali jasnowidzeniem lub magią, a co w rzeczywistości było po prostu nadzwyczajną umiejętnością rozpoznawania prawdy.

Craig nie dziwił się, że Sare po stracie ukochanej żony i w trosce o swą piękną córkę uznał wywiezienie jej do Anglii za jedyne rozsądne wyjście z sytuacji. Teraz z uwagi na sławę Sare'a oraz fakt, że Rosjanie uważali go za człowieka, którego los został już przesądzony, obydwój: i ojciec, i córka, znaleźli się w położeniu tak rozpaczliwym, że jeden nierozsądny krok mógł oznaczać wydanie na nich wyroku śmierci.

Myśl, że mógłby Aloyę stracić, niczym miecz przeszła serce Craiga. Wtedy właśnie postanowił, że jeśli ona umrze, on umrze wraz z nią.

- Gotów jestem postawić mój cały majątek - powiedział do siebie - iż żadna inna kobieta nie potrafiłaby sprawić, abym się czuł taki szczęśliwy. Teraz wiem, że wszystko, co kiedykolwiek napisano bądź skomponowano o miłości, było prawdą absolutną.

Zmusił się, aby nie myśleć o dręczących serce uczuciach, ale aby cały umysł skoncentrować na tym, co było przed nim.

Ostatniej nocy odprowadzając Aloyę do drzwi jej sypialni, powiedział:

- Od tej chwili, kochana, złóż wszystko w moje ręce. Zaufaj mi, módl się i staraj przekazać ojcu swoje myśli, tak jak cię tego uczył.

- A ty... też się o to... postarasz? - spytała Aloya.

- Ty wiesz, że zrobię wszystko - odrzekł Craig. - Powiem mu, aby był przygotowany, i wiem, że to bez trudu pojmie. - Pomyślał, że nie ma drugiej kobiety na świecie, która by tak go rozumiała. Znowu wziął ją w ramiona i całował aż do utraty tchu, czując jak nieprzytomnie biją ich serca, tak jakby chciały się połączyć na zawsze. - Tak bardzo cię kocham - szeptał. - A miłość zawsze zwycięża.

- Jesteś... tego... pewien?

- Spójrz na mnie! - powiedział stanowczym tonem. Zwróciła ku niemu twarz, a on pomyślał, iż żadna kobieta nie może wyglądać bardziej urzekająco. Wszystko, czego potrzebowali do szczęścia, to powietrze do oddychania i słońce na niebie, aby radowało ich oczy. Patrzyła na niego, a on czuł, że się już niczego nie obawia. Wszystkie lęki i niepokoje ustąpiły jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niewysłowione szczęście wypełniło mu serce i wiedział, że Aloya czuła to samo.

Teraz układał sobie w myślach krok po kroku cały plan działania, starając się - jak zawsze - do perfekcji dopracować każdy jego szczegół. Przewidywał, co może się wydarzyć, i odpowiednio do tego ustalał kolejne warianty planu, nie zapominając jednak o pewnych żelaznych regułach, których zawsze należy przestrzegać.

Nikommu, kto chwilę później widział go, jak podąża w stronę kortów tenisowych znajdujących się pomiędzy „Hotel de Paris” i „Hermitage”, nawet by nie przyszło do głowy, że ten znany w Monte Carlo playboy może myśleć o czymś

więcej niż o radowaniu się urokami wiosny i solidnej porcji wysiłku na korcie, który wraz z potem usunie ślady ostatniej burzliwej nocy.

Partner już czekał na niego i Craig jak zwykle pokonał go w ostatnim secie, po czym uzgodnił godzinę spotkania na następny dzień.

Założywszy gruby, wełniany sweter, nie wrócił do „Hotel de Paris”, jak zwykł to czynić po każdym treningu, lecz skierował się do „Hermitage”. Minał szklane drzwi i podszedł do recepcyjnej lady.

- Czy lord Neasdon już schodził? - zapytał. - Chciałbym zamienić z nim parę słów.

Recepcjonista poznawszy natychmiast znakomitego gościa, z uśmiechem odpowiedział:

- Dzień dobry, monsieur Vandervelt. Jego Lordowska Mość jest właśnie w restauracji. Czy mam go zawiadomić, że pan tu jest?

- Dziękuję, ale sam mu to powiem - odrzekł Craig.

Idąc na spotkanie z Neasdonem, myślał jakie to bardzo angielskie jeść śniadanie na dole, zamiast we własnym apartamencie.

W sali było zaledwie kilka osób i Craig bez trudu dostrzegł Neasdona, który siedział przy stoliku tuż przy oknie i czytał gazetę.

Craig zbliżył się do niego, po czym zatrzymał na chwilę czekając, aż lord podniesie głowę.

- Dzień dobry, Vandervelt - odezwał się Neasdon niezbyt wylewnym tonem. - Co tu robisz tak wcześnie?

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Craig. - Ale chciałem cię zaprosić na lunch na pokład mojego jachtu. Wydaję dziś małe przyjęcie. Z prawdziwą przyjemnością pokażę tobie i hrabinie moją „Mermaid”.

Craig czuł, że Neasdon, najwyraźniej nie darzący go sympatią, gwałtownie szukał jakiegoś wykrętu, aby odmówić. Ale zanim zdążył otworzyć usta, Craig mu oznajmił:

- Wysłałem już zaproszenie do hrabiny i mam nadzieję, że przyjedziecie razem samochodem, który o pierwszej będzie na was czekał przed hotelem.

W tej sytuacji Neasdonowi nie pozostawało nic innego, jak tylko przyjąć propozycję Craiga. A kiedy to uczynił, Craig pospiesznie dodał:

- To wspaniale! Zatem będę na was czekał. A więc do zobaczenia. Być może po lunchu wypłyniemy w morze, oczywiście, jeśli utrzyma się dobra pogoda.

Zanim Neasdon zastanowił się, co odpowiedzieć, Craiga już nie było. Kiedy zmierzał do hotelu, na jego twarzy długo jeszcze błąkał się uśmiech niekłamanej satysfakcji.

Uznając, iż nie ma powodu, aby nie miał robić tego co zwykle, następne dwie godziny spędził na pisaniu korespondencji i regulowaniu rachunków. Kilka minut po dwunastej wyszedł na taras, gdzie urzędowała ta sama co zwykle grupa przyjaciół i gdzie Zsi - Zsi i wielki książę spędzali czas w gronie znajomych, Craig przez chwilę dotrzymał im towarzystwa, przyjął kilka zaproszeń, po czym dokładnie o wpół do pierwszej opuścił taras i wsiadłszy do samochodu, udał się do przystani.

Jego sekretarz już wcześniej dotarł na jacht, aby przekazać załodze dyspozycje i kiedy Craig zjawił się na pokładzie „Mermaid”, kapitan zameldował mu:

- Wszystko przygotowane, sir. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony. Kucharz, co prawda, trochę narzekał na krótki termin, ale nie sądzę, aby menu pana rozczarowało.

- Jestem o to zupełnie spokojny - odrzekł Craig. - A teraz, kapitanie, muszę z panem chwilę porozmawiać. Proponuję, abyśmy przeszli do salonu.



Pomalowane na jasnozielony kolor obszerne pomieszczenie z perkalowymi narzutami idealnie pasującymi do zasłon, było zupełną nowością w światku żeglarskim, który wciąż trzymał się tradycyjnej, mahoniowej boazerii i obijanych skórą foteli.

Kapitan zamknął drzwi i stojąc, czekał na polecenia Craiga. Nie było cienia wątpliwości, iż każde z nich będzie natychmiast wykonane.

Kiedy Craig skończył mówić, kapitan nie kryjąc zdumienia, zawołał:

- To wydaje się nieprawdopodobne, sir!

- Zgadzam się z panem - przyznał Craig. - Ale kiedy pana angażowałem, dokładnie sprawdziłem pańską przeszłość i stąd wiem, że przeszedł pan w życiu niejedno i że zniósł pan wszystkie przeciwności losu z godnym podziwu męstwem, co niewątpliwie zasługuje na szczególne wyróżnienie.

Kapitan zdawał się zakłopotany.

- To bardzo uprzejme z pana strony, sir, że tak pan uważa.

- Po tym, co panu powiedziałem, kapitanie - wtrącił Craig - z pewnością zrozumie pan, że właśnie to zadecydowało, iż na dowódcę mojego jachtu wybrałem Anglika, chociaż sam jestem Amerykaninem.

- To komplement, który bardzo wysoko sobie cenię - oświadczył kapitan.

- A więc, kapitanie, proszę teraz zrobić odprawę załogi i dopilnować, aby nie było żadnej pomyłki. Wszystko musi grać co do sekundy.

- Tak jest, sir. - Zasalutował sprężysto i Craig był przekonany, że w jego oczach dostrzegł wyraz niekłamane podziwu, którego nigdy wcześniej nie zauważył. Sprawilo mu to ogromną satysfakcję. Dotychczas zawsze odnosił wrażenie, iż kapitan już wtedy, gdy przygotowywał się do objęcia dowództwa na jachcie, i potem, gdy wykonywał wszystkie

wydane mu polecenia, podświadomie żałował, że Craig jest Amerykaninem.

Ta typowa dla Anglików mania wyższości bardzo go irytowała. I często, gdy na ich zlecenie podejmował się różnych ryzykownych misji, wiedząc, że jako cudzoziemca uważają go nie tylko za gorszego, ale i za mniej inteligentnego, miał ochotę posłać ich do diabła.

Teraz nie było już jednak czasu na oglądanie się wstecz. Craig przeszedł więc z salonu do sąsiadującego z nim mniejszego pomieszczenia, gdzie mieli spożyć lunch. Ten pokój utrzymany był również w kolorze zieleni, ale obicia mebli i zasłony wykonane były ze szmaragdowozielonego aksamitu, który znakomicie współgrał z liśćmi kamelii dekorującymi stół. Centralne miejsce zajmował srebrny galeon wykonany w XII wieku w Wenecji, reszta sreber pochodziła z czasów króla Jerzego. Craig zastanawiał się, czy jego goście potrafią to wszystko docenić.

Ponieważ mógł sobie na to pozwolić, starał się, aby wszystko, co tu zgromadził, było najlepszej jakości i w najlepszym guście. Wystarczyło popatrzeć na zdobiące ściany wspaniałe obrazy olejne, aby nie mieć wątpliwości, iż żaden inny jacht nie mógł się poszczycić takimi skarbami. W srebrnym kubelku z lodem chłodził się szampan oraz kilka butelek wina doskonałych roczników, pochodzących z najlepszych winnic francuskich.

Kiedy Craig uważnie lustrował stół, do salonu wszedł główny steward, prezentujący się niezwykle elegancko w białej marynarce, ozdobionej srebrnymi guzami. Craig wydał mu polecenia, które podobnie jak te przekazane wcześniej kapitanowi, brzmiały zwięźle i całkowicie jednoznacznie. Kiedy steward, pozostający na służbie u Craiga od kilku lat, zapewnił go, że doskonale wszystko zrozumiał, Craig wrócił do salonu.

Punktualnie o ustalonej godzinie sekretarz Craiga, Cavendish, powitał u wejścia na pokład siedzącego na wózku barona Strogoloffa. Baronowi towarzyszyli dwaj atletycznie zbudowani Rosjanie, o ponurych twarzach. Mieli na sobie nieskazitelne stroje żeglarskie, lecz już na pierwszy rzut oka widać było, że nie czują się w nich najlepiej.

Craig nie miał wątpliwości, że są to technicy, którzy dokładnie zarejestrują wszystko, co zobaczą na jachcie, i z pewnością natychmiast przekażą swoje spostrzeżenia rosyjskiej marynarce. Z uśmiechem jednak zwrócił się do barona i uprzejmie powiedział:

- Czuję się niezmiernie zaszczycony, że mogę pana gościć, baronie. Po lunchu będę miał panu tyle do pokazania.

Fotel barona ustawiono w przeciwległym końcu salonu i w tej samej chwili, gdy Craig przywitał się z towarzyszącymi baronowi mężczyznami i poprosił ich, aby zajęli miejsca, do salonu weszli stewardzi, niosąc na tacach kieliszki z wódką. Rosjanie jednym haustem opróżnili ich zawartość, po czym kieliszki ponownie zostały napełnione.

Craig usiadłszy tuż obok barona, zapytał tonem chłopca, który czeka na pochwałę:

- Jak pan ocenia moją koncepcję aranżacji wnętrza łodzi?

- To rzeczywiście nadzwyczajne, panie Vandervelt - gardłowym głosem odezwał się baron.

- Wiedziałem, że tak właśnie pan powie. Nie wyobraża pan sobie, ile wysiłku mnie kosztowało, aby przekonać moich dekoratorów, którzy usiłowali mnie namówić na styl bardziej tradycyjny.

- Widzę, że ma pan kilka dobrych obrazów.

- Podzielam pana opinię. Gdybyśmy zatonęli, byłaby to ogromna strata, ale nie sądzę, aby mogło się to wydarzyć.

- Z morzem nigdy nic nie wiadomo - mentorskim tonem rzucił baron.

Craig roześmiał się.

- Tak jak i z wieloma innymi rzeczami.

Sekretarz Craiga otworzył drzwi salonu.

- Hrabina Aloya Zładamir, sir, i lord Neasdon! Craig wstał.

- Niech mi wolno będzie zauważyć, hrabino, jak bardzo się cieszę, że panią widzę - rzucił z uśmiechem. - Nawet wiosna nie wygląda tak czarująco jak pani. Przygotowałem dla pani niespodziankę. O ile dobrze pamiętam, kiedyś wspomniała pani, iż nigdy nie spotkała pana barona. A więc pan baron był łaskaw przyjąć moje zaproszenie i jest dziś również moim gościem.

Kiedy ujął jej rękę, czuł, jak bardzo jest przerażona. A jednak doskonale odegrała swoją rolę, mówiąc:

- Rzeczywiście, nigdy nie spotkałam barona, ale podziwiałam jego piękny jacht.

Przeszła przez pokój, aby się z nim przywitać, a Craig zwracając się do lorda Neasdona, powiedział:

- Witam na pokładzie, milordzie!

Następnie zapoznał go z dwoma towarzyszącymi baronowi Rosjanami, którzy dosyć niezręcznie unieśli się na widok wchodzącej hrabiny.

Aloya stała tuż przy baronie. Jego spojrzenie nie wróżyło niczego dobrego. Ale Craig zauważył, iż wiara i zaufanie, jakimi Aloya go obdarzyła, przyniosły efekty. Dziewczyna już nie bała się tak, jak początkowo się na to zanosilo.

Kiedy zbliżył się do niej, zawołała w sposób nieco afektowany:

- Jaka urocza kabina. Zupełnie się tego nie spodziewałam!

- Miło mi to słyszeć - wtrącił Craig. - Tym bardziej, że baron przed chwilą zachwycał się moimi obrazami.

- Są piękne, po prostu piękne! - zawołała Aloya. - Mam nadzieję, że pokaże nam pan cały jacht.

- Z przyjemnością - oznajmił Craig. - Wszystkie kabiny na moim jachcie są niezwykle, przynajmniej tak uważają amerykańskie czasopisma. Chyba nie znalazłbym takiego, w którym przynajmniej raz nie pojawiło się zdjęcie mojego jachtu.

- A więc tym bardziej się cieszę, że będę mogła wszystko zobaczyć.

Aloya wyglądała tak pięknie, że Craig całą siłą woli musiał się opanować, aby nieopatrzenie nie ujawnić tego, jak bardzo był w niej zakochany. Zdawał sobie sprawę, że niedocenie barona byłoby wielkim błędem.

Aloya, jakby odgadując jego myśli, podeszła do Neasdon a i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Co o tym sądzisz? - spytała.

Podniosła oczy i spojrzała na Neasdon a tak, że Craig miał ochotę chwycić ją w ramiona i zabronić patrzenia w ten sposób na jakiegokolwiek innego mężczyznę.

I kiedy Craig uprzytomnił sobie, że Aloya postępuje jedynie ściśle według jego instrukcji, Neasdon odezwał się z przekazem:

- Spodziewam się, że te obrazy to oryginały, a nie reprodukcje.

- Obraża mnie pan! - spokojnie powiedział Craig.

- Jestem pewna, że u pana Vandervelta... nie ma niczego, co nie byłoby... oryginalne. - Mówiąc to Aloya podziękowała za wódkę i poprosiła o kieliszek szampana.

Lord Neasdon ze zdziwieniem patrząc na mniejsze kieliszki, odezwał się:

- Nie sądzę, abym kiedykolwiek pił wódkę.

- Najwyższy więc czas, aby pan spróbował - zauważył Craig. - Rosjanie tradycyjnie już kiedy jedzą kawior, piją wódkę. Poza tym wódka znakomicie działa na system trawienny.

- No cóż, chyba będę musiał zaryzykować - z wahaniem powiedział Neasdon, ale nie ulegało wątpliwości, że była to ostatnia rzecz, na jaką naprawdę miał ochotę.

Podniósł do góry kieliszek i kiedy miał już w nim umoczyć usta, Aloya zawołała:

- Nie, nie! Tak nie pije się wódki! Całą zawartość kieliszka opróżnia się jednym haustem. Czyż nie mam racji, baronie?

- To prawda - przyznał baron.

Rosjanin siedział, spoglądając ponuro spod krzaczastych brwi i Craig miał wrażenie, że był nieco zbity z tropu obecnością hrabiny i nie bardzo wiedział, co ma z tym fantem zrobić.

Kieliszki do wódki jeszcze wielokrotnie były napełniane i opróżniane, aż w końcu poproszono wszystkich do stołu przygotowanego w sąsiednim, nieco mniejszym salonie.

Siedzącego w fotelu barona umieszczono po lewej stronie Craiga, Aloyę po prawej i tuż obok niej Neasdon. Jednego z Rosjan posadzono tuż przy baronie, drugiego w przeciwległym końcu stołu. Wyraźnie było widać, że nie czują się tu najlepiej. Przez cały czas nie zdradzali najmniejszej chęci, aby włączyć się do rozmowy. Z przyjemnością natomiast oddawali się picciu i jedzeniu i wszystko, cokolwiek postawiono przed nimi, natychmiast znikало.

Kapitan miał rację, mówiąc, że kucharz wywiązał się z zadania w sposób absolutnie doskonały, i Craig, chociaż jego myśli zajęte były zupełnie czym innym, potrafił się zmusić do jedzenia. Natomiast Aloya zupełnie nie mogła się przemóc. Każdy kęs dosłownie rósł jej w ustach, a ściśnięte z emocji gardło uniemożliwiało przełknięcie czegokolwiek. Wiedziała jednak, że nie może pozwolić, aby to zauważona. Udawała więc, że je, przesuując jedynie jedzenie z jednej strony

talerza na drugą i czekając, aż kelnerzy zmienią nakrycia przed kolejną potrawą.

Lord Neasdon, jak zawsze o nienagannyh manierach, jadł z apetytem, ale Craig nie miał wątpliwości, iż jego gość nie tylko nie znosi go jako mężczyzny, ale zazdrości mu również majątku. Neasdonowi trudno więc było podzielać zachwyty hrabiny, która chwaliła absolutnie wszystko, łącznie ze zdobitymi stół kameliami i ustawionym na środku srebrnym galeonem.

- Zbieram modele okrętów - powiedział Craig. - A ponieważ morze od dawna ogromnie mnie fascynuje, udało mi się zgromadzić niezłą kolekcję starożytnych modeli wykonanych ze srebra i złota, a niektóre z nich ozdobione są niezwykle cennymi kamieniami.

- Jakież to fascynujące! - zawołała Aloya. - Bardzo bym chciała je zobaczyć,

- Mam nadzieję, że pewnego dnia będę mógł jej pani pokazać. - Craig starał się mówić obojętnym tonem, ale serce zachowywało się inaczej. Przekonywało go, że przyjdzie taki dzień, iż nie tylko będzie mógł jej te skarby pokazać, ale również sprawić, że będzie je z nim dzieliła.

Chcąc nie dopuścić, aby baron powziął jakiegokolwiek podejrzenia, że to spotkanie jest czymś więcej niż tylko zwykłym lunchem, Craig postarał się zająć gości wesołą i pełną dowcipu opowieścią o Monte Carlo i swoich licznych podróżach do najodleglejszych zakątków świata. Mówił tak zajmująco i tyle w tym było humoru, że atmosfera przy stole stała się bardziej swobodna i często się zdarzało, że goście wybuchali śmiechem w reakcji na jakiś szczególnie celny żart. Craigowi wydawało się, że baron również nieco się rozluźnił, ponieważ pił znacznie więcej, a jego oczy nie były już tak zimne i podejrzliwe, i nawet dłonie mniej przypominały szpony.

Lord Neasdon, jakby nie chcąc pozostać za Craigiem w tyle, opowiedział długą i raczej nudną historię o spotkaniu z rabusiami w Alpach szwajcarskich. Kiedy skończył, Craig zrewanżował mu się historią o tym, jak kiedyś był ścigany przez piratów w pobliżu Archipelagu Malajskiego.

- Miałem szczęście - stwierdził - że mój jacht okazał się zdecydowanie szybszy. W przeciwnym razie wątpię, abym miał okazję opowiedzieć państwu tę historię.

- To straszne! - zawołała Aloya.

- Niebezpieczeństwo często działa na człowieka niezwykle pobudzająco - zauważył Craig.

- Nie rozumiem - oświadczyła Aloya.

- W sytuacji zagrożenia człowiek mobilizuje zarówno ciało, jak i umysł do walki z przeciwnikiem, a kiedy szanse są równe, zwycięża ten, kto ma silniejszą osobowość.

- A jeśli... szanse nie są... równe? - zapytała cicho Aloya i Craig wiedział, co miała na myśli.

- Wtedy trzeba liczyć na szczęście albo na siłę większą niż się samemu posiada, co wcale nie jest takie trudne do osiągnięcia, jeśli się oczywiście wie, gdzie jej szukać.

Craig zorientował się z wyrazu jej oczu, że doskonale zrozumiała, co chciał jej powiedzieć, a ponieważ znowu powinna odegrać swoją rolę zgodnie z jego instrukcją, zwracając się do Neasdona, zapytała:

- Czy kiedykolwiek coś takiego przeżywałeś?

- Ja zawsze polegam wyłącznie na sobie i swoim rozumie - oświadczył z pewną siebie miną Neasdon. - I to właśnie dlatego my, Brytyjczycy, w tak wielu dziedzinach odnosimy zwycięstwa.

- Oczywiście - wtrącił Craig. - Ale w wojnie z Burami nie wiedzie się już wam tak dobrze. - Nie mógł się powstrzymać, aby z Neasdona nie zakpić, ale gdy zobaczył jego minę, nie chcąc dopuścić do kłótni, szybko dodał: - Jednak dziś nie



będziemy rozmawiać o polityce. To spotkanie ma szczególny charakter. Jesteście państwo moimi pierwszymi gośćmi na pokładzie „Mermaid”. Proszę więc, abyśmy teraz wzniesli specjalny toast za jej sukcesy na wszystkich morzach świata i szczęśliwy za każdym razem powrót do portu.

- Ależ naturalnie, powinniśmy to zrobić! - wołała Aloya, klaszcząc w dłonie.

I w tej właśnie chwili stewardzi wnieśli na tacach świeże kieliszki i podczas kiedy jeden z nich podawał je gościom, drugi podążał za nim, trzymając w obu rękach karafki.

- To jest tokaj, najśłynniejsze wino w Europie, którym wzniesiemy toast - wyjaśnił Craig. - Tokaj, jak wszyscy wiedzą, pochodzi z Węgier, a szczególnie wysoko ceniony jest przez Austriaków, co z pewnością potwierdzi pan baron.

- Tak, to prawda - przyznał baron - chociaż nie sądzę, abym go kiedykolwiek próbował.

- A więc będziemy tu mieli same inauguracje: pierwszy kieliszek tokaju dla pana barona, pierwsze przyjęcie na „Mermaid” i pierwszy raz, kiedy mam przyjemność gościć u siebie tak piękną kobietę jak pani hrabina.

Aloya zarumieniała się i Craig nie miał wątpliwości, że tym razem nie była to żadna gra.

Steward napełnił kieliszek i Neasdon uznał za stosowne powiedzieć:

- Proponuję wznieść toast! Za „Mermaid”, za jej właściciela, no i oczywiście za kogoś, kto jest piękniejszy i bardziej urzekający niż jakakolwiek nimfa czy syrena! - Patrząc wymownie na Aloyę, wznosił kielich, a kiedy hrabina się do niego uśmiechnęła, wołając: „Do dna”, jednym haustem wypił całą jego zawartość.

Rosjanom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać i tokaj natychmiast zniknął w ich gardłach, z taką samą co wódka szybkością.

- To był bardzo miły toast - powiedziała Aloya, wzięwszy do ust niewielki łyk wina.

- Dziękuję - rzekł Neasdon. - Wiedziałem, że ci się spodoba.

Powiedział to tonem tak poufałym i z tak nieznośną pewnością siebie, że Craig z trudem się pohamował, aby nie wybuchnąć, i kiedy steward zaczął ponownie napełniać kieliszki, zwrócił się do barona:

- Nie powiedział pan, a nie kryję, że niezmiernie mnie to intryguje, do czego potrzebne panu w Monte Carlo aż dwa jachty.

Baron chwilę się wahał, jakby szukając właściwej odpowiedzi. I wtedy nagle rozległ się brzęk przewracanych naczyń. Jeden z Rosjan osunął się na stół, wywracając filiżankę z kawą, która brunatnym strumieniem wolno popłynęła po białym obrusie.

Baron ze złością pokręcił głową i ostro coś powiedział do siedzącego obok mężczyzny, co Craig nawet przy jego słabej znajomości rosyjskiego rozszyfrował jako wyraz zdecydowanej dezaprobaty dla nieumiejętności picia.

W tej samej jednak chwili drugi Rosjanin również się przewrócił, a ponieważ zwrócony był w stronę barona, osunął się na stół bokiem i zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, co się wydarzyło, zwałił się na podłogę.

Baron był siny z wściekłości i już otwierał usta, aby coś powiedzieć, kiedy Craig spokojnie się odezwał:

- Nie miej do nich pretensji, baronie. W ich tokaju był błyskawicznie działający narkotyk. Będą teraz spać przez najbliższe trzy godziny. Kiedy się obudzą, pozostanie im jedynie nieprzyjemny ból głowy.

Baron zeszywniał, a jego palce powoli wbijały się w dłonie.

- Ponieważ pańscy „przyjaciele”, jak sam ich pan określił, nie są w stanie uczestniczyć dalej w tym przyjęciu - ciągnął Craig - proponuję, aby ich miejsce zajął inny gość z pańskiego jachtu. Mam na myśli pana Randalla Sare'a.

- Odmawiam, kategorycznie odmawiam! - powtarzał baron.

- Doskonale - zauważył Craig. - Jeśli nie pośle pan po niego natychmiast, wypłyniemy na pełne morze, gdzie zdarzy się nieszczęśliwy wypadek, w wyniku którego dwaj Rosjanie, którzy przybyli tu w roli pańskich goryli, nigdy już nie będą w stanie złożyć jakiegokolwiek sprawozdania... - Zrobił efektowną pauzę, po czym dodał: - A i fotel na kółkach może z taką łatwością wylecieć za burtę.

Zapanowała długa cisza, aż w końcu baron cierpkim tonem oznajmił:

- Doskonale, pošlę po Randalla Sare'a, ale niewiele z niego pan wydobędzie.

- To już moje zmartwienie - powiedział Craig. Musiał chyba zadzwonić na obsługę, ponieważ w tej samej chwili do pokoju wszedł steward, niosąc papier listowy zaopatrzony w nadruk z nazwą jachtu oraz kałamarz z atramentem i pióro. - Napisze pan - polecił, kiedy przybory do pisania znalazły się przed baronem - aby dowódca jachtu „Carewicz” przywiózł tu Randalla Sare'a. Mój samochód będzie na niego czekał tuż przy trapie. Towarzyszyć mu może jeden lub, jeśli to niezbędne, dwóch ludzi, a ponieważ odległość dzieląca nasze jachty nie jest wielka, Sare, jeśli nawet nie odzyskał jeszcze pełni sił, samochodem dotrze tu błyskawicznie.

Usta barona były zaciśnięte ze złości, ale pospiesznie wypisał polecenie na podanym mu listowym papierze i złożył poniżej swój podpis. Craig wziął do ręki list i przekazał hrabinie.

- Sprawdź, czy baron napisał dokładnie to, co mu kazałem, i czy nie ma tam jakichś ukrytych instrukcji.

Aloya przeczytała uważnie i powiedziała:

- Myślę, że wszystko jest w porządku.

Craig zabrał od niej pismo i zwrócił się do barona:

- Jeśli udało się panu przemycić tu jakimś cudem polecenie, aby Sare'a po drodze zlikwidować, to wydał pan tym samym wyrok śmierci na siebie.

- Nie ośmieli się pan...! - z furją wykrzyknął baron.

- Lepiej, żeby się pan o tym nie przekonał - spokojnie powiedział Craig.

Obserwującej scenę hrabinie Craig wydał się nagle groźny, emanujący jakąś niezwykłą siłą która najwyraźniej zrobiła na Rosjaninie wrażenie.

Na chwilę oczy obydwu mężczyzn spotkały się, jakby tocząc ze sobą pojedynek, po czym baron pierwszy odwrócił wzrok i burknął gniewnie:

- Sare niedługo się tu zjawi, ale prędzej czy później i tak go dostaniemy, ciebie, Vandervelt, również!

- Chciałbym to widzieć - lekceważąco rzucił Craig, po czym wezwał stewarda i wręczył mu pismo, które uprzednio schował do koperty. Steward bez słowa wziął list i nie czekając na dalsze rozkazy, opuścił pokój.

Craig wstał od stołu i zwrócił się do barona:

- Ponieważ siedzenie z pańskimi dwoma nieprzytomnymi rodakami raczej nie należy do przyjemności, proponuję, abyśmy przeszli do salonu, gdzie, jak sędzę, będzie nam dużo wygodniej. Poza tym myślę, że po tokaju szklaneczka brandy dobrze nam zrobi. - Spojrzał wymownie na Rosjanina, który wciąż spoczywał z głową na stole, i wtedy lord Neasdon - zupełnie tym wszystkim zdezorientowany - powiedział:

- Żądam wyjaśnień! Dlaczego nikt mnie nie poinformował, co się tu szykuje?

- Jedyne wyjaśnienie, jakie mam zamiar złożyć, przekażę w raporcie do twojego zwierzchnika w MSZ i mam nadzieję, że nie będzie dla ciebie zbyt surowy.

Ostrzegawcza nuta w jego głosie sprawiła, że Neasdon zbladł i kiedy przeszli do salonu, z rozdrażnieniem rzucił się na fotel, jakby miał dosyć nie tylko gospodarza przyjęcia, ale nawet i hrabiny. Wziął do ręki gazetę i udawał, że czyta. Dopiero po kilku minutach zorientował się, że przez cały czas trzyma ją do góry nogami.

Baron milczał, ale Craig był pewien, że cały czas gorączkowo się zastanawia, jak wziąć rewanż za to zaskakująco mistrzowskie posunięcie. Natomiast zainteresowanie Craiga skupione było głównie na hrabinie, która jakby odgadując jego myśli, spacerowała po salonie, podziwiając wiszące na ścianach obrazy, dyskutując z nim na ich temat i przeglądając stojące na półce książki.

Po pewnym czasie, który wydawał się wiecznością, a trwał nawet krócej niż Craig przewidywał, drzwi do salonu otworzyły się i sekretarz Craiga zameldował:

- Samochód już jest, panie Vandervelt.

Craig bez słowa podszedł do drzwi, skąd mógł widzieć, jak Randall Sare wysiada z samochodu. Na kei stał już jeden Rosjanin gotowy mu do pomocy, drugi asekurował go z tyłu. Po chwili obydwaj ujęli Sare'a pod ręce i poprowadzili parę kroków w kierunku wiodącego na jacht pomostu. Było oczywiste, że chodzi im nie tylko o asekurację. Ich zadanie polegało przede wszystkim na tym, aby nie pozwolić więźniowi na ucieczkę.

Kiedy dotarli do pomostu, pomimo iż miejsca na nim było tylko tyle, ile potrzeba dla jednej osoby, Randall Sare przebył go ściśnięty jak sardynka pomiędzy dwoma pilnującymi go mężczyznami. Gdy wszedł na pokład, czekający na niego marynarz objął go za szyję i obrócił do tyłu. W tym samym

czasie Craig ze zręcznością, którą zdobył po latach praktyki, odciągnął Sare'a na bok, aby odsłonić podążającego za nim drugiego mężczyznę. Człowiek ten błyskawicznie sięgnął do kieszeni po broń, ale uczynił to o ułamek sekundy za późno.

Zanim zdołał ją wyciągnąć, już znalazł się w silnym jak kleszcze uścisku dwóch marynarzy. W ten sposób obydwaj Rosjanie zostali obezwładnieni, podczas gdy Craig, troskliwie objąwszy Sare'a, poprowadził go do środka jachtu. Dopiero wtedy mógł zorientować się, jak bardzo ten człowiek był wychudzony. Wyraz jego twarzy wskazywał, iż nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje, wciąż jeszcze tkwiąc w świecie duchów, do którego przeniósł się w transie.

Kiedy weszli do salonu i ktoś zamknął za nimi drzwi, Aloya rzuciła się w ich stronę z okrzykiem radości:

- Ojczy!

Zarzuciła mu ramiona na szyję, a on uśmiechnął się, jakby nagle jakaś niewidzialna ręka ściągnęła zasłonę z jego oczu.

- Czy nic ci się nie stało, kochanie? - Głos Randalla Sare'a był niski i chrapliwy.

- To ja powinnam cię o to zapytać, tatusiu - powiedziała Aloya i łzy popłynęły jej po policzkach.

- Nic mi nie jest - odpowiedział Sare. - Jestem tylko nieco oszołomiony.

Craig poprowadził go w stronę fotela.

- Proszę usiąść - powiedział. - Zaraz przyniosę trochę wina, chociaż to, czego w tej chwili najbardziej panu potrzeba, to jedzenie.

- Tak, musisz być bardzo głodny - wtrąciła Aloya.

W tej samej chwili do pokoju wszedł steward, niosąc na srebrnej tacy miseczkę bulionu, którą następnie postawił przed Sarem.

- Lekka i pożywna - z uśmiechem powiedział Craig. - Tak kiedyś powiedział pan do mnie. Minęło tyle lat, ale ja nie zapomniałem.

- Ma pan dobrą pamięć, Craig - rzekł Randall Sare. - Otrzymałem od pana wiadomość ostatniej nocy.

- Liczyłem na to.

Ich oczy przez chwilę się spotkały. Nie potrzebowali słów, aby zrozumieć się nawzajem.

Kiedy Aloya klęczała u jego stóp, Sare wolniutko zaczął pić przygotowany dla niego bulion. Craig w tym czasie powrócił do barona.

- Panie baronie - powiedział - chociaż żałuję, że nasza znajomość znalazła tak gwałtowny epilog, sądzę jednak, iż powinienem odesłać teraz pana na jego jacht. Mój samochód czeka na brzegu, czekają tam również pańscy przyjaciele, aby się panem zająć. Dwaj inni gentlemani, którzy wciąż jeszcze śpią, zostaną dostarczeni do nabrzeża i pańską eskorta może ich ze sobą zabrać, albo uczyni to portowa policja. - Widząc wściekłość malującą się na twarzy barona, dodał: - Pańscy ochroniarze zostawią tu oczywiście broń, którą mieli przy sobie. Pozwoli pan zauważyć, że nie jest przyjęte, aby tego typu sprzęt zabierać ze sobą, kiedy się jest zaproszonym na przyjęcie.

Craig zdawał sobie sprawę, że to co powiedział jeszcze bardziej rozwścieczyło barona, ponieważ palce rąk zacisnął tak mocno, iż widać było, jak paznokcie wbijają się w dłonie. Był jednak zupełnie bezsilny, a takiego upokorzenia nie był w stanie znieść żaden Rosjanin.

Craig zadzwonił i kiedy w drzwiach zjawił się jego sekretarz, powiedział do niego:

- Proszę przewieźć barona do mojego samochodu, a kiedy już znajdzie się w środku, dwaj pozostali Rosjanie mogą do niego dołączyć. - Gdy sekretarz skierował się do siedzącego

na wózku barona, Craig dodał: - Za chwilę wypływamy, ale jeśli przysłoby panu do głowy wysłać za „Mermaid” któryś z pańskich jachtów lub nawet obydwu, to myślę, iż zaoszczędzę panu wysiłku, informując, że nasza szybkość prawie dwukrotnie przewyższa pańską i że praktycznie nie ma możliwości, aby nas dogonić. Niech się pan więc nie trudzi, ponieważ prawda może się okazać zbyt bolesna. - Jego głos zabrzmiał wyjątkowo prowokacyjnie, gdy dodał: - Niech pan już odjeżdża, bo mogę pożałować, że nie pozbyłem się pana, kiedy była ku temu okazja. Ale co się odwlecze, to nie uciecze, a satysfakcja, że sekrety Randalla Sare'a pozostaną w brytyjskich rękach, też jest nie do pogardzenia.

W tym momencie baron, jakby nie mógł już nad sobą zapanować, z furią zaklął po rosyjsku. Tylko Aloya zrozumiała jego słowa i coś mu cicho odpowiedziała.

Na sygnał dany przez Craiga sekretarz błyskawicznie wyprowadził wózek z baronem z salonu i drzwi zamknęły się za nimi. Uruchomiono silniki na jachcie i kiedy tylko piątka Rosjan dotarła do brzegu, podniesiono pomost i „Mermaid” wypłynęła w morze.

Milczący dotychczas lord Neasdon z miną człowieka obrażonego na cały świat zapytał:

- Dokąd płyniemy? Co masz zamiar z nami zrobić?

- Najpierw do Nicei - odpowiedział Craig. - A ponieważ nie chciałbym popsuć ci urlopu, wysadzę cię tam na brzegu. - Zauważywszy w oczach Neasdona przestrasz, dodał z lekceważeniem: - Nie musisz się obawiać, Rosjanie nie są już tobą zainteresowani. I mogę cię zapewnić, że kiedy dotrzesz do Monte Carlo, ich jachtów już tam nie zastaniesz.

- Nie będą nas... ścigać? - drżącym głosem zapytała Aloya.



- Nie mają szans - odrzekł Craig. - Te przestarzałe jachty potrzebują dużo czasu, aby uruchomić silniki parowe, a wtedy my już będziemy daleko.

- Przypuszczam, że nie ma sensu pytać, dokąd płyniemy - rzekł Randall Sare.

- Najważniejsze, abym wam zapewnił bezpieczeństwo - powiedział Craig. - To było pierwsze zadanie, jakie miałem wykonać. Drugie: uratować lorda Neasdon, nowego pracownika resortu spraw zagranicznych, z rąk groźnego rosyjskiego szpiega.

Aloya leciutko się uśmiechnęła, a lord Neasdon zawołał ze złością:

- To kłamstwo!

- Obawiam się, że to... prawda - zauważyła Aloya. - Szpiegowałam cię, ale bez widocznego... rezultatu.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołał Neasdon. - Chcesz mi wmówić, że te wszystkie twoje piękne słowa były tylko po to, aby wyciągnąć ode mnie informacje? - W jego głosie zabrzmiała jakaś pełna smutku nuta, która sprawiła, że Craigowi po raz pierwszy zrobiło się go po prostu żal.

- Wiesz co, Neasdon - powiedział Craig - zostawmy Sare'a i jego córkę samych i wyjdźmy na pokład, aby się upewnić, czy Rosjanie nie dysponują jakąś tajną bronią, przy pomocy której mogą spróbować nas dojść albo zatopić. - Śmiał się, kiedy to mówił. Wiedział, że Aloya właściwie odczytała jego intencje.

Jednak Neasdon wyglądał na zaniepokojonego, Kiedy wstał i razem z Craigiem opuścił salon, wciąż mruczał do siebie:

- Nie mogę w to uwierzyć! To nieprawdopodobne! Byłem przekonany, że jej na mnie zależy.

- To Rosjanie ją do tego zmusili - powiedział Craig. - Gdybyś przeżył tyle co ja, wiedziałbyś, że tonący chwytą się brzytwy.

- Skąd mogłem wiedzieć! Jak mogłem się zorientować, że ona mnie szpieguje i że po to opowiada mi te wszystkie kłamstwa!

- Usiłowała ratować swojego ojca. Powiedziała mi, jak bardzo jej było przykro, iż musiała cię oszukiwać, ale tu chodziło o życie Sare'a.

- Czy to prawda, że oni chcieli go zabić?

- Tak, ale wcześniej poddałiby go torturom.

- Nie mogę pojąć, jak we współczesnym świecie mogą się zdarzać takie barbarzyństwa!

- Pracując w MSZ będziesz miał okazję się przekonać, że życie jest bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażałeś, siedząc wygodnie w tych swoich ambasadach w Europie.

- Skąd to wszystko wiesz? - agresywnym tonem zawołał Neasdon. - To dziwne, tym bardziej, że jesteś Amerykaninem.

- Czasami nawet Amerykanie na coś się przydają - odpowiedział Craig. - A nawiasem mówiąc, Amerykanie nigdy nie zadają sobie tylu pytań, nie mają również w zwyczaju ujawniać ani tego, co robią, ani też tego, co zrobili, a tym bardziej, skąd pochodzą ich informacje. - Mówił poważnie, jak nauczyciel do ucznia, i lord Neasdon poczuł się nieswojo.

Craig udał się na mostek, gdzie zwrócił się do kapitana:

- Proszę pokazać lordowi nasze najnowsze przyrządy. Jestem pewien, że go to zaciekawia.

- Z przyjemnością, sir! - odrzekł kapitan i Neasdonowi nie pozostawało nic innego, jak okazać zainteresowanie, którego tak naprawdę zupełnie nie odczuwał.

Craig pozostawił Neasdoną z kapitanem, a sam wrócił do salonu, aby przyłączyć się do Sare'a i jego córki. Aloya ujrzała go, zawołała:

- Jak to możliwe, że okazałeś się taki... cudowny... taki fantastyczny... ratując nas oboje. Papa i ja zupełnie nie wiemy... jak ci podziękować.

- Myślę, że to bardzo proste - powiedział Craig, a kiedy ze zdumieniem spojrzeli na niego, spokojnie oświadczył: - Sądzę, że im szybciej Aloya wyjdzie za mnie, tym bardziej będzie bezpieczna.

## Rozdział 7

Craig obserwował z pokładu „Mermaid”, jak wezwana z portu łódź, zabrawszy lorda Neasdon, coraz bardziej zbliża się do nabrzeża.

Tuż przed przybyciem łodzi Craig powiedział do Neasdon:

- Jeśli pisząc swój raport dla ministerstwa stwierdzisz, iż od samego początku wiedziałeś, że hrabina Aloya Zładamir nie jest osobą, za którą się podaje, i że postanowiłeś się przekonać, jakie są zamiary Rosjan, nie będę zaprzeczał.

Lord Neasdon, który dotychczas wyglądał na ogromnie zdesperowanego, jakby nieco się ożywił, po czym zapytał:

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak, i to z dwóch powodów - oświadczył Craig. - Po pierwsze: ponieważ doskonale rozumiem, co czujesz do hrabiny, a po drugie: nie chcę się przyczynić do zniszczenia czegoś, co jak sądzę ma wszelkie zadatki, aby zaowocować błyskotliwą karierą.

- To bardzo szlachetne z twojej strony - powiedział Neasdon. Nie było czasu na nic więcej. Marynarze rzucili sznurową drabinę, po której Neasdon zszedł do łodzi i zdążył jedynie wyciągnąć do Craiga rękę, mówiąc: - Dziękuję ci, Vandervelt - I nie było wątpliwości, że jego zachowanie jest szczerze.

Kiedy łódź odpływała w stronę brzegu, Craig rzucił do stojącego przy nim podoficera:

- Proszę przekazać kapitanowi rozkaz: „Cała naprzód!”. Podoficer natychmiast udał się na mostek, a Craig zszedł

pod pokład, gdzie przebywali Randall Sare i jego córka. Kiedy powtórzył, że im szybciej Aloya za niego wyjdzie, tym pewniejsze będzie jej bezpieczeństwo, oczy Randalla Sare'a na chwilę się ożywiły. Ale zanim zdołał coś powiedzieć, głowa opadła mu na piersi, a z jego ust wydobył się szept:

- Jestem... taki... zmęczony.

Craig nie starał się niczego mu tłumaczyć. Wiedział, że Randall Sare po wyjściu z transu zbyt szybko został zmuszony do tak ogromnego, jak na jego możliwości, wysiłku i wyczerpanie dało o sobie znać. Wziął go więc na ręce jak dziecko i skierował się do sąsiedniej kabiny. Aloya podążyła za nim.

Lokajowi spieszącemu mu na pomoc, powiedział:

- Rozbierz pana Sare'a i połóż szybko do łóżka. I zrób to delikatnie. On śpi. - Trzymając w ramionach wychudzone ciało starca, Craig zdawał sobie sprawę, że Sare zapadł w głęboki sen, z którego nie szybko się obudzi.

Służący otworzył drzwi i Craig wniósł Sare'a do najwygodniejszej na jachcie kabiny, pięknie umeblowanej i udekorowanej, tak jak pozostałe, drogocennymi obrazami o tematyce morskiej. Ułożył go ostrożnie na łóżku i kiedy zjawił się jego drugi lokaj, Craig otoczył Aloyę ramieniem i wyprowadził na korytarz.

- Czy papie nic... nie grozi? - zapytała z niepokojem.

- Przysięgam, że wszystko jest w porządku. Będzie teraz po prostu głęboko spać, być może nawet przez całą dobę. Dobrze, że wcześniej coś zjadł. To w tej chwili jest najważniejsze.

- A... ty uratowałaś... go! - szepnęła łamiącym się ze wzruszenia głosem.

Poprowadził ją do innej kabiny, która - jak Aloya przypuszczała - była prywatnym salonikiem Craiga, gdzie mógł się schronić, kiedy zbyt dużo gości przebywało w głównym salonie.

Wewnątrz kabiny stało biurko, sofa i dwa wygodne, obite czerwoną skórą fotele. Na ścianie wisiał wspaniały obraz przedstawiający bitwę morską pomiędzy angielskim okrętem wojennym i hiszpańskim galeonem.

Ale oczy kobiety cały czas zwrócone były na stojącego obok niej mężczyznę. I z tym samym co uprzednio wzruszeniem, wciąż powtarzała;

- Jak mogę... podziękować ci za... uratowanie nas? Jak mogę... wyrazić... co dla mnie znaczy... że papa nie jest już w rękach... tego potwora?

- A więc pokażę ci, jak możesz to zrobić - rzekł Craig. Objął Aloyę i poprowadził w stronę sofy. A kiedy usiedli, jego usta poszukały jej ust. Całował ją nieprzytomnie i zaborczo, jakby się bał, że ją utraci.

Aloya natomiast miała uczucie, jakby z głębi piekieł nagle ktoś ją przeniósł do tonącego w niebiańskim świetle raju; Wciąż nie mogła uwierzyć, iż nie musi się już więcej obawiać o ojca. W tej chwili myślała tylko o Craigu, o uczuciach, jakie w niej wzbudził, oraz o cudzie jego pocałunków. Dopiero gdy podniósł głowę i patrząc w dół na jej twarz sycił oczy jej nagle rozkwitłą urodą, której źródłem była miłość, Aloya zdołała wyszeptać:

- Kocham cię... Kocham cię... Pragnę uklęknąć przed tobą i... podziękować... za wszystko. Nie znajduję słów... aby wyrazić, co... czuję.

- Twoje usta pocałunkami wyrażą to znacznie lepiej - odrzekł Craig.

Ale nawet on czuł, że jego głos był jakiś dziwnie przytłumiony i niepewny. Zdawał sobie sprawę, że na długiej liście jego romansów nie było ani jednego, który przeżywałby tak mocno. I to nie tylko dlatego, że pożądał jej jako kobiety i że jej uroda go zafascynowała. Craig czuł, że są dla siebie stworzeni, że nawet wibracje wydobywające się z ich ciał są ze sobą zgodne. Trudno było sobie wyobrazić, aby istniało na świecie coś, co mogło ich do siebie jeszcze bardziej zbliżyć. Nawet ślub nie mógłby chyba tego dokonać. Aloya, jakby wyczuwając o czym myśli, zapytała:

- Czy rzeczywiście uważasz... tak jak powiedziałeś papie... że powinniśmy się... pobrać? - Z trudem wymawiała słowa, jakby się czegoś krępowała, i rumieńce zabarwiły jej blade jak kwiat magnolii policzki.

- Oczywiście, że pragnę cię poślubić - przyznał Craig - ale tylko wtedy, jeśli i ty będziesz tego chciała.

- Czy ty naprawdę chcesz zadać mi tak... absurdalne pytanie? - Aloya nie kryła zdumienia. - Nie mogę sobie nawet wyobrazić czegoś... wspanialszego niż poślubienie ciebie, jeśli..., rzeczywiście mnie kochasz.

- Kocham cię tak, jak jeszcze nikogo na świecie. I prawdą jest, nawet jeśli trudno ci będzie w to uwierzyć, że nigdy dotąd nie powiedziałem żadnej kobiecie: „Kocham cię”.

- Czy to... prawda?

- Przysięgam, że tak. Jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety, która tak doskonale by mnie rozumiała. Dobrze wiesz, iż tajemnicze prądy naszych ciał połączyły nas wcześniej, zanim uświadomiłaś sobie, że mnie kochasz. - Uszczęśliwiona ukryła twarz na jego piersi. Craig całując jej włosy, wyszeptał: - Wielki ze mnie szczęściarz, skoro znalazłem cię w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewałem.

Aloya cichutko się roześmiała i zapytała z nutką niedowierzania:

- Jak mogłeś... mnie pokochać... jeśli myślałeś, że... szpiegowałam dla... Rosjan?

- Mój instynkt podpowiedział mi, że nie czynisz tego z własnej woli - odrzekł Craig. - Ale nawet gdyby było inaczej i tak bym cię kochał i nie potrafiłbym z ciebie zrezygnować.

Spojrzała na niego i nagle radość malująca się dotąd na jej twarzy znikła, ustępując miejsca obawie.

- A jeśli - powiedziała drżącym głosem - baron... spełni swoją groźbę i zabije was obu... ciebie i papę?

- Nie zrobi tego.  
- Skąd możesz być taki pewny?  
- Powiem ci później - odrzekł Craig. - Teraz chcę mówić o tobie, chcę powiedzieć, jak bardzo cię kocham i usłyszeć jak mówisz, że jestem jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałaś.

- To proste - odezwała się Aloya - ponieważ nie wiedziałam, że miłość może być... taka, zanim nie poznałam ciebie... i nie przekonałam się, chociaż początkowo się przed tym broniłam, że to ty... zawsze... byłeś w moich snach.

- Tak jak ty byłaś w moich. - I znowu zaczął ją całować, aż stracili poczucie rzeczywistości. Nie byli już na jachcie. Unosili się do słońca, a złoty jego żar rozpląmieniał ich serca, ciała i umysły.

Jakiś czas potem usłyszeli pukanie do drzwi kabiny. Craig, wypuściwszy Aloyę z objęć, poszedł, aby je otworzyć. Za drzwiami stał lokaj i Craig widząc, że ten chce mu coś powiedzieć, wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Czy pan Sare dobrze się czuje?

- Wciąż śpi, sir. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale te potwory pocięły go nożem i poprzypalały papierosami.

Craig zacisnął usta w gniewie. Spodziewał się wprawdzie, że Rosjanie mogą się do tego posunąć, aby sprawdzić, czy trans Randalla Sare'a jest symulowany czy prawdziwy. Ponieważ wiedział, że jego obydwoj służący mieli doświadczenie w opatrywaniu ran, zapytał:

- Zajęliście się nim?

- Tak jest, sir - odpowiedział lokaj. - Ale w tej chwili najważniejszy jest sen. Za każdym razem, kiedy się budzi, podaję mu coś pożywnego do jedzenia. Potem znowu zasypia.

Craig zastanowił się chwilę i powiedział:

- Myślę, że powinniście czuwać przy nim na zmianę.



- Tak jest, sir. - Służący powiedział to tak, jakby się poczuł urażony, że Craig mówi mu tak oczywiste rzeczy.

- Dziękuję ci - powiedział Craig. - Zdajesz sobie oczywiście sprawę, iż nie chciałbym wzywać lekarza, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Obawiam się, że potrzebne by były wyjaśnienia, których wolałbym uniknąć.

- Proszę zdać się na mnie, sir. Lepiej nie niepokoić młodej pani stanem zdrowia ojca.

- Spróbuję - odrzekł Craig.

Był świadom tego, że Aloya nie powinna wiedzieć, jak Rosjanie traktowali jej ojca, ale ona wyczuwając jego zdenerwowanie, zapytała:

- Czy z papą wszystko w porządku? Rosjanie nie... zrobili mu nic... złego?

- Wszystko będzie dobrze - uspokoił ją Craig. - Moi służący mają doświadczenie w opiece nad chorymi i robią to często lepiej niż niejeden lekarz.

- To znaczy, że opiekowali się tobą, kiedy byłeś... ranny w czasie pełnienia misji... tak jak papa.

- Nigdy nie miałem takich aspiracji, aby dokonywać tak wspaniałych rzeczy jak twój ojciec - rzekł Craig. - Jestem tylko skromnym uczniem, starającym się go naśladować.

- Sądząc po tym, jak papa mówi do ciebie, myślę że jesteś kimś znacznie ważniejszym - stwierdziła Aloya. - Jeśli byś go nie uratował, oni wywieźliby nas do Rosji i nigdy już... żadne z nas... nie byłoby... wolne...

Z tonu jej głosu wyraźnie widać było, że jest bliska łez, i Craig, tuląc ją mocno do siebie, odrzekł:

- Jako córka takiego człowieka, wiesz tak samo dobrze jak ja, że skoro jakaś misja zakończyła się sukcesem, nie należy już do niej wracać, no i oczywiście nie należy bać się czegoś, czemu udało się zapobiec. Chcę, abyś zapomniała już o tym i myślała tylko o mnie.

- To takie łatwe - powiedziała Aloya - ponieważ kocham cię bardziej niż wszystko na świecie i nic się dla mnie nie liczy... tylko ty... ty, ty... i jeszcze raz ty.

Była taka spontaniczna, tak rozbrajająco szczerą, że Craig nie mogąc inaczej wyrazić swej miłości całował ją w uniesieniu, tak jakby na całym świecie istniała tylko ona i bicie jej serca.

Craig był przekonany, że po tylu przeżyciach Aloya tej nocy będzie spała jak suseł. Natomiast on będzie musiał spędzić kilka godzin na pisaniu tajnego raportu o wszystkim, co się wydarzyło. Raport ten trafi następnie do archiwum MSZ i znany będzie zaledwie dwóm, najwyżej trzem, ministrom stanu, którzy zajmują się problemem rosyjskiej inwazji na Tybet.

Późnym popołudniem, kiedy słońce skryło się już za horyzontem, Aloya, kończąc pić herbatę w salonie, powiedziała:

- Przypuszczam, że zorientowałeś się, iż poza tym, co mam na sobie, nie posiadam żadnego innego ubrania. Może któryś z twoich służących będzie mógł zdobyć dla mnie przynajmniej szczoteczkę do zębów.

Craig roześmiał się.

- Chodź i zobacz swoją kabinę - rzekł. - Myślę, że już wtedy kiedy ją urządziłem, musiałem myśleć o tobie. - Aloya przesłała mu jeden ze swoich czarujących uśmiechów i Craig nie mógł się powstrzymać, aby nie dodać: - Kiedy się już pobierzemy, przeniesiesz się do mojej kabiny, która jest obszerniejsza, ale trzeba będzie ją trochę dostosować do potrzeb kobiety. - Aloya wyglądała na zmieszaną i kiedy Craig na jej twarzy ujrzał rumieniec, pomyślał, iż nigdy w życiu nie widział czegoś równie uroczonego.

Kabina, którą przeznaczył dla ukochanej, znajdowała się naprzeciwko jego saloniku. Kiedy weszli do środka, Aloya nie

kryła zachwytu. Ściany kabiny były w kolorze błękitnym, a draperie zdobiące łożę w pięknej, koralowej czerwieni, której Egipcjanie często używali do zdobienia swoich świątyń.

- Jest śliczna - zawołała.

Craig bez słowa odsunął jedną ze ścian i wtedy oczom zdumionej kobiety ukazała się ogromna szafa, a w niej wszystkie suknie, które kupili jej Rosjanie, kiedy na ich polecenie miała się zająć lordem Neasdonem.

W osłupieniu patrzyła na Craiga, czekając na jakieś wyjaśnienie. - Najwyraźniej mnie nie doceniasz! - powiedział z uśmiechem Craig. - Pomyślałem, że będzie to wyrazem zwycięstwa dobra nad złem: skoro już Rosjanie dla swoich niecznych celów sprawili ci tak kosztowną i wyszukaną wyprawę, to powinnaś z niej korzystać przynajmniej do chwili, kiedy nabędę ci nową. Nie muszę chyba dodawać, że mam zamiar podarować ci stroje tak piękne, jakich nigdy nie posiadała żadna kobieta.

- Ale... jak ci się udało je... zdobyć? - zapytała Aloya.

- Zanim opuściłem hotel - wyjaśnił Craig - poleciłem moim służącym, aby weszli do twego pokoju i zabrali wszystkie twoje rzeczy.

- Ale... Olga... moja rosyjska pokojówka... z pewnością usiłowała... im przeszkodzić? Craig roześmiał się, czymś najwyraźniej ubawiony.

- Jestem przekonany, że miała wiele do powiedzenia, ale moi ludzie ją uciszyli. - Twarz jej pobladła, jakby spodziewała się czegoś strasznego, co widząc Craig pospiesznie dokończył: - Nic jej nie zrobili. Zakneblowali ją tylko i związali, a więc widziała, jak wynosili twoje rzeczy! Zgodnie z moją instrukcją pozostawili biżuterię barona, rzucając ją na kolana związanej służącej, aby zapobiec oskarżeniu ich o kradzież.

Był tym tak zachwycony, że Aloya nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołała. - Olga była zawsze tak straszliwie... pewną siebie kobietą. Ona nigdy nikogo się nie bała.

- Przypuszczam, że minie trochę czasu, zanim ktoś z obsługi hotelowej ją znajdzie. Być może stało się to właśnie teraz.

Aloya znowu się roześmiała i zarzuciła Craigowi ręce na szyję.

- Jak to możliwe, że nigdy o niczym nie zapominasz? - zapytała. - Tak się boję, że nie potrafię sprostać twoim wymaganiom ani jako żona, ani jako pani domu.

Craig przytulił ją mocno do siebie.

- Jesteś dla mnie wszystkim, o czym kiedykolwiek marzyłem, i tylko to się liczy.

Znowu ją całował, a kiedy statek nagle się zakołysał, Craig z trudem łapiąc równowagę powrócił wreszcie do rzeczywistości.

- Chciałbym cię prosić, moja droga - powiedział - abyś dzisiaj postarała się wyglądać wyjątkowo pięknie. Chociaż wątpię, żebyś mogła być jeszcze piękniejsza niż teraz. Za pół godziny dowiem się, czy miałem rację.

- Za pół godziny! - wykrzyknęła Aloya. - Muszę się pospieszyć, a więc zostaw mnie, proszę, samą.

Śmiała się i wyglądała przy tym tak urzekająco, że Craig znowu zaczął ją całować, aż w końcu wypchnęła go delikatnie z pokoju i zamknęła za nim drzwi.

Idąc do swojej kabiny Craig nie miał wątpliwości, że nigdy nie był tak szczęśliwy. Każdy nerw w jego ciele drżał i płonął.

Kiedy Aloya dołączyła do niego w salonie, był już późny wieczór. Na zewnątrz panowały zupełne ciemności, ale na niebie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Morze było spokojne, światła jachtu i nabrzeżne latarnie odbijały się w

gładkiej tafli wody. Tworzyło to tak malowniczy obraz, że Craig pomyślał, iż pozostanie on na zawsze w jego pamięci. Widząc jednak wchodzącą do salonu Aloyę, był pewien, że jest piękniejsza niż wszystkie widoki świata, piękniejsza niż śniegi na szczytach Himalajów, niż wschód słońca na pustyni, czy światło księżyca na Tadź Mahal.

Jej suknia, udrapowana na jednym ramieniu i przewiązana w talii, przypominała sari, jakby ubrana w nią dziewczyna myślami wracała do Indii. Patrząc na suknię odnosiło się wrażenie, że projektant chciał w niej ująć tajemniczą głębię oczu pięknej córki Randalla. Materiał, z którego ją uszyto, był koloru fioletoworóżowego, wyszywany srebrem i ozdobiony kamieniami podobnymi do ametystów. To była urocza suknia, ale Craig zafascynowany był jedynie pięknem skóry osoby, która ją nosiła, srebrem jej włosowi blaskiem oczu, które lepiej niż jakiegokolwiek słowa powiedziały mu, jak bardzo Aloya go kocha.

Stali przez chwilę, patrząc na siebie, po czym Craig rzucił się ku niej, jakby tylko w jego ramionach mogła być w pełni bezpieczna.

- Wyglądasz bardzo pięknie, kochanie - zawołał.

- Pragnęłam, abyś mi to powiedział - szepnęła.

W czasie kolacji mieli sobie tyle do powiedzenia, że nawet po odejściu stewarda siedzieli jeszcze długo przy stole. Potem wyszli na pokład jachtu, aby odetchnąć świeżym, nocnym powietrzem i popatrzeć na usłane gwiazdami niebo.

- Jak mogłam być aż tak małego serca, by zwątpić choć przez moment, że Bóg, w którego obydwójce wierzymy, nie uratuje papy i mnie? - cichutko szepnęła Aloya, po czym po chwili milczenia dodała: - Wstydzę się teraz, że bałam się aż tak bardzo... Nie widziałam żadnego wyjścia... żadnej szansy na ratunek, aż... spotkałam ciebie.

Craig przypomniał sobie, jak podsłuchiwał jej rozmowę z lordem Neasonem. Sprawiała wtedy wrażenie małego zwierzątka, złapanego w pułapkę, z której na próżno usiłuje się wydostać. On również się bał, że nie sprosta wyzwaniu i nie odnajdzie Randalla Sare'a. Chcąc odpędzić te przykre wspomnienie, objął Aloyę i, patrząc w gwiazdy, powiedział:

- Musimy mieć wiarę i to jest właśnie to, czego światu najbardziej dziś potrzeba. Wiarę, że tak naprawdę nigdy nie jesteśmy sami, że zawsze i wszędzie istnieje Siła, która jest w stanie nam pomóc, jeśli tylko zechcemy z tej pomocy skorzystać.

Aloya wstrzymała oddech.

- Rozumiesz więc - powiedziała. - A ja już myślałam, że nie ma drugiego takiego człowieka na świecie, który by myślał tak samo jak papa.

- Tyle jeszcze musimy się nauczyć - ciągnął Craig. - Ale ponieważ będziemy to robić razem, ukochana, tym większą sprawi mi to radość. Badanie nieznanego i odkrywanie tajemnic wszechświata, które znają tylko nieliczni, jest takie fascynujące.

- A jednym z tych nielicznych jesteś właśnie ty - szepnęła z dumą Aloya.

Temperatura powietrza nieco spadła i Craig bojąc się, że Aloya może się przeziębnić, zdecydował, iż powinni zejść pod pokład. Odprowadzając ją do drzwi, powiedział:

- Jutro będziemy w Marsylii. Proszę więc, abyś teraz poszła spać i nie martwiła się o nic.

Kiedy spojrzała na niego, wiedział, że jest tyle rzeczy, o które chciałaby go zapytać. Ponieważ jednak tak bardzo się różniła od innych kobiet, widząc, iż Craig pragnie utrzymać swoje plany w sekrecie, taktownie milczała. Po chwili cichutko szepnęła:

- Muszę powiedzieć papie dobranoc.

- Oczywiście - zgodził się Craig.

Otworzył drzwi kabiny, w której spał jej ojciec, i kiedy weszli do środka, czuwający przy starcu lokaj dyskretnie wycofał się, pozostawiając ich samych. Chociaż w nikłym świetle Randall Sare wyglądał blado i mizernie, twarz miał spokojną, co oznaczało, że jego sen jest naturalny.

Aloya przez chwilę stała przy ojcu, po czym uklękła. Pamiętając o tym, że ojciec, chociaż przeniesiony do tajemniczego świata snu, może ją słyszeć, zaczęła do niego mówić:

- Jesteśmy bezpieczni, tatusiu, i dziękuję Bogu i Craigowi, że uratowali nas. Jestem szczęśliwa bardziej niż kiedykolwiek w moim życiu. Teraz nie musimy się już niczego obawiać.

Scena ta była ogromnie wzruszająca, a kiedy Aloya ukryła twarz w dłoniach, Craig poczuł, że słowa wypowiedanej przez nią modlitwy są sprawą zbyt osobistą nawet dla niego. Odczekał, aż podniesie się z kolan. Gdy to uczyniła, jej twarz była tak uduchowiona i malowało się na niej tyle radości i zachwytu, iż Craig pomyślał, że tak właśnie musiała wyglądać patronka kaplicy St. Devote, kiedy jej dusza w postaci gołębicy unosiła się do nieba.

Myśl o świętej skłoniła go do zmówienia modlitwy dziękczynnej za pomoc, którą okazał mu ojciec Augustyn. Wiedział, że ogromna suma pieniędzy, którą za pośrednictwem swojego sekretarza przekazał ojcu Augustynowi, zanim wypłynął z portu, była bezcenną pomocą nie tylko dla biednych w Monte Carlo, ale również dla tych, którzy z różnych powodów muszą się ukrywać, w obawie o własne życie, tak jak to było w przypadku Randalla Sare'a.

Craig odprowadził Aloyę do jej kabiny i pocałował na dobranoc, ale gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, poczuł że już tęskni za jej widokiem. Była tak niepodobna do innych

kobiet, które kiedyś go interesowały i wzbudzały w nim namiętności. One działały tylko na jego zmysły: Ona natomiast, oprócz zmysłów, potrafiła poruszyć również i umysł.

- Odnalazłem to, czego inni szukają przez całe życie i co dla większości jest nieosiągalne - pomyślał Craig, zapadając w sen.

Następnego dnia rano po spokojnie przespanej nocy Aloya obudziła się świeża i wypoczęta. Sny miała tak piękne, że z trudem wracała do rzeczywistości. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spała tak dobrze, kiedy zasypiała i budziła się z uczuciem, że nic jej nie zagraża.

W pewnej chwili uświadomiła sobie, że na łodzi panuje dziwna cisza i że silniki są wyłączone. Wstała, podeszła do iluminatora i odsłoniła zasłonę. Kiedy spojrzała na nabrzeże, doszła do wniosku, że musieli wpłynąć do portu w Marsylii, kiedy jeszcze spała.

Zupełnie nie miała pojęcia, która jest godzina. Zaczęła się ubierać, chcąc jak najszybciej ujrzeć Craiga i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Ze zdumieniem stwierdziła, że było już południe, a więc spała prawie czternaście godzin.

- Craig dobrze wiedział, czego mi potrzeba - pomyślała. - On pamięta o wszystkim! Jak mężczyzna może być aż tak doskonały?

Zadzwoiła na służącego i kiedy ten się zjawił, zapytała:

- Jak czuje się mój ojciec?

- Miał dobrą noc, panienko - odpowiedział służący. - Dwukrotnie się budził i za każdym razem podawałem mu trochę ciepłego bulionu. Wypijał go bez problemu, po czym znowu zasypiał.

- Czy teraz też śpi?



- Zupełnie jak dziecko, panienko. Proszę się o niego nie martwić. Zaraz przyniosę kawę. - Służący zniknął, zanim Aloya zdążyła go zapytać o Craiga.

Czekając na kawę, zastanawiała się, czy Craig też tak za nią tęsknił jak ona za nim.

Kiedy służący ponownie się zjawił, Aloya zapytała:

- Czy pan Craig wie, że już nie śpię?

- Pan zszedł na ląd, panienko - odrzekł lokaj. - Ale niedługo wróci. Powiedział, że jeśli panienka zapyta o niego, mam powtórzyć, że postara się wrócić jak najszybciej.

Aloya założyła jedną z najpiękniejszych sukien, o której francuski projektant z dumą powiedział, że zrobi w Monte Carlo prawdziwą furorę. Przypomniała sobie, jak bardzo przeżywała, kiedy obcy ludzie gapili się na nią, jak bardzo czuła się poniżona i zawstydzona, że strojono ją jak lalkę, aby usidliła mężczyznę, od którego na polecenie Rosjan miała zdobyć interesujące ich informacje.

- Jeśli nie uzyskasz od niego tego, o co nam chodzi - oznajmił jej baron bez ogródek - natychmiast wywieziemy twojego ojca i nigdy go już nie zobaczysz. - Aloya krzyknęła z przerażenia i wtedy on śmiejąc się, cynicznie dodał: - Wszystko zależy od ciebie. Uczyń z niego swojego kochanka. W łóżku kobieta jest w stanie wyciągnąć od mężczyzny dosłownie wszystko.

- Jak pan może... spodziewać się, że zrobię coś..., tak ohydneho? - Aloya zachwiała się, z trudem utrzymując równowagę.

Baron spojrzał na nią tak, jakby była niewolnicą, wystawioną na sprzedaż nago na samym środku placu targowego, a on miał oszacować jej wartość. Doskonale wiedziała, że jeśli dla uzyskania informacji zaczną jej ojca torturować, nic już nie będzie w stanie zrobić, aby go uratować. Postanowiła więc jak najdłużej grać na zwłokę i

modlić się, aby zdarzył się cud i żeby udało im się uciec od Rosjan, zanim ci zdążą ich wywieźć z Monte Carlo. Stroiła się więc, aby zwrócić na siebie uwagę lorda Neasdon. Grała na jego próżności, mówiąc mu, jakim jest wspaniałym mężczyzną. Cały czas jednak zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała mu ulec i że to tylko kwestia czasu. Każde wypowiedziane przez nią słowo, każda spędzona z nim chwila sprawiały, że czuła się tak, jakby tarzała się w rynsztoku. Lecz, niestety, innego sposobu na uratowanie ojca nie widziała.

Kiedy pojawił się Craig, wydało się jej, jakby sam Michał Archanioł ruszył jej na pomoc, a instynkt podpowiadał jej, że może temu człowiekowi zaufać.

- Jedno nieopatrzne słowo do kogokolwiek z zewnątrz - ostrzegął ją baron - jakakolwiek próba wezwania pomocy, a twój ojciec umrze!

Lecz instynkt uparcie jej podpowiadał, że Craig może ją uratować. Od pierwszej chwili, kiedy rozmawiali ze sobą na balkonie, wiedziała, że w niczym nie przypomina on mężczyzn, jakich do tej pory spotkała. Gdzieś w głębi jej duszy było coś, co uparcie wrywało się do niego, co sprawiało, iż czuła niezwykle silne drżenia, które coraz bardziej zbliżały ich do siebie. Tak silną więź z innym człowiekiem czuła dotąd jedynie w obecności ojca. Ale podczas gdy modliła się, aby Craigowi udało się ich uratować, rozum ostrzegał ją, iż jeden nierozważny krok, jedno nieostrożne słowo oznaczać będzie wyrok śmierci na własnego ojca.

Pewnej nocy, kiedy usiłowała zasnąć, myślała o tej cudownej, wszechstronnej Sile, o której tak często mówił jej ojciec. Tak bardzo chciała mu wtedy uwierzyć. Jednocześnie obawiała się, że z braku doświadczenia może popełnić jakiś błąd.

I właśnie wtedy cud się naprawdę wydarzył: Craig pokrzyżował plany barona i przechytrzył strażników ojca, którzy pilnowali go w dzień i w nocy. Potrafił to zorganizować tak mądrze, iż nawet teraz trudno było uwierzyć, że wszystko odbyło się bez przelewu jednej kropli krwi.

- Kocham go! - krzyczała Aloya w głębi serca. - Proszę Boże, spraw, aby on mnie pokochał.

Była na tyle inteligentna, aby domyślać się, że taki mężczyzna jak Craig musiał mieć wiele kobiet. Był taki przystojny i interesujący, a lord Neasdon tyle opowiadał o jego majątku. Ale jej instynkt znów dał o sobie znać. Uświadomił jej, że to wszystko jest bez znaczenia, że to, co ich łączy, jest bezcenne, święte i niespotykane.

Teraz, stojąc na pokładzie jachtu, w pewnej chwili ujrzała jadący wzdłuż nabrzeża samochód, z którego wysiadł Craig, a za nim kapitan jachtu. Kiedy przeszedł po pomoście, Aloya miała wielką ochotę rzucić się w jego ramiona. Jednak z nadludzkim wysiłkiem opanowała się, czekając aż do niej podejdzie.

Patrzyli na siebie tak, jakby słowa nie były im potrzebne. Craig wziął Aloyę za rękę i poprowadził do salonu. W pewnej chwili zatrzymał się i uśmiechnął, patrząc na nią. Aloya nieśmiałym, prawie dziecięcym głosem powiedziała:

- Ja... ja czekałam..., na ciebie.

- Wiedziałem, że będziesz czekała, najdroższa, ale potrzebowiałem trochę czasu, abyśmy mogli się pobrać. - Patrzyła na niego z niedowierzaniem, a wtedy on dodał: - Zgodnie z obowiązującym we Francji prawem mogliśmy zawrzeć związek małżeński per procura. Kapitan występował w roli twego pełnomocnika.

- Ja..., ja jestem... twoją... żoną? - Jej głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

- Jesteśmy małżeństwem - powtórzył Craig. - Ale ponieważ wiedziałem, że sprawi ci to przyjemność, zamówiłem w cerkwi na późne godziny popołudniowe ślub w obrządku prawosławnym, tak jakby zapewne życzyła sobie twoja matka.

Z ust dziewczyny wyrwał się okrzyk, który po chwili zamienił się w szloch, a kiedy się odezwała, jej oczy były pełne łez:

- Jak mogłeś... zrobić coś tak... cudownego? Tego właśnie pragnęłam... bardziej niż... czegokolwiek na świecie.

Craig objął ją, ale tym razem nie po to, aby całować. Tuląc ją w objęciach, mówił:

- Myślę, iż obydwójce wiemy, że do tego, w co wierzymy, aspirują wszystkie religie na świecie, a Siła, w którą obydwójce wierzymy, nie ma nic wspólnego z żadną religią. Poza tym chcę cię ujrzeć w roli panny młodej. Jestem przekonany, iż poczujesz Boże błogosławieństwo jeszcze głębiej, kiedy usłyszysz słowa modlitwy we własnym języku..

Aloya wstrzymała oddech.

- Ja... bardzo tego pragnęłam - wyszeptała.

I wtedy żarliwie i zaborczo Craig zaczął ją całować. Kiedy zjedli lunch, Aloya zapytała:

- Z pewnością zabrzmi to banalnie, ale chciałabym wiedzieć, w co mam się ubrać?

Craig roześmiał się.

- Byłem pewien, że prędzej czy później o to zapytasz! Ponieważ w czasie ceremonii, kiedy to kapłan trzyma nad głowami oblubieńców korony, poza naszymi świadkami nie będzie nikogo, proponuję, abyśmy uczcili nasz dzień ślubu w taki sposób, który na zawsze pozostanie w naszej pamięci i który niewątpliwie sprawi radość naszym dzieciom. - Czekał na jakieś oznaki skrepowania, które spodziewał się zobaczyć w jej oczach, oraz na barwiący policzki rumieniec po czym

roześmiał się mówiąc: - Francuzi zawsze biorą ślub we fraku. Ja również mam zamiar tak postąpić. Jeśli chodzi o ciebie, ukochana, życzylibym sobie, abyś założyła tę srebrną suknię, w której wyglądałaś jak promień księżyca. Pamiętam, że miałaś tę Suknię na sobie na przyjęciu u wielkiego księcia. - Przytulił ją do siebie i mówił dalej: - To było wtedy, jak mi się zdaje, kiedy doszłaś do wniosku, że możesz mi zaufać, i kiedy wydałem ci się pod każdym względem inny niż mężczyźni, których kiedykolwiek znałaś.

- Ja... kochałam cię... i wiem, że cię... kochałam - powtarzała Aloya. - Ale ponieważ to wszystko było takie... dziwne... i ponieważ nigdy wcześniej nie znałam miłości... zdawało mi się, że przybywasz z gwiazd, aby mi pomóc, i wtedy po raz pierwszy ujrzałam światło w długim, ciemnym tunelu, z którego nie mogłam znaleźć wyjścia.

- To jest to, co odnaleźliśmy wspólnie - zauważył Craig. - Światło, które już nigdy nas nie opuści i będzie nam towarzyszyć przez całą wieczność.

Kłęczeli tuż obok siebie w maleńkiej, rosyjskiej cerkwi z pięknymi, srebrnymi żyrandolami i ścianami zawieszonymi mnóstwem ikon, a Craig miał wrażenie, że błogosławieństwo kapłana spłynęło na nich w postaci światła, które pomoże im odkryć tajemnice wszechświata.

Ponieważ ceremonia była bardzo wzruszająca i na jakiś czas wyciszyła ich namiętności, wracali na jacht w milczeniu. Aloya czuła, że stając się żoną Craiga, dotarła do bezpiecznej przystani, której zawsze tak bardzo pragnęła.

Kiedy przybyli na pokład jachtu, salon był pięknie udekorowany białymi liliami, a kiedy Aloya ujrzała ogromny, biały tort Weselny, ustawiony na specjalnie na tę okazję nakrytym stole, cieszyła się jak dziecko, a jej głos zabrzmiał jak weselne dzwoneczki.

- Jesteśmy małżeństwem! Jesteśmy naprawdę małżeństwem! - wołała.

- Niedługo cię o tym przekonam, mój skarbie - półgłosem odezwał się Craig.

Wypili szampana w towarzystwie oficerów, którzy wznosili toasty na ich cześć i życzyli wszystkiego najlepszego. Cała załoga z tej okazji otrzymała specjalny przydział rumu, po czym dokonano uroczystego podzielenia tortu.

Craig zamawiając kwiaty dla swojej przyszłej żony, polecił jednocześnie wykonać wianek z drobnych lilii z koronkowym welonem, który uzupełniał ślubny strój panny młodej.

Kiedy oficerowie wyszli, Craig i Aloya siedzieli jeszcze chwilę, po czym w milczeniu, jako że słowa były w tej chwili zupełnie zbędne, wyszli z salonu. W tym czasie „Mermaid” opuściła już port, kierując się ku otwartemu morzu.

- Dokąd płyniemy? - spytała Aloya.

- Nie zniósłbym teraz obcych wokół nas - odrzekł Craig. - Niedaleko znajduje się niewielka zatoka, gdzie zatrzymamy się na noc. Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał. Tylko gwiazdy nad nami, a w dole spokojna tafla morza.

- To brzmi... bardzo romantycznie - wyszeptała. - I tak też będzie, ukochana - przyrzekł Craig. Tym razem zaprowadził ją do swojej kabiny, gdzie obok ogromnego łóżka ustawiono również białe lilie. Patrząc na Craiga z podziwem, pomyślała, że tylko on mógł tak cudownie to wszystko zorganizować, i chociaż cała uroczystość była cicha i spokojna i tak obydwójce wiedzieli, że na zawsze pozostanie w ich pamięci. Craig ostrożnie zdjął welon z jej głowy, a kiedy spojrzała na niego oczami, które lśniły niczym gwiazdy, powiedział: - To jest bardzo ważny dzień w twoim życiu, najdroższa, ale ponieważ tak bardzo cię kocham i ponieważ wiem, że jesteś niewinna,

nie zrobię niczego, co mogłoby zakłócić nasze szczęście albo sprawić ci przykrość.

Aloya uśmiechnęła się leciutko.

- Jak mógłbyś sprawić mi przykrość? - zapytała. - Rozumiem, co masz na myśli i to prawda, że niewiele wiem o miłości, ponieważ zawsze przebywałam tylko z mamą i papą, ale marzyłam o niej i wiem, że jesteś mężczyzną z moich snów i że... byliśmy już razem... kiedyś winnym życiu.

- Kocham cię! - zawołał Craig. - Kocham cię tak bardzo, że nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, aby taka krucha istota z dnia na dzień potrafiła zmienić całe moje życie i obudzić we mnie uczucia, do jakich myślałem, że nie jestem już zdolny.

- Jeśli mogę obdarzyć cię czymś... nowym... niepodobnym do tego, co miałeś... dotychczas, to będzie to... najcudowniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek... mogła się mi przydarzyć. - Ukryła, głowę na jego piersi i. dodała: - Jesteś taki przystojny, a do tego miły, mądry i pełen życia, że obawiam się... iż wkrótce... możesz się mną... znudzić.

- To się nigdy nie zdarzy - zawołał Craig, - Jak mógłbym się znudzić kimś, kto jest moją uwielbianą żoną, nie tylko dlatego, że połączył nas święty węzeł małżeństwa, ale również dlatego, że nasze ciała tworzą jedno, tak jak nasze Umysły i serca.

Aloya wyciągnęła do niego ramiona.

- Jesteśmy sobie poślubieni i tworzymy jedno - powiedziała. - Ale ty stanowisz większą i ważniejszą część tej jedności. Będę cię kochać i uwielbiać aż do końca moich dni.

- Nie wolno ci mówić takich rzeczy, skarbie - zaprotestował Craig. - Chociaż tak samo myślę o tobie, a więc i pod tym względem jesteśmy jednakowi!

Usłyszeli odgłos rzucanej kotwicy i nic już więcej nie zakłócało nocnej ciszy oprócz morskich fal. uderzających o burtę łodzi.

Craig całując ją, powoli rozpiął jej suknię, po czym wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Aloya zauważyła, że ściągnął zasłony z iluminatorów i do wnętrza kabiny zaglądały już nie tylko gwiazdy, ale i światło księżyca, który dopiero co pojawił się na niebie. Czują, iż wyruszają we wspólną podróż, zaopatrzeni w światło o takiej jasności i mocy, iż jego źródłem może być tylko płonąca w nich wielka miłość. W pewnej chwili Craig zbliżył się do niej i poczuła dotyk jego ciała, bicie jego serca i pieszczotę rąk.

Księżyc okrył ich srebrzystą poświatą, będąc niemyym świadkiem spełnienia ich miłości. Tej miłości, która połączyła ich kiedyś w poprzednim życiu i która będzie wieczna, bo jest niezniszczalna.

Była trzecia po południu i słońce mocno przygrzewało, kiedy Craig po kąpieli w morzu wspiał się na pokład jachtu, aby przyłączyć się do wypoczywającej w cieniu żony. Założył długi, frotowy szlafrok i zarzucił na ramiona ręcznik, po czym usiadł tuż przy niej na leżaku.

- Czy teraz jest ci chłodniej, kochanie? - zapytała Aloya.
- Dużo chłodniej.
- Kiedy pływałeś, powiedziano mi, że papa się obudził, zjadł posiłek i znowu zasnął. Ale później chętnie się z nami zobaczy.
- Porozmawiamy z nim; kiedy się obudzi - powiedział Craig. - Mam nadzieję, że nie będzie miał nic przeciwko temu, że wieczorem opuszczamy Marsylię pociągiem.

Aloya była ogromnie zaskoczona.

- Wyjeżdżamy... dziś wieczorem?
- Chcę zawieźć cię do Anglii - odrzekł. - Przede wszystkim dlatego, że tamtejszy MSZ marzy o spotkaniu z twoim ojcem. Ale nie kryję, że kiedy tylko się wszystko wyjaśni, chcę was oboje zabrać do Ameryki. - Widząc, że Aloya patrzy na niego z niepokojem, dodał: - Chcę abyście



poznali moją rodzinę, a ponieważ uważam, że twój ojciec powinien na pewien czas zniknąć, myślę, że najlepszym dla niego miejscem będzie moje rancho w Teksasie. - Oczy dziewczyny zrobiły się ogromne. Milczała jednak i Craig tak mówił dalej: - Kiedy się tylko lepiej poczuje, mam zamiar zachęcić go, aby zaczął spisywać swoje myśli. Z czasem będzie mógł je opublikować. Jego prace miałyby dla ludzkości ogromną wartość. Poza tym dzięki temu czułby się użyteczny, a po pewnym czasie mógłby, posługując się jego słownictwem, „powrócić do pracy”. Aloya wydała okrzyk radości.

- Wydaje się, że już wszystko zaplanowałeś.

- Wierzę, iż twój ojciec zgodzi się ze mną, że to będzie najlepsze rozwiązanie.

- A może to ja się nie zgodzę? - przekomarzała się.

- Wtedy będę cię tak długo całował, aż zmienisz zdanie.

Jego oczy spoczęły na jej ustach i Aloya miała wrażenie, że już ją całuje. A widząc płomień w jego oczach, poczuła się tak, jakby snop światła słonecznego przebiegł przez jej ciało. Pomyślała, że nigdy nie będą mogli spojrzeć na siebie bez wywołania drzeń, których źródłem była ich wielka miłość. Nigdy nie przypuszczała, że miłość może być czymś tak cudownym czy ekscytującym, a jednocześnie tak niezwykłym, że nie miała wątpliwości, iż wszystko co robili, było uświęcone, ponieważ pochodziło od Boga.

- Kocham cię! - wciąż powtarzała, widząc, jaką tym sprawia Craigowi radość.

Nagle, jakby czymś zaniepokojona, zawołała:

- Powiedziałeś, że papa powinien się ukryć... ale dlaczego? Chyba nie sądzisz, że Rosjanie... mogą go... ścigać?

W jej głosie znowu pojawił się strach i Craig, ujmując jej dłoń, powiedział:

- Wiedziałem, że kiedyś zapytasz o to, a ponieważ nie mogę pozwolić, abyś się czegokolwiek obawiała, postanowiłem ci o czymś powiedzieć.

- Co masz na myśli? Craig podniósł jedną z gazet, które jego sekretarz położył na niskim taborecie tuż obok jej leżaka, kiedy Craig zażywał kąpieli w morzu.

Wiedziała że Cavendish wybrał się specjalnie do Marsylii, aby je zdobyć, ale ona zupełnie się nimi nie interesowała.

Nie miała ochoty, aby zewnętrzny świat ingerował w ich życie, szczególnie teraz, gdy wszystkie myśli skupiała na małżonku i ich szczęściu.

Craig otworzył gazetę i podał ją żonie.

Przez chwilę, w roztargnieniu przebiegła oczami tekst. Szybko się jednak opanowała i zaczęła czytać:

"Tragedia w Monte Carlo.

W środę wieczorem wybuchł groźny pożar na rosyjskim jachcie »Carina«, który był zakotowiczony na przystani w Monte Carlo tuż obok innego rosyjskiego jachtu »Carewicz«.

Trzeba było aż trzydziestu minut, aby wozy strażackie dotarły do przystani. W tym czasie pożar opanował prawie cały statek, w wyniku czego znaczna jego część uległa kompletnemu zniszczeniu.

Na skutek paniki, która wybuchła na statku, nie zdołano wyprowadzić z płomieni barona Strogoloffa. Kiedy pożar został ugaszony, ciało barona odnaleziono w salonie na podłodze, na którą się zsunął, wypadłszy z wózka inwalidzkiego.

Z głębokim żalem zawiadamiamy o śmierci barona, znanego rosyjskiego arystokraty. To była jego pierwsza wizyta w Monte Carlo. Mimo to dał się poznać jako niezwykle hojny mecenas teatru i wielbiciel muzyki. Kilku członków jego załogi doznało poważnych poparzeń. Dwie osoby zostały

umieszczone w szpitalu, ale stan ich zdrowia nie budzi poważniejszych obaw".

Aloya przeczytała informację i lekko westchnęła:

- A więc baron nie żyje!

- Nie sądzę, aby po nim płakano - spokojnie zauważył Craig.

Ton jego głosu spowodował, że Aloya spojrzała na niego gwałtownie.

- Czyżbyś miał... z tym... coś wspólnego?

- Nie chciałem, żebyś się martwiła i myślała o tym, że baron zagraża zarówno twojemu ojcu, jak i mnie. Bez względu na to, jakimi dysponowali raportami na temat Randalla Sare'a, mam nadzieję, że spłonęły razem z nim. - Z nutą sarkazmu w głosie kontynuował: - Baronowi, jak mi się zdaje, bardzo zależało, aby cała sława, związana z porwaniem i uwięzieniem tak znanego człowieka jak Sare, była przypisana tylko jemu, tak więc niewielkie są szanse, aby tajna policja wykryła, na czyje polecenie działał.

- Czy to... prawda? - zapytała Aloya.

- Jestem o tym przekonany - powiedział Craig. - Znam ich metody. Byłem więc pewien, że kiedy baron zostanie zmuszony do wydania twojego ojca, wśród jego ludzi wywoła to straszną konsternację i dziób jachtu „Carina” nie będzie strzeżony. Wysłałem więc jednego z moich ludzi na pokład, czego oni w ogóle nie spostrzegli.

- Jak to możliwe? Craig uśmiechnął się.

- Rosjanie to straszne gaduły. Bez przerwy o czymś rozmawiają. Mogę się założyć, że kiedy baron posłał po twego ojca, jego ludzie godzinami to komentowali, nie mając głowy do czegokolwiek innego.

- A więc w tym czasie twój człowiek wszedł na ich pokład.

- To bardzo zdolny elektryk, poza tym znakomicie pływa pod wodą. Dałem mu dziewięćdziesiąt sekund na zainstalowanie na pokładzie rosyjskiego jachtu przewodów elektrycznych i takie ich spreparowanie, aby w krótkim czasie nastąpiło zwarcie. Mój człowiek z dumą mi zameldował, że całą pracę wykonał zaledwie w sześćdziesiąt sekund. Następnie wrócił na „Mermaid” i nikt nie ma nawet pojęcia, że go w ogóle opuszczał. Aloya rozłożyła ręce.

- Jesteś taki... sprytny, że czasami aż się... boję.

- Teraz nie musisz się już nikogo obawiać - powiedział Craig. - Jesteśmy bezpieczni i możemy robić wszystko, na co tylko mamy ochotę.

Oczy dziewczyny rozbłysły.

- Zrobimy tak, jak ty... zechcesz. Nie mogę się przecież sprzeciwiać ani dyskutować z kimś, kto jest tak nadzwyczajny jak ty.

Craig podniósł jej rękę do ust.

- Coś mi się zdaje, że zawsze będziemy się spierać, konfrontować i pobudzać do działania. Będzie to bardzo emocjonujące, choć zawsze skończy się tak samo.

- Moim poddaniem? - śmiejąc się zapytała Aloya.

- Nie, przeświadczeniem, że obydwoje chcemy tego samego - wyjaśnił. - Tego ranka nic się dla nas nie liczy poza naszą miłością. Przez całe życie będę ci powtarzał, mój skarbie, że strasznie cię kocham. - Podniósł się z leżaka i chwytając Aloyę za rękę, zmusił ją do wstania. - Idę na dół się przebrać - oznajmił - i chcę, abyś mi towarzyszyła, po pierwsze dlatego, że nie mogę się z tobą rozstać, a po drugie, ponieważ pragnę cię pocałować. - Sposób, w jaki wymówił ostatnie słowa, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że znaczą o. wiele więcej, niż mogłoby się wydawać.

Aloya spojrzała na niego z zachwytem, po czym bez oporu pozwoliła, aby, wziął ją za rękę i poprowadził najpierw

wzdłuż pokładu, a później schodkami w dół, tam gdzie znajdowały się ich kabiny.

Kiedy weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi, Craig wziął ją w ramiona.

- Ostatnia przeszkoda została pokonana - powiedział. - I jeśli kiedykolwiek jeszcze zobaczę strach w twoich oczach, będę się bardzo gniewał!

- Jak mogę się teraz czegokolwiek obawiać, skoro ty i papa jesteście bezpieczni? - spytała Aloya. - O mój kochany... mój najdroższy, czy możesz mi obiecać, że bez względu na to, co wymyśli mój papa, ty zawsze będziesz ze mną? Nie sądzę, abym po tym, przez co przeszliśmy, mogła myśleć, że jesteś... w niebezpieczeństwie i żebym... nie chciała wtedy... umrzeć..

Craig nie odpowiedział, tylko wziął ją w ramiona i pocałował. Ale kiedy poczuł dotyk jej ust i kiedy ogarnęły ich płomienie namiętności, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko.

Jego pocałunki: żarliwe, zaborcze i namiętne, paliły jej usta. Ich ciała płonęły z pożądania. A kiedy unieśli się ku niebu na skrzydłach upojenia, wiedzieli, że boski ogień miłości jest w stanie pokonać każde zło na ziemi. Wierzyli w swoje szczęście, w przyszłość, w której nie było miejsca na strach, a jedynie na ekstazę, doskonałość i na chwałę miłości.